

ROBYN SCHNEIDER

POCZATEK  
*Wszystkiego*

MASZ JEDNO ŻYCIE.  
DZIKIE I CENNE

moondrive

ROBYN SCHNEIDER

POCZATEK  
*Wszystkiego*

tłumaczenie Aga Zano

moondrive

Kraków 2017

*Moim rodzicom, którzy na pewno będą  
w tej książce szukać siebie. Nie martwcie się,  
ułatwiłam Wam zadanie – jesteście na widoku!*

„Świat łamie każdego i potem niektórzy  
są jeszcze mocniejsi w miejscach złamania”.

Ernest Hemingway, *Pożegnanie z bronią*,  
tłum. B. Zieliński

# 1

Czasem myślę sobie, że na każdego czai się jego osobista tragedia. Że ktoś, kto właśnie kupuje mleko w pizarni albo dźbie w nosie na światłach, może być sekundę od katastrofy. Że każde życie, nieważne, jak zwyczajne, ma tę jedną chwilę, kiedy staje się wyjątkowe – chwilę, po której wydarzy się wszystko, co naprawdę ma znaczenie.

Mojego przyjaciela Toby'ego tragedia dopadła tydzień przed rozpoczęciem szóstej klasy w podstawówce Westlake. Tamtego lata mieliśmy świra na punkcie ping-ponga, bez przerwy graliśmy na bosaka u Toby'ego na podwórku i wyobrażaliśmy sobie, że wystartujemy w jakichś mistrzostwach świata. Ja byłem lepszy, bo rodzice siłą wysłali mnie na prywatne lekcje tenisa, kiedy tylko nauczyłem się trzymać widelec. Ale czasami pozwalałem Toby'emu wygrać, bo był moim kolegą. Dla mnie to była całkiem nowa gra: jak przegrać dość przekonująco, żeby się nie zorientował, że zrobiłem to specjalnie. Więc kiedy on trenował do pucharu świata w ping-pongu, ja w sekrecie buntowałem się przeciw swojemu ojcu, który wierzył, że w życiu liczy się wyłącznie wygrywanie. To był taki mały akt przyjacielskiej anarchii.

Toby i ja byliśmy najlepszymi przyjaciółmi – takimi, którym niespecjalnie zależało na towarzystwie innych rówieśników. Ale jego mama uparła się, że zafunduje mu przyjęcie urodzinowe. Może po to, żeby zapewnić synowi popularność w szkole – przywilej, którym żaden z nas się dotąd nie cieszył.

Rozesała zaproszenia z motywem z *Piratów z Karaibów* do sześciu dzieciaków z naszego roku – wszystkich nas łączył kompletny brak zainteresowania wspólną zabawą – i zabrała całą paczkę do Disneylandu

najbrudniejszym bordowym minivanem świata. Był ostatni wtorek wakacji.

Mieszkaliśmy zaledwie dwadzieścia minut samochodem od Disneylandu, więc do szóstej klasy urok magicznego królestwa zdążył już zblednąć. Doskonale wiedzieliśmy, na czym warto się przejechać, a co jest stratą czasu. Kiedy pani Ellicott zaproponowała wejście do Zaczarowanego Pokoju Tiki, zareagowaliśmy taką lawiną szyderstw, jakby oczekiwała, że będziemy jeść sałatę na patyku zamiast waty cukrowej. Ostatecznie postanowiliśmy zacząć od Góry Wielkich Grzmotów – i na tym, jak się wkrótce okazało, skończyliśmy.

Toby i ja usiedliśmy na samym końcu, bo każdy wie, że ostatni wagonik jedzie najprędzej. Reszta naszej wycieczki rzuciła się na przód. Mimo że z tyłu jest najlepiej, z jakiegoś niepojętego powodu front jest zawsze najpopularniejszy. Tak więc od reszty urodzinowej grupy oddzielił nas ocean innych gości Disneylandu.

Może pamiętam wszystko tak wyraźnie przez to, co się potem wydarzyło. Kojarzycie te znaki przy wejściu na każdą atrakcję: takie z czarną linią wskazującą, że trzeba mieć co najmniej tyle wzrostu, żeby wejść? Zawsze jest tam też masa kretyńskich ostrzeżeń: że kobiety w ciąży i osoby z wadą serca nie powinny jeździć kolejkami górskimi, że trzeba zdjąć plecak i że nie wolno wstawać podczas jazdy.

Okazało się, że te ostrzeżenia wcale nie są takie bezsensowne. Zaraz przed nami siedziała rodzina Japończyków. Wszyscy mieli na głowach czapki z uszami Myszki Miki z imionami wyszytymi z tyłu. Toby i ja usiedliśmy na swoich miejscach. Ruszyliśmy. Wiatr niemal rozpłaszczał nam twarze, a kolejka tak huczała na rozdygotanych torach, że prawie nie słyszeliśmy własnego krzyku. Wtem jeden z chłopców przed nami buntowniczo podniósł się z siedzenia. Śmiał się i przytrzymał dłońią uszatą czapkę, kiedy nagle wjechaliśmy do niskiego tunelu.

W wiadomościach powiedzieli, że czternastolatkowi z Japonii urwało głowę

podczas jazdy na Górze Wielkich Grzmotów, bo zignorował nakazy bezpieczeństwa. Ale nie dodali, że głowa dzieciaka, wciąż w czapce Myszki Miki, poszybowała do tyłu, wirując jak makabryczny helikopter, a Toby Ellicott, w dzień swoich dwunastych urodzin, złapał ją i zszokowany trzymał mocno na kolanach przez resztę przejażdżki.

Po czymś takim nie da się stanąć z powrotem na nogi z godnością. Nie było żadnej magicznej odpowiedzi na niezliczone żarty rzucane w stronę Toby'ego na korytarzach Westlake Middle School, na kpiące rady, żeby nie tracił głowy. Tragedią Toby'ego było to, że wybrał akurat tamto miejsce na rollercoasterze w dniu swoich dwunastych urodzin. Od tej pory mój przyjaciel musiał żyć w cieniu owego wydarzenia.

To równie dobrze mogłem być ja. Gdybyśmy usiedli odwrotnie albo gdyby chłopcy przed nami w ostatniej chwili zamienili się miejscami, to byłaby moja tragedia, nie Toby'ego. Czasami o tym myślałem, gdy przez lata oddalaliśmy się od siebie. Toby zlał się z tłumem, a ja cieszyłem się niewyjaśnioną popularnością. W gimnazjum i liceum moje kolejne dziewczyny śmiały się i zaciekawione marszczyły nosy.

– A ty się czasem nie kumpłowałeś z tym kolesiem? – pytały. – Tym, co złapał urwaną głowę w Disneylandzie?

– Dalej się przyjaźnimy – odpowiadałem, ale to nie była prawda.

Wciąż lubiliśmy się na tyle, żeby czasem rozmawiać przez internet, ale tamtego lata naszej przyjaźni też urwało głowę. Mnie, podobnie jak pechowemu dzieciakowi przed nami, żaden ciężar nie spoczywał na barkach.

*Sorry.* Nie powinienem tak żartować, wiem. Jednak minęło już tyle czasu, że wydaje mi się to koszmarną opowieścią, a nie czymś, co widziałem na własne oczy. Ale ponieważ ta tragedia należała do Toby'ego, to on musiał sobie z nią poradzić, a ja wyszedłem z tej sytuacji względnie nietknięty.

Moja własna tragedia czekała na odpowiedni moment. Chciała uderzyć,

kiedy już przyzwyczaję się do całkiem niezłego życia na zwyczajnych przedmieściach i przestanę oczekiwać, że przytrafi mi się coś ciekawego. Dlatego kiedy moja osobista tragedia wreszcie mnie znalazła, było już prawie za późno. Właśnie skończyłem siedemnaście lat i cieszyłem się taką popularnością, że prawie było mi głupio. Dobrze się uczyłem i groziło mi pozostanie absolutnie nie-niezwykłym gościem na całą wieczność.

Jonasa Beideckera ledwie kojarzyłem – jak kogoś, kto siedzi w ławce obok, albo jak wielkiego vana na lewym pasie, gdy prowadzisz. Miałem go na radarze, ale tylko trochę. To on zorganizował imprezę w swoim domu nad North Lake, z altaną w ogrodzie pełną sześciopaków piwa i lemoniady z wódką. Na podwórku wisiały splątane girlandy lampek choinkowych, choć był weekend przed połowinkami. Światelka migotały w mętnej wodzie jeziora. Na ulicy roiło się od samochodów, więc musiałem zaparkować aż w Windhawk, dwie przecznice dalej, bo miałem paranoję, że ktoś porysuje mi lakier.

Całe popołudnie po treningu tenisa kłóciłem się ze swoją dziewczyną Charlotte na kortach. Oskarżyła mnie – zobaczymy, czy uda mi się to dokładnie powtórzyć – o „unikanie obowiązków przewodniczącego w związku z organizacją luau”. Powiedziała to tak sztywno, jakby oczekiwała, że będę się wstydzić. Jakby jej przewidywania, że doroczną hawajską imprezę dla starszych klas trafi szlag, miały sprawić, że zerwę się na równe nogi i natychmiast zwołam nadzwyczajne posiedzenie samorządu.

Pot łał się ze mnie strumieniami. Właśnie kończyłem butelkę gatorade, kiedy weszła na kort w sukience bez ramiączek, którą cały dzień skrywała pod sweterkiem. Gdy mówiła, byłem zajęty myśleniem, jak seksownie wyglądają jej nagie ramiona. W końcu powiedziała, że czasami jestem beznadziejny i że idzie na imprezę Jonasa ze swoją przyjaciółką Jill, bo nie da się ze mną rozmawiać, kiedy tak niemożliwie się zachowuję. Chyba na to zasłużyłem.

– Jak ktoś jest niemożliwy, to chyba oczywiste, że się nie da – odparłem,

wycierając gatorade z brody.

Zła odpowiedź. Wydała z siebie wściekły dźwięk, taki trochę pisk, a trochę warknięcie, i odeszła zamaszystym krokiem. Dlatego spóźniłem się na imprezę i nawet się nie przebrałem. Wciąż miałem na sobie spodenki do tenisa, bo wiedziałem, że to ją jeszcze bardziej rozdrażni.

Schowałem smycz z kluczami do kieszeni i skinąłem na powitanie całej masie różnych ludzi. Byłem przewodniczącym drugich klas i kapitanem drużyny tenisowej, więc zawsze musiałem kiwać głową i uśmiechać się do ludzi, gdziekolwiek bym poszedł. Jakby życie było sceną, a ja tylko skromnym tenisistą.

*Sorry*, znowu się wygłupiam. Już tak mam. Ludzie się rozluźniają, kiedy mogą wspólnie przewrócić oczami, gdy ktoś ważny robi coś durnego.

Złapałem plastikowy czerwony kubek, choć nie zamierzałem pić alkoholu, i przyłączyłem się do grupki chłopaków z tenisa stojących na podwórku. Ci sami co zwykle, już nieźle wstawieni. Przywitali się ze mną stanowczo zbyt entuzjastycznie. Cierpliwie zniosłem radosne walenie po plecach z przyjaznym grymasem na twarzy, po czym usiadłem na podsuniętym mi leżaku.

– Faulkner, musisz to zobaczyć! – zawołał Evan. Stał na donicy, zataczając się pijacko. W dłoniach ścisnął wściekle zieloną rurkę zrobioną z pianki do pływania i próbował ją trochę ustabilizować, a Jimmy ukląkł na ziemi i przyłożył sobie koniec rurki do twarzy.

Chcieli zrobić z niej lejek do piwa, co najlepiej wskazywało na to, jak bardzo już się spili.

– No, lej – zażądał Jimmy, a reszta chłopaków zaczęła rytmicznie tłuc w meble ogrodowe na zachętę.

Wstałem z leżaka i poprowadziłem ceremonię, bo taka była moja rola w towarzystwie – przewodzenie różnym rzeczom. Stałem więc koło nich z kubkiem w ręce i wygłosiłem sarkastyczną przemowę o tym, że całe



wydarzenie zostało zorganizowane na potrzeby *Księgi rekordów Guinnessa*, ale tylko dlatego, że pijemy guinnessa. Tak samo jak na stu innych imprezach, jeden z setek kretyńskich numerów, które nigdy nie działały, ale przynajmniej wszyscy dobrze się bawili.

Jak łatwo było przewidzieć, rurka nie zdała egzaminu. Jimmy i Evan obwiniali się nawzajem i wymyślali coraz bardziej absurdalne wymówki, które nie miały nic wspólnego z oczywistym brakiem przemyślenia fizycznej strony całego przedsięwzięcia. Następnie rozmowa zeszła na temat afterparty po połowinkach – całą grupą zamierzaliśmy wynająć apartament w luksusowym hotelu Four Seasons – ale słuchałem tylko jednym uchem. Zaraz mieliśmy zacząć ostatnią klasę liceum. Myślałem sobie, co to dla mnie znaczy, te wszystkie rytuały: studniówka, luau, matura. Od lat się im przyglądałem, ale nagle stały się czymś bardzo osobistym.

Zrobiło się chłodno. Dziewczyny dygotały w lekkich sukienkach. Kilka usiadło na kolanach swoim chłopakom z drużyny tenisa. Powyciągały telefony, jak zwykle robią to dziewczyny na imprezach. Ekrany rzucały niebieskawą poświatę na ich dłonie.

– Gdzie jest Charlotte? – zapytała któraś.

Minęła dobra chwila, zanim zorientowałem się, że pytanie zostało skierowane do mnie.

– Halo? Ezra?

– *Sorry* – odparłem, przeczesując włosy palcami. – A nie jest z Jill?

– Nie. Jill ma szlaban. Kojarzysz? Miała takie portfolio. Na stronie dla modelek. Jej rodzice to znaleźli i dostali szału, bo przez pomyłkę uznali, że to porno.

Kilku chłopaków natychmiast podniosło głowy na dźwięk słowa „porno”, a Jimmy wykonał obsceniczny gest piankową rurką.

– Jak można przez pomyłkę uznać coś za porno? – zapytałem, umiarkowanie

zainteresowany kierunkiem, jaki przybrała ta rozmowa.

– Jeśli używasz samowyzwalacza, to jest porno – wyjaśniła dziewczyna, jakby to była powszechna wiedza.

– Okej. – Pożałowałem, że nie jest mądrzejsza i że jej odpowiedź nie zrobiła na mnie wrażenia.

Wszyscy się roześmiali i zaczęli sypać żartami o porno. Zorientowałem się, że rzeczywiście nie mam pojęcia, gdzie jest Charlotte. Sądziłem, że spotkamy się na imprezie i że będzie robić to, co zawsze po naszej kłótni: siedzieć z Jill, przewracać oczami i okazywać mi niechęć z drugiego końca pokoju, aż w końcu podejść i ją wylewnie przeproszę. Ale nie widziałem jej cały wieczór. Wyciągnąłem telefon i wysłałem jej esemesa.

Pięć minut później wciąż nie miałem odpowiedzi. Nagle do naszego stolika podszedł Heath, potężny maturzysta z drużyny futbolu. Powkładał swoje kubki jeden w drugi, miał ich z sześć albo siedem. Pewnie chciał zrobić wrażenie, ale pomyślałem tylko, że to głupie marnotrawstwo.

– Faulkner – burknął.

– No?

Powiedział, żebym wstał. Wzruszyłem ramionami i poszedłem za nim ku małej błotnistej zatoczce tuż nad jeziorem.

– Powinieneś pójść na górę – oznajmił z taką powagą, że nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby się sprzeciwić.

Dom Jonasa był spory. Na oko pięć albo sześć sypialni. Ale szczęście, jeśli mogę to tak nazwać, akurat mi przyjało.

Moja nagroda była już w bramce numer jeden: Charlotte, jakiś typ, którego pierwszy raz widziałem na oczy, i scena, która sfotografowana telefonem mogłaby zostać przez pomyłkę uznana za porno, choć wcale nie stałby za tym mój zamysł artystyczny.

Odkaszniałem. Charlotte również, choć z jej strony wymagało to trochę

wysiłku. Stałem w korytarzu, a ona patrzyła na mnie z przerażeniem. Facet zapiął dżinsy i warknął:

– Co to ma być, do cholery?

– Ezra, ja... Ja... – wyjąkała Charlotte. – Nie wiedziałam, że przyszedłeś.

– Za to on już prawie doszedł – mruknąłem kwaśno.

Nikt się nie roześmiał.

– Co to za koleś? – zapytał ostro facet, patrząc to na mnie, to na Charlotte. Nie był z naszej szkoły i wyglądał na starszego. Jak student, który wbił się na licealną imprezę.

– Jej chłopak – odparłem, ale zabrzmiało to niepewnie, bardziej jak pytanie.

– To ten? – upewnił się, mrużąc oczy. – Mogę mu dosunąć.

Więc nagadała na mnie temu złamasowi? Gdyby doszło do bójki, pewnie by sobie ze mną poradził. Miałem wściekły zamach, ale rakieta do tenisa, a nie pięścią.

– Lepiej ją sobie dosuń – zaproponowałem, odwróciłem się na pięcie i odszedłem korytarzem.

Może wszystko skończyłoby się inaczej, gdyby Charlotte nie pobiegła za mną, wołając, że przecież mam z nią iść w sobotę na połowinki. Może byłoby okej, gdyby nie robiła mi dalej wyrzutów pośrodku zatłoczonego salonu. Może nic by się nie stało, gdybym nie przejmował się tak samochodem i nie zaparkował go aż przy Windhawk, żeby uniknąć pijanych kierowców, którzy mogliby mi wgnieść blachę.

Może gdyby któraś z tych rzeczy się nie wydarzyła, nie wyjechałbym na zakręt Princeton Boulevard właśnie w momencie, kiedy nagle znikąd wypadł czarny SUV i popędził prosto na mnie, nie zatrzymując się przed znakiem stopu.

Nie wiem, czemu mówi się „potracił go samochód”, jakby maszyna rzeczywiście podeszła i trąciła kogoś ramieniem. Mnie najpierw uderzyła poduszka powietrzna, potem kierownica, a potem chyba drzwi od strony

kierowcy i ta część samochodu, o którą zwykle wali się niechcący kolanem, nie wiem, jak to się nazywa.

Siła zderzenia była ogłuszająca. Wydawało mi się, że wszystko leci prosto na mnie i zgniata się wokół. Czułem smród silnika zdychającego pod maską. Trochę jak palona guma, ale z taką słoną, metaliczną nutą. Wszyscy wybiegli na trawnik Beideckerów dwa domy dalej. Przez chmurę dymu unoszącego się z silnika dostrzegłem szpaler dziewczyn w sukienkach bez ramiączek. Trzymały wysoko telefony i sumiennie fotografowały wrak skasowanego samochodu.

Ale ja tylko siedziałem i się śmiałem, bo przecież jestem nieśmiertelnym stuletnim wampirem.

Dobra, jaja sobie robię. Wiadomo, byłoby super, gdybym mógł się otrzepać i pojechać w swoją stronę, jak ten chytry palant, który śmignął w długą i nawet nie obejrzał się za siebie po tym, jak rozwalił moją ukochaną beemkę. Byłoby wspaniale, gdyby wszyscy imprezowicze nie rozpierzchli się w popłochu, żeby gliny nie zgarnęły całej bandy nieletnich za spożywanie alkoholu. Gdyby Charlotte albo chociaż jeden z moich domniemanych przyjaciół został na miejscu, żeby pojechać razem ze mną w karetce, kiedy leżałem nieprzytomny z bólu. Gdyby moja matka nie koncentrowała się na wyborze najlepszej biżuterii i nie przyjechała na pogotowie ze szminką na zębach.

To okropne, że pamiętam takie pierdoły, co? Małeńkie szczegóły bez znaczenia, wirujące na peryferiach potężnej katastrofy.

Nie chce mi się więcej o tym opowiadać – mam nadzieję, że mi wybaczą. Wystarczy, że raz musiałem przez to przechodzić. Moja biedna fura nadawała się tylko na żyletki, jak cała reszta mojego życia. Lekarze powiedzieli, że nadgarstek się zagoi, ale z nogą nie było dobrze. Kolano miałem zupełnie strzaskane.

Ale to nie jest tak naprawdę opowieść o dwunastych urodzinach Toby'ego ani o skasowanym samochodzie na imprezie u Jonasa.

W chemii organicznej jest taki problem, nazywa się retrosynteza. Dostajesz

związek chemiczny, który nie występuje w przyrodzie, i musisz go rozpracować wstecz, krok po kroku, żeby dojść do tego, jak powstał – jakie warunki doprowadziły do takiej kombinacji. Kiedy skończysz i zrobisz to prawidłowo, otrzymasz równanie, które będzie można normalnie przeczytać. Nie da się odróżnić pytania od odpowiedzi.

Wciąż uważam, że każde życie, nieważne jak mało wyjątkowe, ma swój jeden tragiczny punkt zwrotny, po którym dzieje się wszystko, co naprawdę ma znaczenie. Ta chwila to katalizator – pierwszy krok w równaniu. Ale poznanie pierwszego kroku nic ci nie da – dopiero to, co nadchodzi później, odpowiada za ostateczny wynik.

Więc jak miały się sprawy po mojej osobistej tragedii? Najpierw byłem smętnym frajerem w szpitalu, obojętnym na żywe i wesolutkie pielęgniarce z oddziału pediatrii. Potem stałem się intruzem we własnym domu. Na pewien czas zamieszkałem w pokoju gościnnym na parterze. Byłem inwalidą, ułomnym, jakby ktoś wołał. To najbardziej przerażające słowo, jakie słyszałem wobec kogoś, kto właśnie powinien wracać do zdrowia. W matematyce ułamek funkcjonuje w stosunku do liczby naturalnej, której jest częścią. Tylko częścią, niczym więcej.

Chociaż nie, cofam ten sprzeciw. To słowo rzeczywiście do mnie pasowało. Kiedyś byłem Ezrą Faulknerem, złotym chłopcem, ale ta osoba odeszła w zapomnienie. Został ułamek dawnego Ezry. Dowód?

Nigdy nikomu o tym nie powiedziałem, ale ostatniej nocy tamtych wakacji pojechałem do Eastwood High. Było późno, koło jedenastej, rodzice już spali. Wypielegnowane alejki mojego grodzonego osiedla były ciemne i przytłaczająco samotne, jak to czasami bywa nocą na przedmieściach. Pola truskawkowe wzdłuż ulicy wyglądały, jakby ciągnęły się w nieskończoność, choć tak naprawdę ze starych farm niewiele zostało – mały gaj pomarańczowy naprzeciwko chińskiego pasażu handlowego i zielone pasy rozdzielcze między jezdniami, na których rosły wiekowe jawory uwięzione za barierkami.

Kiedy się nad tym zastanowić, to dość dołujące – mieszkać na grodzonym osiedlu pełnym domów „w stylu hiszpańskim”, każdy z sześcioma sypialniami, podczas gdy niecały kilometr dalej nielegalni imigranci pracują na czarno i całymi dniami gną się w pole na polach truskawek. A ty codziennie przejeżdżasz

koło nich w drodze do szkoły.

Liceum Eastwood znajduje się w najdalej wysuniętym na północ zakątku miasteczka Eastwood w Kalifornii i chowa się u stóp okolicznych wzgórz jak jakaś stiukowa forteca. Zaparkowałem na miejscu dla nauczycieli, bo czemu nie? Walić to. Przynajmniej tak sobie powiedziałem. W rzeczywistości jednak była to oznaka nie buntu, lecz słabości – parking dla nauczycieli znajdował się zaraz przy kortach tenisowych.

Wokół kompleksu basenowego unosił się zapach chloru, a personel zdążył już porozstawiać plażowe parasole przy stolikach kawiarni na tarasie. Widziałem ich poprzechylane zawadiacko sylwetki.

Miałem własny klucz. Otworzyłem bramkę do swojego ulubionego kortu i podstawiłem torbę ze sprzętem, żeby się nie zamknęły. Moja rakietka, której nie trzymałem w dłoniach od miesiąca, wyglądała dokładnie tak, jak ją zapamiętałem. Rączkę miała owiniętą czarną taśmą, która już trochę odchodziła. Pomyślałem, że czas kupić nową, oceniając po wgnieceniach ramy, ale oczywiście wiedziałem, że nie kupię nowej. Ani teraz, ani nigdy.

Wypuściłem z dłoni laskę. Ze stukotem upadła na ziemię. Kulejąc, ruszyłem ku linii serwisowej. Mój fizjoterapeuta nie pozwalał mi na razie nawet wsiadać na rowerek stacjonarny. Mój inny terapeuta byłby jeszcze mniej zadowolony, ale nic mnie to nie obchodziło. Musiałem się przekonać, czy naprawdę jest tak źle, czy to prawda, co powiedzieli lekarze: że koniec ze sportem. „Koniec”. Jakby ostatnie dwanaście lat mojego życia znaczyło nie więcej niż lekcja wuefu na czwartej godzinie i właśnie rozległ się dzwonek na długą przerwę.

Wyjąłem piłkę z kieszeni i ustawiłem się do miękkiego serwu, tego najłagodniejszego, którego czasami używałem, żeby uniknąć drugiego błędu serwisowego. Ledwie oddychając, podrzuciłem wysoko piłkę i poczułem, jak napotyka siatkę rakietki. Nie było to całkiem przyjemne, ale do zniesienia. Wylądowała zgrabnie pośrodku pola. Celowałem w prawy tylny róg, ale niech

będzie.

Potrząsnąłem nadgarstkiem. Skrzywiłem się. Stabilizator ograniczał mi ruchy, ale nie byłem na tyle głupi, żeby go zdejmować. A potem podrzuciłem drugą piłkę i mocno strzeliłem, przekrzywiając rakieta, żeby trochę podkręcić serw. Wylądowałem na zdrowej nodze, ale siła uderzenia poniosła mnie do przodu. Potknąłem się i niechcący przeniósłem ciężar ciała na strzaskane kolano. Ból nadszedł bez ostrzeżenia.

Kiedy zdążył już zelżeć do znajomego tępego kłucia, które nigdy całkiem mnie nie opuszczało, piłka cicho potoczyła mi się pod nogi, jakby szydziła z moich nadziei. Serw nie wyszedł, nawet nie posłałem piłki za siatkę.

Miałem dosyć. Zostawiłem piłki na korcie, schowałem rakieta do pokrowca i podniosłem laskę, zastanawiając się, po co w ogóle marnowałem czas.

Zamknąłem za sobą bramkę kortu. Na kampusie nagle zrobiło się trochę strasznie. Nad pustymi budynkami wisiały groźne cienie wzgórz. Ale oczywiście nie było się czego bać – poza pierwszym dniem szkoły i pokazaniem się wszystkim znajomym, których unikałem przez całe lato.

Eastwood High było kiedyś moim miejscem. Tym jednym, jedynym miejscem, w którym wszyscy mnie znali, gdzie czułem, że nigdy nie popełnię żadnego błędu. No i korty – grałem w reprezentacji od siódmej klasy. Kiedy szkoła należała jeszcze do mnie, na kortach znajdowałem spokój, wśród symetrycznych białych linii dzielących kwadraty w kolorze soczystej zieleni. Tenis był jak gra wideo, w którą zdążyłem już wygrać milion razy, więc dawno straciłem przyjemność ze zwycięstwa. Gra, w którą wciąż grałem, bo wszyscy tego ode mnie oczekiwali, a ja byłem dobry w spełnianiu oczekiwań. Kiedyś, bo teraz już nikt niczego ode mnie nie oczekiwał. Tak to już jest ze złotem, szybko zaczyna odłazić.



### 3

W liceum na człowieka czai się mnóstwo nieprzewidzianych publicznych upokorzeń, ale mnie nic takiego się dotąd nie przytrafiło. Aż do 8.10 pierwszego dnia ostatniej klasy. Bo o 8.10 tego ranka nie tylko zorientowałem się, że nie mam z kim siedzieć podczas porannego wiecu sportowego, ale też że będę musiał usiąść w pierwszym rzędzie, bo na wyższych trybunach było za mało miejsca, żebym mógł rozprostować kolano.

Pierwszy rząd zajmowali sami nauczyciele i ta jedna gotka na wózku, która twierdziła, że tak naprawdę jest czarownicą. Ale nie było takiej opcji, żebym na oczach całej szkoły wgramolił się po schodach, niezdarnie kulejąc. A wszyscy naprawdę się na mnie gapili. Czułem ich wzrok, śledzący mnie nie dlatego, że uzyskałem rekordową przewagę w wyborach do samorządu albo że trzymałem za rękę Charlotte Hyde w kolejce po kawę w bufecie. To było co innego. Miałem ochotę skrzywić się w milczących przeprosinach za ciemne wory pod oczami i brak choćby cienia letniej opalenizny. Miałem ochotę zniknąć, rozpląnąć się w powietrzu.

Każdy sektor trybun zdobyły balonowy łuk i transparent z szarego papieru. Usiadłem dokładnie pod literą „R” w napisie „DO BOJU, MATURZYŚCI!” i patrzyłem, jak członkowie samorządu uczniowskiego zbierają się w stadko pośrodku boiska do koszykówki. Wszyscy mieli na sobie plastikowe hawajskie naszyjniki i okulary przeciwsłoneczne. Jill Nakamura, nowa przewodnicząca naszego rocznika, była ubrana tylko w górę od bikini i poszarpane dżinsowe szorty. A potem stadko się rozpierzchno i dostrzegłem Charlotte chichoczącą z resztą cheerleaderek w minispódniczkach. Nasze oczy na chwilę się spotkały,

lecz ona szybko odwróciła wzrok z zażenowaniem. Ale ten moment powiedział mi wszystko, co potrzebowiałem wiedzieć: tragedia na imprezie Jonasa Beideckera należała do mnie i tylko do mnie.

A potem wydarzył się mały cud i na krzeselku obok usiadł Toby Ellicott.

– Słyszałeś o pszczołach? – zapytał wesoło.

– Co?

– Pszczoły. Znikają – wyjaśnił. – Naukowcy są kompletnie skołowani. Czytałem dziś rano w gazecie.

– Może to ściema? No wiesz: jak udowodnić coś takiego?

– Spis powszechny pszczół? – zasugerował. – Tak czy inaczej, zaczynam inwestować w miód.

Od lat nie rozmawiałem z Tobym. Ja grałem w tenisa, a on należał do koła debat. Rzadko mieliśmy razem jakieś zajęcia. Nie zostało w nim już nic z pyzatego dzieciaka w wielkich okularach, z którym łączyła mnie przyjaźń aż do pierwszych tygodni szóstej klasy. Nadal miał na głowie szopę ciemnych włosów, ale przez te kilka lat zmienił się w pająkowatego dryblasa – mierzył prawie metr dziewięćdziesiąt. Poprawił muszkę, rozpiął marynarkę i wyciągnął nogi, jakby trafiło mu się najlepsze miejsce.

– Powinieneś sobie sprawić laskę ze szpadą w środku – oznajmił. – To byłby hardkor. Znam właściwego człowieka, gdybyś był zainteresowany.

– Znasz typa od lasek ze szpadą?

– Nie udawaj, że tak cię szokują moje szemrane znajomości, Faulkner. Technicznie rzecz biorąc, on zajmuje się handlem antykami.

Wtedy huknęła muzyka. Najpierw rozsadzający czaszkę pisk z głośników, a następnie pierwsze takty katowanego do porzygu singla Vampire Weekend. Członkowie samorządu zaczęli klaskać jak frajerzy, żeby rozkręcić imprezę, a Jill wydarła się do mikrofonu, by wszyscy wiedzieli, jaka jest nakręcona na najlepszy rok szkolny w historii świata.

Nagle i zupełnie bez powodu samorząd zaczął tańczyć coś w rodzaju hula, wciąż w okularach przeciwsłonecznych i z girlandami sztucznych kwiatów na szyjach. Nie mogłem uwierzyć, że przed moimi oczami rozgrywa się coś tak absurdalnie nie na miejscu, taniec hula do dźwięków afrykańskich bębnów rockowego zespołu, założonego przez chłopców z drogiego college'u na Wschodnim Wybrzeżu.

- Błagam, powiedz, że mam haluny – wymamrotał Toby.
- MATURZYŚCI, JAK SIĘ CZUJECIE?! – wrzasnęła Jill.

Reakcja była ogłuszająca.

- NIE SŁYSZĘ! – krzyknęła znowu, wysuwając biodro w bok.
- Zabij mnie – jęknął Toby.
- Chętnie, ale gdzieś zapodziałem laskę ze szpadą.

Siedząca koło Toby'ego pani Levine posłała nam wściekłe spojrzenie.

- Panowie, proszę się zachowywać albo się pożegnamy – warknęła.

Toby prychnął.

Kiedy piosenka wreszcie dobiegła końca, Jimmy Fuller przejął mikrofon. Miał na sobie bluzę do tenisa. Nie mogłem nie zauważyć, że zespół dostał nowe dresy.

- Jak tam, Eastwood?! – huknął. – Czas przywitać naszą reprezentację!

Jak na zawołanie drzwi sali gimnastycznej otworzyły się i na boisko wpadł zespół futbolu w ochraniaczach i koszulkach sportowych. Za nimi drużyny koszykówki, tenisa i piłki wodnej, ale wtedy już nie zwracałem uwagi na kolejne zespoły i ich prezentacje. Moje dawne życie, całe moje życie, stało pośrodku boiska do koszykówki, a ja siedziałem na ławce dla nauczycieli i prędzej odgryzłbym sobie ręce, niż zacząłbym bić brawo. Najbardziej na świecie chciałem po prostu wyjść i znaleźć się jak najdalej od tego wszystkiego.

- Ej, Ezra – zagadnął Toby teatralnym szeptem. – Stary, masz plaster

nikotynowy?

– Proszę wyjść! – rozkazała pani Levine. – Obaj, natychmiast!

Toby i ja popatrzyliśmy po sobie, wzruszyliśmy ramionami i złapaliśmy plecaki.

Na zewnątrz było jasno. Bezchmurne niebo było wręcz niemożliwie błękitne. Zmrużyłem oczy i schowałem się w cieniu stiukowego daszku, szukając w plecaku okularów przeciwsłonecznych.

– Plaster nikotynowy? Serio?

– No co? Wyciągnąłem nas stamtąd, nie? – Toby nie krył zadowolenia z siebie.

– Prawda. Dzięki.

– Za co? Nie miałem ochoty tam siedzieć. Pani Levine śmierdzi z gęby.

W końcu wylądowaliśmy w Aneksie, sali do nauki łączącej klasę dziennikarską i salę debat. Cała szkoła była na wiecu. W regularnych interwałach dochodziły do nas stłumione wrzaski z sali gimnastycznej.

– Brzmi jak Disneyland. – Toby uśmiechnął się szeroko.

Zaskoczyło mnie, że o tym mówi.

– Byłeś tam jeszcze kiedyś? – zapytałem.

– Żartujesz? Codziennie tam chodzę, dali mi darmowy bilet na całe życie. Jestem prawie jak szwagier Kaczora Donalda.

– Czyli nie.

– A ty?

Potrząsnąłem głową.

– Mógłbyś dostać wjazd dla niepełnosprawnych. – Toby nie odpuszczał. – Wszędzie wskakiwałbyś na początek kolejki.

– Zachowam to na następny podryw. Dziewczyny będą zachwycone.

Nie wiedzieć czemu, nie przeszkadzało mi, że Toby robi sobie jaja z mojej

laski. A byłem na tym punkcie przewrażliwiony. Każdy by był, gdyby musiał spędzić całe wakacje, opędzając się od matki, która chciała dobrze, ale była przy tym nie do zniesienia. Sterczała pod łazienką zawsze, kiedy brałem prysznic – przerażała ją myśl, że się poślizgnę i zabiję, bo nie pozwoliłem jej zamontować takich metalowych rączek, których mógłbym się złapać. A mnie przerażała myśl, że wejdzie i przyłapie mnie na, hm, braniu prysznic.

– To do jakiego zespołu przyłączasz się w tym roku? – zagałł Toby.

Aż do matury każdy musiał do jakiegoś należeć, a tenis już nie wchodził w grę.

– Debaty – przyznałem. Nagle uświadomiłem sobie, że pewnie będziemy w jednej grupie.

– Stary, super! W tym roku jestem kapitanem, powinieneś iść do reprezentacji.

– Będę tam tylko dlatego, że do jakiegoś muszę dołączyć. Niespecjalnie interesuje mnie debatowanie.

Wtedy wydawało mi się, że zespół debat to banda chłopaków, którzy w weekendy przebierają się w garnitury i naprawdę wierzą, że mają coś do powiedzenia na temat polityki zagranicznej, bo przecież chodzą na rozszerzoną wiedzę o społeczeństwie.

– Może i nie, ale jesteś mi coś winien. Wyciągnąłem nas z wiecu – zaproteutował mój przyjaciel.

– Jesteśmy kwita. W siódmej klasie powiedziałem Tugowi Masonowi w szatni, że ma ci nie sikać do plecaka.

– Wcale nie jesteśmy kwita. Zamiast tego naszczał mi do gatorade.

– A, zapomniałem.

Rozległ się dzwonek.

– Ej, Faulkner, chcesz usłyszeć coś naprawdę dołującego? – zapytał Toby, zarzucając plecak na ramię.

- No?
- Pierwsza lekcja nawet się jeszcze nie zaczęła.

Co ciekawe, ponieważ zapisałem się na dodatkowe zajęcia z debatowania, zmienił mi się cały plan lekcji. Eastwood High przydziela plany lekcji blokami – od początku liceum miałem przedmioty humanistyczne na parzystych godzinach tak jak inni sportowcy, ale teraz wszystko przesunęło mi się na nieparzyste. Nic nie zostało takie samo.

Na pierwszej lekcji miałem rozszerzoną historię Europy, co było mało szczęśliwym początkiem roku, bo: 1) historii Europy uczył pan Anthony, trener drużyny tenisa, i 2) jego klasa była na drugim piętrze budynku 400, co oznaczało, że 3) musiałem wejść po schodach.

Przez lato schody stały się moim wrogiem numer jeden. Robiłem wszystko, żeby unikać publicznej konfrontacji z tym architektonicznym koszmarem. Jeszcze nie odebrałem z recepcji klucza do windy, razem z niebieską kartą parkingową dla niepełnosprawnych, tą, której nigdy, przenigdy nie zamierzałem używać.

W końcu dotarłem na lekcję – wgramoliłem się na piętro po rzadko uczęszczanych schodach od strony parkingu dla nauczycieli. Pan Anthony zaczął już sprawdzanie obecności. Na chwilę przerwał, żeby posłać mi nieprzyjemne spojrzenie znad dziennika. Skrzywiłem się w niemych przeprosinach i usiadłem z tyłu klasy.

Kiedy wywołał moje nazwisko, wymamrotałem „obecny”, nie podnosząc głowy. Byłem trochę zaskoczony, że w ogóle je usłyszałem. Zwykle gdy nauczyciele dochodzili do mnie podczas sprawdzania listy, mówili tylko: „Ezra Faulkner, tak, obecny” i odhaczali mi obecność. Jakby byli zadowoleni, że jestem – jakby moja obecność podnosiła prestiż całej grupy.

Ale kiedy trener A zawiesił głos po wywołaniu mojego nazwiska, musiałem potwierdzić obecność – choć przecież doskonale wiedział, że jestem, bo spóźniłem się dobrych trzydzieści sekund – i aż zwątpiłem, że rzeczywiście tu jestem. Podniosłem głowę. Patrzył na mnie tym samym wściekłym wzrokiem co na treningach, kiedy nie biegaliśmy dość szybko podczas rozgrzewki.

– Pierwsze ostrzeżenie za spóźnienie, panie Faulkner – powiedział.

– Zrozumiano – burknąłem.

Pan Anthony kontynuował sprawdzanie obecności. Nie zwracałem na to uwagi, ale w pewnym momencie padło nazwisko, którego wcześniej nie słyszałem. Dostrzegłem lekkie poruszenie w klasie. Nowa. Siedziała po drugiej stronie sali, koło półek z książkami. Dojrzałem tylko rękaw zielonego swetra i burzę rudych włosów.

Lista lektur nie zaskakiwała, choć pan Anthony chyba był innego zdania. Zaczął gadać, że rozszerzona historia wymaga dużo nauki, jakbyśmy nie mieli w drugiej klasie historii Stanów Zjednoczonych z panią Welsh, też rozszerzonej. Większość chłopaków z tenisa nie lubiła trenera, bo uważała, że jest strasznie ostry. Byłem przyzwyczajony do surowych trenerów, ale teraz, w klasie bez sportowców, szybko zaczynałem rozumieć, że dla zwykłych uczniów nie ma litości.

– Na pewno wszyscy przeczytaliście lektury, które mieliście zadane na wakacje – powiedział takim tonem, jakby nas o coś oskarżał. – *Europejskie średniowiecze. Od upadku Rzymu do renesansu*. Jeśli nie mieliście ochoty zniżyć się do takich zadań, to musicie szybko zmienić plany na najbliższy weekend. Możecie już teraz uznać, że wszelkie inne rzeczy przeszły, ach, do historii.

Nikt się nie roześmiał.

*Cesarstwo Rzymskie: 200 r. p.n.e.–474 r. n.e.*, nabazgrał na tablicy, po czym uniósł brew, jakby coś go bardzo rozbawiło. Zapanowała długa cisza,



podczas której wszyscy próbowaliśmy zgadnąć, czemu nic nie mówi. Wreszcie Xiao Lin podniósł rękę.

– Przepraszam, ale czy to nie był 476 rok? – wymamrotał.

– Dziękuję, panie, ach, Lin, za wykazanie się umiejętnością rozpoznawania cyfr na poziomie przedszkola – prychnął pan Anthony, poprawiając datę na tablicy. – A teraz może ktoś nam powie, dlaczego nazwa „Święte Cesarstwo Rzymskie” nie odpowiada prawdzie? Może pan Faulkner?

Gdybym był przeczulony, pomyślałbym, że na twarzy trenera A maluje się złośliwy uśmieszek. No dobra, był złośliwy. Rozumiałem jego rozczarowanie, że nie mogę już grać, ale tak jakby zakładałem, że nie będzie mi z tego powodu - robić gnoju.

– Bo weszła w życie dopiero po Karolu Wielkim? – rzuciłem, obrysowując litery na liście lektur.

– Odpowiedź na miarę ucznia zawodówki – oznajmił trener. – Zechciałby pan spróbować ponownie, tym razem może na poziomie liceum?

Nie wiem, czemu to powiedziałem – może dlatego, że nie miałem ochoty być kozłem ofiarnym trenera przez cały rok szkolny – ale zanim zastanowiłem się dobrze, co robię, odchyliłem się na krześle i odparłem:

– Dobra, okej. Dwie przyczyny: po pierwsze „Święte Cesarstwo Rzymskie” początkowo nazywało się państwem Franków, dopóki Karol Wielki nie otrzymał od papieża tytułu cesarza rzymskiego. A po drugie nie było święte, nie było rzymskie, a nawet nie było imperium. Było taką luźną paczką zakumplowanych germańskich państw plemiennych.

Nigdy wcześniej nie pyskowałem na lekcji i od razu pożałowałem tego wyskoku. Zazwyczaj wiedziałem, co powiedzieć, kiedy nauczyciele wywoływali mnie do odpowiedzi, i miałem dobre oceny, ale nikt nie uznałby mnie za geniusza. Po prostu spędziłem większość lata na czytaniu i myśleniu, bo nie miałem nic innego do roboty.

– Miłego weekendu, panie Faulkner – odparł jadownicie trener.  
Zrozumiałem, że zamiast się go pozbyć, nakręciłem go na rewanz.

Prawie zapomniałem, że z powodu wiecu sportowego zmienił nam się dzisiaj plan lekcji. Już wychodziłem z klasy, myśląc, że mamy przerwę, kiedy ktoś postukał mnie w ramię.

Odwróciłem się i zobaczyłem tę nową. Trzymała w dłoni pognieciony plan lekcji i patrzyła na mnie, jakbym robił na niej wrażenie kogoś, do kogo warto się zwrócić pierwszego dnia w nowej szkole. Nie spodziewałem się jej oczu – głębokich, niepokojących, ciemnoniebieskich. Jakby jej gniew potrafił wywoływać burzę.

– Ee, sorry – bąknęła, zerkając na plan. – Pierwsza lekcja miała się skończyć o dziewiątej trzydzieści pięć, ale dzwonek był dopiero za dziesięć dziesiąta...

– To przez wiec sportowy – wyjaśniłem. – Nie ma przerwy i idziemy prosto na następną lekcję.

– Och! – Odgarnęła grzywkę i wahała się chwilę. – Co masz teraz?

– Literaturę amerykańską, rozszerzoną.

– Ja też. Mógłbyś mi pokazać, gdzie to jest?

W innych okolicznościach mógłbym. Pierwszego dnia drugiej klasy nawet zatrzymałem się kilka razy na kampusie, żeby pomóc zagubionym pierwszacom, którzy bezradnie gapili się na mapki, jakby wylądowali w jakimś labiryncie bez wyjścia.

– Niestety nie mógłbym – odparłem, choć byłem na siebie o to wściekły.

– A, okej.

Patrzyłem, jak odchodzi, i pomyślałem, że dziewczyny w Eastwood – a przynajmniej te zasługujące na uwagę – wyglądają wszystkie tak samo. Blond włosy, dużo makijażu, absurdalnie drogie torebki. Ta nowa w niczym ich nie przypominała. Nie wiedziałem, co myśleć o jej znoszonej męskiej koszuli

wpuszczonej w dżinsowe szorty i o wysłużonym skórzanym worku na jej ramieniu, który wyglądał jak rekwizyt ze starego filmu. Ale przy tym była ładna. Ciekawiło mnie, skąd jest i czemu w ogóle nie stara się wtopić w tłum. Chciałem za nią pobiec i przeprosić, albo chociaż wytłumaczyć. Ale nie pobiegłem. Zamiast tego pokuśtykałem z powrotem na parter po schodach koło parkingu dla nauczycieli, przeszedłem przez kampus do budynku 100 i wszedłem do klasy dobrych kilka minut po dzwonku.

Miałem już wcześniej zajęcia z panem Morenem, z rozszerzonej literatury brytyjskiej. Ponoć od dwudziestu lat pisał tę samą powieść i albo szczerze lubił uczyć, albo nigdy nie wyrósł z liceum, bo trochę przykro było patrzeć, jak wychodzi ze skóry, żeby podjarać nas Szekspirem.

Moreno miał gdzieś, że się spóźniłem – nawet nie zauważył. Odtwarzacz DVD nie chciał się uruchomić, więc pełzał na czworakach z płytą w zębach i sprawdzał wszystkie kable. W końcu Luke Sheppard, przewodniczący koła filmowego, przeprowadził arogancką interwencję i wszyscy mogliśmy obejrzeć *Wielkiego Gatsby'ego* – oryginalną produkcję, nie tę z DiCaprio. Jeszcze nie widziałem tej wersji. Film był czarno-biały i trochę nudny. Musieliśmy przeczytać powieść przez wakacje – film był o wiele słabszy niż książka.

Ale najgorsza była scena wypadku samochodowego. Spodziewałem się jej, ale to wcale nie ułatwiło mi oglądania. Zamknąłem oczy, ale nadal wszystko słyszałem, jak policjant mówi gapiom, że ten łajdak nawet nie zatrzymał auta. Pomimo zaciśniętych powiek czułem na sobie spojrzenia całej klasy i bardzo chciałem, żeby przestali. Było mi z tym źle, jakbym ich jednocześnie fascynował i przerażał. Jakbym już nie był jednym z nich.

Po lekcji przez chwilę rozważałem wyjście na zalany słońcem dziedziniec, pełen stolików ze szkolnej kawiarni. Moja stara paczka siedziała przy najbardziej widocznym stoliku, tym pod ścianą dzielącą większe podwórze od mniejszego.

Wyobraziłem ich sobie w nowych zespołowych dresach w pierwszy dzień szkoły w klasie maturalnej, jak opowiadają sobie historie z letnich obozów sportowych i wakacji na plaży, jak się śmieją, że pierwszaki wyglądają jak dzieci. A potem wyobraziłem sobie, że siedzę z nimi przy tym stoliku. Wyobraziłem sobie, że nikt nic nie mówi, ale wszyscy myślą to samo: „Już nie jesteś jednym z nas”. Nie byłem przewodniczącym samorządu ani kapitanem drużyny tenisowej. Nie spotykałem się z Charlotte i nie jeździłem lśniącą beemką. Już nie byłem królem, więc należało się pogodzić z wygnaniem. I właśnie dlatego, zamiast kłaść na szalę ostatnie okruchy godności, w ogóle nie wyszedłem na podwórze. Usiadłem na ocienionych schodach przy parkingu, założyłem słuchawki i przez chwilę zastanawiałem się, czemu nie wiedziałem, że będzie aż tak źle.

W szkole była tylko jedna klasa hiszpańskiego, co oznaczało kolejny rok z panią Martin. Kiedy rozmawialiśmy po hiszpańsku, kazała mówić do siebie „*señora Martinez*”, co wydawało się idiotyczne, bo jej mąż był pastorem w miejscowym kościele luteranów. Pani Martin wyglądała jak taka typowa nadopiekuńcza babcia, która piecze ciasteczka, zawsze ma na swetrze jakąś wesołą przypinkę i wszystkich traktuje jak przedszkolaków.

Przyszedłem jako pierwszy. Pani Martin cała się rozpromieniła na mój widok i wyszeptała, że w parafii wszyscy modlili się za mnie po wypadku. Przyszło mi do głowy sporo rzeczy bardziej zasługujących na modlitwę, ale nie miałem serca jej tego mówić.

– *Gracias, señora Martinez* – wymamrotałem i usiadłem na swoim stałym miejscu.

– Joł, Faulkner. – Evan skinął głową na powitanie, po czym on i trzech innych chłopaków z drużyny tenisowej zajęli miejsca wokół mnie, jakby nic się nie zmieniło.

Wszyscy trzymali papierowe torebki z Burger Kinga, a na plecach mieli nowe

tenisowe plecaki, takie profesjonalne, o które błagaliśmy trenera od lat. Tak bardzo przykuły moją uwagę, że nie zauważyłem dwóch innych rzeczy: że wszyscy poszli na lunch poza teren szkoły i że na rękawie Evana pojawił się dodatkowy pasek.

– Nie pogratulujesz mi awansu na kapitana? – Evan sięgnął do torebki z jedzeniem i wyjął potężnego podwójnego burgera.

Salę wypełnił zapach ciepłej cebuli i oślizgłych smażonych kotletów.

– Gratulacje – powiedziałem bez zaskoczenia. Spodziewałem się, że go wybiorą.

– No, ktoś musiał ogarnąć zespół, gdy zabrałeś od nas swoją kulawą dupę. – Ciepły baryton Evana sprawiał, że nawet ta obelga brzmiała dziwnie przyjaźnie.

Siedzący za mną Jimmy wyciągnął w naszą stronę kubełek frytek. A właściwie wiadro.

– Chcesz trochę?

– Na pewno sam nie dokończysz? – odparłem, zachowując pełną powagę.

– E, wziąłem tyle, żeby starczyło dla wszystkich, gdyby *señora* Martin się wkurzyła.

Nie potrafiłem powstrzymać śmiechu.

– Stary – Evan klepnął mnie w ramię – idziesz jutro z nami do Chipotle? Meksykański wtorek!

– Nie ma czegoś takiego jak meksykański wtorek. – Pokręciłem głową z szerokim uśmiechem.

To było dziwne – moja paczka zachowywała się, jakby nigdy nic. Przez chwilę zastanawiałem się, czy rzeczywiście to może być takie proste. Czy mógłbym iść na tacosy z drużyną, do której już nie należę? Czy w ogóle chcę jeszcze z nimi przebywać, kiedy z lidera zmieniłem się w piąte koło u wozu?

I wtedy do klasy wkroczyła Charlotte, spowita chmurą znajomych

owocowych perfum, i wzięła sobie garść frytek z kubelka Jimmy'ego. Przysiadła na biurku koło Evana. Spódniczka zespołu cheerleaderek zafurkotała jej wokół opalonych nóg.

– A gdzie moje frytki? – zapytała, stukając Evana czubkiem buta.

– No, Jimmy kupił frytki dla wszystkich. – Evanowi zrzędała mina. Uświadomił sobie, że dał ciała.

– Ale ja nie prosiłam Jimmy'ego, żeby przyniósł mi frytki, tylko ciebie – odparła, wydymając usteczka.

– *Sorry*, kotku. Wynagrodzę ci to. – Evan wychylił się, żeby ją pocałować.

Gdybym jeszcze się nie domyślił, teraz wiedziałem już na pewno: Charlotte spotykała się z Evanem.

– Nie teraz, mam tłuste ręce – zaprotestowała, odwracając się od niego. – Przyniosłeś chociaż serwetki?

– Ups. Zapomniałem.

Chyba powinno mi być przykro, że moja była dziewczyna spotyka się z jednym z moich najlepszych przyjaciół. Chyba należałoby się też zastanowić nie tylko nad tym jak, lecz także kiedy to się wydarzyło, ale czułem się dziwnie oderwany, jakby przejmowanie się czymś takim wymagało zbyt wiele wysiłku. Westchnąłem, wyjąłem z plecaka paczkę chusteczek i podałem Charlotte.

– Dzięki. – Nie potrafiła nawet spojrzeć w moją stronę.

Nie wiedziałem, czy to z poczucia winy, czy po prostu z litości.

Chwilę później dołączyła do nas Jill Nakamura. Wciąż miała na nosie ciemne okulary. Zanim usiadła, przytuliła Charlotte, jakby nie widziały się dziesięć minut temu na lunchu.

– Ech, w tym roku mamy razem tylko dwie lekcje – zaczęła narzekać Charlotte.

Jill na poczekaniu wyprodukowała jakąś wymówkę, że przez samorząd ma

rozwalony plan. Pozwoliłem sobie na krzywy uśmieszek. Tak naprawdę dzięki pełnionym funkcjom Jill i ja od lat mieliśmy kontrolę nad swoimi planami zajęć, ale zgodnie z niepisaną umową nie chwaliliśmy się tym głośno.

Charlotte schowała chusteczki do torby – moje chusteczki.

– O, mój Boże – powiedziała, zapinając torbę zamaszystym ruchem. – Patrzcie! Jakby obrabowała kosz Caritasu.

– Z ciuchami dla chłopców. – Jill ledwie powstrzymała się od śmiechu.

Nowa stała w drzwiach i rozglądała się po sali. Większość miejsc była już zajęta. Widziałem, że próbuje zignorować skupioną na sobie uwagę. Na szczęście pani Martin wyszła na środek, zaklaskała kilka razy, żeby nas uciszyć, jakbyśmy byli w podstawówce, i zawołała:

– *Hola*, klaso!

Zawsze miałem dość mieszane uczucia co do hiszpańskiego. Zazwyczaj potrafiłem zmarnować dobre pięć minut, gapiąc się bezmyślnie na najnowszą przypinkę pani Martin. A czasami w ogóle nic nie trzeba było robić, bo oglądaliśmy filmy Disneya z hiszpańskim dubbingiem. Dziś jednak pani Martin oznajmiła, że mamy dobrać się w pary, a potem opowiedzieć klasie, czego dowiedzieliśmy się o naszym partnerze – *en español* – a ja pojąłem, że hiszpański ma potencjał, by stać się dużo większą torturą niż poranny wiec.

Jeszcze przed chwilą wszyscy byli tacy mili, jednak teraz patrzyłem, jak raz-dwa dobierają się w pary, a ja siedzę sam. Dawniej zawsze miałem z kim współpracować. Ale jak widać, sporo się zmieniło. Wtem zauważyłem nową: siedziała bez ruchu ze wzrokiem wlepionym w pusty zeszyt.

Usiadłem obok niej i posłałem jej szeroki uśmiech – wiedziałem, że robi wrażenie na dziewczynach.

– No to jak się nazywasz? – zagadnąłem.

– Chyba mieliśmy rozmawiać po hiszpańsku? – odparła beznamiętnie.

– Ona ma to gdzieś. Chce tylko, żebyśmy przygotowali prezentację.

– Rzeczywiście, spore wyzwanie. – Pokręciła głową i otworzyła zeszyt na pierwszej wolnej stronie. – No dobra. *Me llamo Cassidy. Cómo te llamas?*

– *Me llamo Ezra* – odparłem, zapisując jej imię. Cassidy. Ładnie.

Chwilę milczeliśmy, słuchając, jak jedna para koło nas zadręcza się łamaną hiszpańszczyzną. Cała reszta rozmawiała po angielsku, bo pani Martin naprawdę nie interesowało, co robimy.

– No...? – Cassidy wytrąciła mnie z zamyślenia.

– *A, sorry. Yy... De donde has venido de?*

Uniosła brew.

– *Dondo de la Barrows School de San Francisco. Y tu?*

W życiu nie słyszałem o Barrows School, ale wyobrażałem sobie, że to jakiś klasztor, po którym wszyscy idą na prestiżowe studia. Tym bardziej nie rozumiałem, co ona robi w Eastwood High. Powiedziałem jej, że jestem stąd.

– *Yy, no więc... Es una escuela donde duerme uno con el otro?* – wydukałem. Mój hiszpański był bardzo zakurzony. Nie wspominając o tym, że nawet w najlepszych czasach nie miałem się czym chwalić.

Wybuchła śmiechem, niespodziewanie i bez żadnych hamulców, jakby była na imprezie albo w szkolnej stołówce, a nie w cichej klasie. Charlotte i Jill natychmiast odwróciły się w naszą stronę.

– *Sorry* – Cassidy wykrzywiła usta w złośliwym uśmiešku – ale naprawdę chcesz wiedzieć, czy wszyscy uczniowie w moim liceum ze sobą sypiają? – zapytała, przedrzeźniając mój głos.

Skrzywiłem się.

– Próbowałem zapytać, czy to szkoła z internatem.

– *Sí, es un internado* – odparła. – Może rzeczywiście lepiej zostanemy przy angielskim.

Tak zrobiliśmy. Dowiedziałem się, że Cassidy właśnie skończyła letni



program edukacyjny na Oxfordzie, gdzie uczyła się o Szekspirze, że pojechała na weekend do Transylwanii i prawie utknęła tam na dobre, że uczyła się grać na gitarze na dachu swojego akademika, bo gotycka architektura zapewnia świetną akustykę. Ja nigdy nie byłem za granicą, nie licząc wycieczki samochodem do Tijuany w zeszłą majówkę z Jimmym, Evanem, Charlotte i Jill. Oczywiście nigdy nie byłem w teatrze The Globe, żaden Cygan nie ukradł mi paszportu w zamku Drakuli, no i nigdy nie wyszedłem ze swojego pokoju w akademiku przez okno z gitarą na plecach. Wszystko, co w życiu zrobiłem, wszystko, co mnie definiowało, było nieodwracalnie zakotwiczone w przeszłości. Ale Cassidy wciąż cierpliwie czekała na moją odpowiedź, z wiecznym piórem wiszącym milimetry nad bladymi linijkami zeszytu.

Westchnąłem i wydusiłem kilka szablonowych odpowiedzi: mam siedemnaście lat, mój ulubiony sport to tenis, a ulubiony przedmiot to historia.

– No, fascynujące – mruknęła Cassidy, kiedy skończyłem.

– Wiem – wymamrotałem. – Przykro mi.

– W ogóle cię nie czają – powiedziała nagle, marszcząc nos. – Wszyscy stają na głowie, żeby cię unikać, ale bez przerwy się gapią. A ty siedzisz z nimi w kącie jak jakiś debilny król balu, czy jak wy to nazywacie, i nie potrafisz powiedzieć o sobie nic ponad: „*Me gusta el tennis*”, i wybaczyć, że to powiem, ale to przecież oczywiste, że nie grasz w tenisa.

Wzruszyłem ramionami. Starłem się nie dać po sobie poznać, że ukłuły mnie jej słowa – że tyle we mnie dostrzegła.

– A może ja właśnie byłem królem – palnąłem w końcu.

Wtedy dopiero się wściekła. Próbowałem powstrzymać śmiech – teraz widziałem, jak absurdalnie to wyglądało. Ta idiotyczna plastikowa korona i berło z balu połowinkowego, zbierające kurz na półce z książkami, choć przecież nawet mnie tam nie było.

Resztę czasu przesiedzieliśmy w milczeniu, ignorując się nawzajem, aż

nadeszła nasza kolej na prezentację.

– *Yo presento Cassidy* – powiedziałem, a Charlotte głośno zachichotała.

Pani Martin się skrzywiła.

– Cassidy dziewczynka czy Cassidy chłopiec? – zapytała Charlotte scenicznym szeptem, co wywołało u Jill historyczny napad tłumionego śmiechu.

Wiedziałem, jaka potrafi być Charlotte, a ostatnie, czego Cassidy potrzebowała do szczęścia, to zostać nowym obiektem jej prześladowań. Wyprodukowałem więc na oczekaniu nudną historyjkę o tym, że jej ulubiony przedmiot to angielski, że lubi chodzić na balet i że ma młodszego brata, który gra w piłkę. Wyświadczyłem jej przysługę – dzięki mnie jej historia niczym się nie wyróżniała, więc Charlotte nie dostała amunicji. Ale okazało się, że Cassidy odebrała to inaczej. Kiedy skończyłem, posłała mi wredny uśmiech, podwinęła rękawy swetra i spokojnie oznajmiła po hiszpańsku:

– To jest Ezra. Był królem balu i gra w tenisa najlepiej w całej szkole.

Po powrocie do domu przebrałem się w sportowe szorty i wyciągnąłem na leżaku w ogródku. Materac był przykurzony. Wsłuchałem się w szum wody opadającej na skałki sztucznego wodospadu. Kiedy ostatnio ktoś kąpał się w naszym basenie? Nie mogłem sobie przypomnieć. Słońce niemal parzyło mi skórę. Świeciło tak jasno, że ledwie widziałem tekst w podręczniku do hiszpańskiego.

– Ezra, co ty wyprawiasz? – Usłyszałem skrzek mamy i aż podskoczyłem.

Przekręciłem się na brzuch i spojrzałem przez zmrużone powieki w stronę domu. Czekająca za siatkowymi drzwiami, przestępując z nogi na nogę. Pod pachą trzymała matę do jogi.

– Już idę, okej?! – zawołałem.

– Coś ty sobie myślał? – zapytała łagodnie, kiedy usiadłem z nią przy stole w kuchni. Wciąż miała na sobie strój do jogi. Wyglądała w nim na dużo mniej niż swoje czterdzieści siedem lat.

– Że może złapię trochę słońca. Jestem blady jak ściana.

– Och, kotku – westchnęła. Wyjęła z lodówki karton lemoniady i naląła nam po szklance. – Wiesz, że nie możesz wychodzić na pełne słońce.

Burknąłem twierdząco i wypilem łyk napoju. Był obrzydliwy. Mama kupowała wyłącznie zdrowe rzeczy, dzięki czemu skutecznie udawało jej się unikać produktów zawierających choć jeden zasadniczy dla żywności składnik taki jak gluten, cukier albo smak.

Musiałem jednak przyznać jej rację z tym słońcem. Po ostatniej operacji kolana wciąż jechałem na lekach przeciwbólowych. Jednym z wielu cudownych

skutków ubocznych była zwiększona wrażliwość na światło słoneczne. Po dwudziestu minutach na dworze kręciło mi się w głowie, ale nie zamierzałem się do tego przyznawać.

– Jak było w szkole? – spytała, marszcząc czoło. Obraz matczynej troski.

Dyskretnie ponizająco, odparłem w myślach.

– W porządku – powiedziałem na głos.

– Coś ciekawego się wydarzyło? – Nie odpuszczała.

Pomyślałem o tym, jak wykopali mnie z wiecu sportowego za podejrzenie, że diluję plastrami nikotynowymi (zabawne, bo w życiu nawet nie powąchałem papierosa). Pomyślałem o koszarnej historii Europy z trenerem. Pomyślałem o nowej dziewczynie na gotyckim dachu, pół świata od zdychających truskawkowych pól i sztucznego jeziora w Eastwood, jak siedzi w tych dziwacznych starych ciuchach i pobrzękuje na gitarze, zapatrzona na dzwonnice i brukowane uliczki.

– Nic ciekawego – powiedziałem, a potem udałem, że jestem zmęczony, i poszedłem na górę.

Nasz dom to jakiś architektoniczny kaszalot. Sześć sypialni i „bonusowy pokój”, wszystkie pomalowane na ten sam kolor: skorupka jajka od szczęśliwej kury z wolnego wybiegu. Całość wygląda jak te modele pomieszczeń w Ikea, pełne sztucznych książek i pokazowych mebli, w których nikt nigdy nie zamieszka. Wprowadziliśmy się tu, kiedy miałem osiem lat. To miał być „wyższy standard” po starszym grodzonym osiedlu po drugiej stronie pętli. Rok później odziedziczyliśmy Coopera, wielkiego pudła mojej walniętej ciotki, bo wyszła ponownie za mąż i wprowadziła się do luksusowego apartamentu, w którym nie wolno trzymać dużych zwierząt.

Cooper był typowym pudlem – taką puchatą czarną żyrafą. W dzieciństwie na spacerach zaczepiałem jego smycz o kierownicę hulajnogi, a on ciągnął mnie tam i z powrotem po ulicach. Przemyciałem go do łóżka, kiedy miałem koszmary,

choć powinien był spać na dole, w pralni. Kiedy go dostaliśmy, miał jakieś osiem lat. Było widać, że uważa się za wielkiego eleganta, prawdziwego arystokratę. Dobra, przyznaję: kochałem tego dziwnego zwierzaka. Kochałem go za to, że jego futro pachniało jak popcorn, a w oczach miał taką mądrość, jakby rozumiał wszystko, co się do niego mówi.

Czekał w moim pokoju zwinięty w kłębek w nogach łóżka. Pysk oparł na *Wielkim Gatsbym*, którego przeglądałem zeszłego wieczora.

„Może spacerek, stary druhu?“, zapytał wzrokiem. Usiadłem przy nim i poklepałem go po głowie.

– *Sorry*, kolego. – Westchnąłem.

I przysięgam, że kiedy to powiedziałem, pokiwał głową, jakby w smutnym zamyśleniu. Potem ułożył się z powrotem na starym, należącym kiedyś do mamy egzemplarzu *Wielkiego Gatsby’ego*. Myślałem, że serce mi pęknie. Chciałem złapać smycz i pobiec z nim naszą stałą trasą, kończącą się zawsze obłądnym wyścigiem po stromej leśnej ścieżce na końcu Crescent Vista. Myśl o tym, jak dawno tego nie robiliśmy – i że już nigdy nie wyjdę z nim pobiegać – uderzyła mnie z pełną siłą.

Włączyłem tę samą playlistę Boba Dylana, do której smęciłem przez całe wakacje, i położyłem się na łóżku. Nie płakałem, ale przełykanie łez cholernie bolało. Trochę tak sobie poleżałem przy zaciągniętych żaluzjach, słuchając cudownie depresyjnych starych kawałków, i próbowałem sam siebie przekonać, że tęsknię za swoim dawnym życiem. Ale tego popołudnia na lekcji hiszpańskiego czułem się kompletnie pusty w środku. Moja stara paczka gadała o niczym, o lunchu. Miałem wrażenie, że jakaś część mnie, która lubiła tych ludzi, wyparowała i zostawiła za sobą wielką dziurę, a ja trzymam się kurczowo jej brzegów i próbuję nie ześlizgnąć się do środka. Bałem się sprawdzać, jak jest głęboka.

Mama zawołała mnie na obiad przez interkom dokładnie o wpół do siódmej.

Do tego czasu zdążyłem już trochę się pozbierać. Ugotowała łososia z komosą ryżową i jarmużem. Nie chcę zabrzmieć jak mały niewdzięcznik, ale ojciec i ja o wiele bardziej ucieszylibyśmy się na widok pizzy. Oczywiście nic nie powiedzieliśmy. Mamie nie da się nic powiedzieć.

Jestem bardzo podobny do taty. Mamy takie same ciemne kręcone włosy, choć u niego na skroniach pojawiła się już siwizna. Takie same niebieskie oczy i niewielki dołek w brodzie. Ale on ma metr osiemdziesiąt pięć, a ja tylko metr osiemdziesiąt. Jest prawnikiem, takim, który pracuje w wielkiej korporacji i z każdym się lubi, i co roku wysyła kasę dla swojej dawnej uczelni. Głośny śmiech, zawsze pachnie jak płyn do płukania ust, kiedyś grał w tenisa, teraz w golfa. Znacie ten typ.

Podczas obiadu co chwila zerkał przez ramię, jakby spodziewał się – albo miał nadzieję – że zaraz zadzwoni telefon. Tata ma też gabinet w domu, żeby móc pracować przed wyjściem do biura i po powrocie. Twierdzi, że to z powodu różnicy czasu między Kalifornią a Nowym Jorkiem, bo przez to niekiedy musi brać udział w telekonferencjach o szóstej rano. Ale tak naprawdę po prostu chce, żebyśmy widzieli, jaki jest ważny i że nigdy nie może się na krok oddalić od swoich papierów i faksu.

Rodzice zaczęli po cichu omawiać, co zrobić z gałęziami drzewa sąsiadów przechodzącymi na nasze podwórko, kiedy wtem zadzwonił telefon. Połączenie poszło prosto na automatyczną sekretarkę. Z głośnika rozległy się znajome piski. Tata popędził do telefonu.

– Przestań wydzwaniać, gówniarzu! – ryknął.

Mama złożyła usta w ciup i zjadła kolejną porcję komosy, ale ja prawie spadłem pod stół ze śmiechu. Ojciec naprawdę musiał czymś wkurzyć ludzi z telekomunikacji, bo kiedy zakładał telefon stacjonarny do biura, dali mu najlepszy numer na świecie. Pamiętacie, jak odkryliście, że każdy przycisk w telefonie wydaje inny ton, a jeśli wybierze się je w odpowiedniej kolejności, to

wyjdzie *Wlazł kotek na płotek*? No właśnie – tak się złożyło, że tata dostał akurat tę kombinację.

Zazwyczaj dzwonią do nas małe dzieci, które bawią się telefonem i nawet nie wiedzą, że gdzieś się dodzwoniły. Ojciec dostaje przez to białej gorączki, ale uważa, że ze zmianą numeru byłoby za dużo problemów. Ja sądzę, że to szalenie zabawne. Czasem nawet odbieram, jeśli ktoś dzwoni w nocy, i próbuję pogadać z osobą po drugiej stronie. Często te dzieciaki nawet nie mówią po angielsku, ale w grudniu zeszłego roku jakiś uroczy maluch uznał, że jestem Świętym Mikołajem, i wymusił na mnie obietnicę, że pod choinkę dostanie aparat na zęby. Kompletnie mnie to rozwaliło.

Tata wrócił do stołu i podniósł widelec, jakby przed chwilą wcale nie pluł wulgaryzmami do telefonu.

– No, Ezra – zaczął, posyłając mi ten sam czarusiowaty uśmiech, jaki ma pewnie przyklejony do twarzy na każdym zjeździe absolwentów Uniwersytetu Kalifornijskiego – jak tam się sprawuje nowy samochód?

– Świetnie, dzięki – odparłem, chociaż to był tylko zwyczajny pięcioletni sedan. Nie, żebym oczekiwał, że firma ubezpieczeniowa albo tata odkupią mi roadstera. No, ale wiecie, byłoby miło.

– Tylko pamiętaj, młody: zrób jedną ryś, to cię zabiję. – Ojciec zaniósł się śmiechem, jakby powiedział coś strasznie zabawnego.

Uśmiechnąłem się blado z nadzieją, że nie załapałem żartu.

Jeśli czas naprawdę leczy rany, to poziom szczęścia powinien być wymierny. Rysujesz oś X i oś Y, tendencja wzrostowa symbolizuje zwiększenie szczęścia względem czasu, kreślisz krzywą i już wszystko jasne. Ale to bzdura, bo uczucia nie są obiektywnie mierzalne. W każdym razie nad tym zastanawiałem się następnego dnia rano na matematyce, kiedy pan Choi analizował pochodne funkcji. No i też nad tym, czy potrafiłbym zniechęcić matematykę jeszcze bardziej.

Na przerwie stanąłem w kolejce do wózka z kawą. Jakimś wyjątkowo szczęśliwym trafem wylądowałem za dwiema rozchichotanymi dziewczynami z pierwszej klasy. Co chwila trącały się ramionami i zerkwały na mnie, jakby zachęcały się nawzajem, żeby mnie zagadnąć. Nie wiedziałem, co o tym myśleć.

Kiedy zamawiałem kawę, wciąż stały niedaleko. Sięgnąłem po saszetkę z cukrem. Wyższa z dziewczyn rzuciła mi mieszadełko.

– Dzięki – powiedziałem, zastanawiając się, o co im chodzi. W zeszłym roku czasem zdarzały mi się takie końskie zaloty ze strony nowych uczennic, ale byłem przekonany, że oficjalnie i nieodwracalnie utraciłem status nieosiągalnego chłopaka z wyższej klasy.

– Hej, Ezra. – Dziewczyna zachichotała. – Pamiętasz mnie? Siostra Toby’ego?

– Jasne, że pamiętam – odparłem, choć nie poznałbym jej na korytarzu.

Wyglądała tak samo jak większość nowych dziewczyn – szczupła i ciemnowłosa, w różowej bluzie z kapturem i z aparatem na zębach. A potem zorientowałem się, że za nic nie mogę sobie przypomnieć jej imienia.



Udałem, że jestem bardzo zajęty mieszaniem kawy. Nagle poczułem stuknięcie w ramię.

– Dzień dobry – powiedziała rzeško Cassidy. – Co za szkoła ma własne stoisko z kawą?

– Stoisko z napojami – poprawiłem. – W zeszłym roku było powstanie miłośników kawy. Wcześniej dawali tu tylko gorącą czekoladę.

Zacząłem przedstawiać Cassidy siostrze Toby’ego, raczej z grzeczności, ale urwałem, bo wciąż nie pamiętałem jej imienia.

– Emily – podpowiedziała.

– Właśnie, Emily – przytaknąłem potulnie, zapisując to sobie w pamięci.

Zabrzączał dzwonek. Emily i jej koleżanka aż podskoczyły, jakby świat miał runąć w przepaść, jeśli natychmiast nie popędzą na lekcję. Ach, być pierwszym.

– Nie powinnyście być przed klasą? – zapytałem, drażniąc się z nimi przyjaźnie. – Chyba nie chcecie się spóźnić?

Zmyły się od razu, jakbym wydał rozkaz. Kiedy odchodziły, wciąż chichotały i tręcały się ramionami.

– Chyba nie chcecie się spóźnić – powtórzyła Cassidy z uśmiechem.

Dziś zamiast wielkiej męskiej koszuli miała na sobie plisowaną sukienkę, którą chyba odziedziczyła po prababci. Ale materiał opinał się na wszystkich właściwych miejscach – Cassidy na pewno nie była chłopcem.

Wyrzuciłem pustą saszetkę po cukrze i ruszyłem w stronę klasy.

– Po szkocku to się nazywa „*tartle*” – oznajmiła Cassidy, idąc za mną. – Jakbyś był ciekaw.

– Co się nazywa „*tartle*”?

– Taka pauza w rozmowie, kiedy nie możesz sobie przypomnieć imienia osoby, którą przedstawiasz. W Szkocji mówią na to „*tartle*”, ale to

nieprzetłumaczalne.

– Fascynujące – odparłem kwaśno. To rzeczywiście było interesujące, ale wciąż byłem na nią zły za to, co zrobiła na hiszpańskim.

– Czekaj! – Cassidy nie odpuszczała. – Jesteś zły za wczoraj? Nie wiedziałam. Boże, pewnie mnie nienawidzisz. Spoko, możesz mi strzelić z niewidzialnej kuszy prosto w serce.

Zatrzymała się na chwilę, zaciskając mocno oczy, jakby oczekiwała, że przyłączę się do gry. Kiedy zorientowała się, że nic z tego, skrzywiła się i znów mnie dogoniła.

– Nie, żebym rozpytywała czy coś takiego – ciągnęła – ale cała szkoła o tobie gada. A jeśli się nie pospieszysz, to się spóźnimy.

– To ty idziesz ze mną – zwróciłem uwagę.

Przygryzła wargę. Widziałem, że już zdołała się domyślić, czemu nie chciałem jej wczoraj odprowadzić na angielski. Między nami uniosła się na moment dziwna, niewidzialna bańka zrozumienia.

– Co teraz masz? – zapytałem, żeby wypełnić ciszę.

– Debatę. – Wygięła wargi, jakby trafiła na te zajęcia wbrew swojej woli, tak jak ja.

– Ja też. Słuchaj, nie musisz na mnie czekać.

– Ta, żebyś mi strzelił z niewidzialnej kuszy w plecy? – prychnęła. – Chyba kpisz.

Więc spóźniliśmy się razem.

– Faulkner! – zahuczał Toby. Siedział na biurku nauczycielki, a pod szyją miał kolejną ekstrawagancką muszkę.

Zajęcia jeszcze się nie zaczęły, prawie nikt nie zajął miejsca. Przez małe okienko w drzwiach widziałem panią Weng. Stała w Aneksie i rozmawiała z nauczycielką dziennikarstwa.

Toby zsunął się z biurka. Na widok Cassidy mało się nie udławił.

– Co ty tu robisz? – wykrztusił.

– Znacie się? – Zmarszczyłem brwi, spoglądając na nich na zmianę.

Cassidy wyglądała na przerażoną. Wyrazu twarzy Toby’ego w ogóle nie potrafiłem odczytać.

– Cassidy – Toby zawahał się, jakby zmienił zdanie w trakcie wypowiedzi – jest płótkową.

Z jakiegoś powodu Cassidy wyglądała na niezadowoloną.

– Płótkową? Że co, skaczesz przez płotki?

– Nie, on ma na myśli taki termin z debatowania – wyjaśniła, krzywiąc się, jakby ten temat był dla niej szczególnie nieprzyjemny. – To nic takiego.

– Jasne, nic takiego! – przerwał jej Toby. – Nie wierzę, że przeniosłaś się do Eastwood. Bo się przeniosłaś, prawda? Bo to jest epickie, poważnie! Wszyscy się posikają.

Cassidy wzruszyła ramionami, pokazując, że nie ma ochoty o tym rozmawiać. Usiedliśmy we trójkę z tyłu klasy. Po kilku minutach weszła pani Weng i rozdała wszystkim kartki z opisem zajęć. Pani Weng była młoda, świeżo po studiach, ten typ, który co chwila traci kontrolę nad rozbrykaną klasą i w duchu coraz bardziej panikuje, aż w końcu przychodzi starszy nauczyciel z klasy obok i na wszystkich wrzeszczy.

Przez chwilę opowiadała o różnych typach debat, po czym poprosiła Toby’ego, żeby wstał i zachęcił wszystkich do zapisania się do klubu.

Toby wyszedł na środek pewnym krokiem, zapiął marynarkę i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Panie i panowie – zaczął gładko – zakładam, że wszystkich nas łączą wspólne zainteresowania, a konkretnie alkohol, towarzystwo płci przeciwnej oraz robienie głupot.

Pani Weng zrobiła się blada jak ściana.

– Oczywiście mam na myśli czekające nas czasy studiów uniwersyteckich, kiedy to właśnie takie i inne szemrane sposoby spędzania wolnego czasu będą na wyciągnięcie ręki. Naturalnie po godzinach ciężkiej pracy naukowej – doprecyzował. – A przynależność do klubu debatanckiego to doskonały zapychacz w podaniu na studia, dzięki któremu można łatwo i przyjemnie natrzaskać kilka dodatkowych punktów w procesie aplikacji.

Toby zaczął się rozwodzić nad szkolną drużyną debatancką, nad wymaganym czasem i nad przeszłymi dokonaniem naszej reprezentacji („jesteśmy jeszcze gorsi niż ci od golfa!”). Był niezłym mówcą, więc przez chwilę zastanawiałem się, czemu nigdy nie startował w wyborach do samorządu. A potem przypomniałem sobie urwaną głowę.

Po przemówieniu Toby puścił po klasie kartkę zapisów na pierwszy turniej debatancki w tym roku – nikt się nie wpisał. Kiedy kartka dotarła do Cassidy, jej ramiona zatrzęsły się od tłumionego śmiechu. Przesunęła listę po biurku w moją stronę.

Na samym szczycie widniał wielki napis, nabazgrany wściekle różowym flamastrem:

1. ZAJ-EZRA-BISTY FAULKNER, YO! (*jesteś mi to winien za siki w gatorade*)

Nie zdołałem się powstrzymać. Wybuchłem głośnym śmiechem.

W klasie zapadła grobowa cisza, a Toby tak się szczyrzył, jakby właśnie wygrał mistrzostwa świata w ping-pongu. Pani Wong posłała mi zirytowane spojrzenie. Prędko zamieniłem śmiech w teatralny atak kaszlu, a Cassidy pochyliła się i zaczęła pomocnie walić mnie po plecach. Ku mojemu najgłębszemu zawstydzeniu przez to zacząłem naprawdę kaszleć.

Kiedy wreszcie się uspokoiłem, miałem na sobie uwagę calutkiej klasy.

– *Sorry* – wyszeptała Cassidy.

Wzruszyłem ramionami, jakby to nie miało znaczenia, ale kiedy nie patrzyła, w rewanżu szybko zapisałem jej imię na liście Toby'ego i podałem dalej. Przez resztę lekcji mieliśmy pracować w parach i rozpisać strukturę debaty parlamentarnej. Dobrałem się w parę z Cassidy.

– Co to jest płotkowy? – zacząłem znowu drażnić, kiedy zobaczyłem, że nie zabiera się do pracy.

– No, tak się nazywa kogoś, kto zajmuje pierwsze miejsce w każdej rundzie turnieju. – Westchnęła, obracając w palcach wieczne pióro. – Jego wynik to rząd jedynek, i one razem wyglądają jak płotek.

Przez chwilę zastanawiałem się nad tą ideą – nie tylko wygrać, ale wygrać poprzez kumulację zwycięstw – aż podszedł do nas Toby i podsunął sobie krzesło.

– No hej – powiedział. – Gdybyście się zastanawiali, czy warto coś pisać: ona nie będzie tego sprawdzać.

– Na pewno? – spytałem.

– Przysięgam na grób swojego ukochanego chomika Petunii – odparł, co niespecjalnie mnie przekonało, bo z tego, co pamiętałem, Toby nigdy nie miał chomika. – Pani Weng poprosiła, żebym wymyślił na przerwie jakiś temat do poćwiczenia. Tak naprawdę nawet nie mam tu teraz lekcji. Tylko jej pomagam.

– Więc się tobą weng-ręcza? – zapytała Cassidy.

Wszyscy troje się roześmialiśmy. Nagle dotarło do mnie, że Cassidy i Toby się znają. Że jeśli ktoś tu jest obcy, to nie ta nowa, tylko ja.

Zaraz po dzwonku pani Weng powiedziała, żebyśmy zatrzymali swoje notatki, a Toby odwrócił się do mnie z bezgłośnym „mówiłem”.

Klasa zaczęła powoli pustoszeć. Patrzyłem, jak Cassidy zapina kłamry skórzanego worka. Włosy miała zaplecione w warkocze i upięte wysoko na głowie. Ta fryzura, w zestawieniu z jej ostrymi kośćmi policzkowymi i bladą cerą, nadawała jej wygląd postaci z innej epoki, w której ludzie kupują obligacje

wojenne i wyjeżdżają na wieś, żeby uciec przed atakami z powietrza. Nigdy nie widziałem kogoś takiego jak ona, i nie mogłem oderwać od niej wzroku.

– No, raz-dwa – powiedział nagle Toby.

Cassidy podniosła głowę – prawie przyłapała mnie na gapieniu się prosto w jej twarz.

– Idziesz ze mną na lunch. Ty też, Faulkner. Przyda mi się nowy wielbiciel.

– Miałem iść do Chipotle – odparłem. – Z Evanem, Jimmym i resztą.

To zabrzmiało idiotycznie. Już mówiąc te słowa, wiedziałem, że nigdzie nie idę.

– Jasne, jasne. – Toby się zaśmiał. – Bez dyskusji, idziesz z nami. Ruszajcie się, mój harem nie zacznie jeść, dopóki nie pobłogosławię go swoją obecnością.

Kiedy tylko wyszedłem na podwórze, pojąłem, że straszliwie się przeliczyłem: Jimmy i Evan ostatecznie nie poszli do Chipotle. Wszyscy moi dawni przyjaciele zostali na lunch na kampusie. Widziałem ich, jak siedzą przy najlepszym stoliku pod murkiem dzielącym większe i mniejsze podwórze. Chłopaki z drużyn piłki wodnej i tenisa siedzieli stłoczeni wokół o wiele za małego stolika i próbowali utrzymać swoje dziewczyny na kolanach. Cheerleaderki Charlotte z grupy Song Squad siedziały na murku, piły dietetyczną colę i machały gołymi nogami. Niezupełnie ten sam skład co w zeszłym roku, ale kompozycja nie miała znaczenia. To nadal był ten stolik, z którego śmiech niósł się po całym podwórzu, i każdy, kto to słyszał, marzył, żeby mieć do niego dostęp.

– Joł, kapitanie! – zawołał Luke Sheppard, machając na widok Toby’ego.

Kiedy szliśmy przez podwórze, czułem na nas spojrzenia absolutnie wszystkich: Toby w krzykliwej muszce, Cassidy z warkoczami upiętymi wysoko na głowie i ja w czarnej bluzie o nisko obciągniętych rękawach, żeby ukryć opaskę na nadgarstku. Starłem się sprawiać wrażenie, że laska jest mi potrzebna dużo mniej, niż była w rzeczywistości.

Toby zagonił nas do jednego z lepiej umiejscowionych stolików, dużego, na osiem osób, i ocienionego szarą plażową parasolką. Do połowy zajmowali go już etatowi szkolni ekscentrycy.

– Poznajcie resztę naszego fenomenalnego zespołu debatantów – oznajmił Toby, a ja przez chwilę myślałem, że żartuje.

Najpierw dostrzegłem Luke’a Shepparda, przewodniczącego klubu

filmowego, w hipsterskich okularach i z kpiącym uśmiechem przyklejonym do twarzy. W zeszłym roku cała szkoła śledziła takiego bloga: *Złote myśli dyrektora*. Luke nigdy nie przyznał się wprost do autorstwa, ale wszyscy wiedzieli, że to on go założył. Obok niego siedział Sam Mayfield, który wyglądał tak, jakby się tu zaplątał przypadkiem w drodze powrotnej z klubu dla dżentelmenów. Na kilometr śmierdział przyszłym prawnikiem i choć był dopiero w trzeciej klasie, przewodniczył szkolnemu klubowi republikanów, odkąd sięgam pamięcią. Naprzeciwko Sama zobaczyłem Austina Novellego, naszego szkolnego grafika. Popijał red bulla i grał w coś na iPadzie. Austin zaprojektował logo na szkolnych bluzach i okładkę naszej kroniki. W drugiej klasie założył własny sklep internetowy z koszulkami.

Zasadniczo wyobrażałem sobie, że znajomi Toby'ego to banda nieco zdziwaczałych kujonów, którzy trzymają się razem niejako z przymusu i traktują liceum jak coś, co trzeba przetrwać bez zwracania na siebie uwagi. Ale o tej paczce stanowczo nie dało się tego powiedzieć.

– Patrzcie, kogo znalazłem – oznajmił radośnie Toby.

Luke'owi opadła szczęka. Sam roześmiał się z niedowierzaniem.

– Niech mnie kule biją, Cassidy Thorpe – wycedził Austin, odgarniając rozczochrane blond włosy z oczu i nie odrywając wzroku od gry. – A ty co tutaj robisz?

– Czekam do matury, żeby wreszcie coś zrobić ze swoim życiem, tak samo jak wy – odparła Cassidy z szerokim uśmiechem. – Jakim cudem nigdy nie wspomnieliście, że macie w szkole stoisko z kawą?

Cassidy usiadła na ławce koło Toby'ego, wyciągnęła paczkę krakersów z masłem orzechowym i poklepała miejsce obok siebie. Było na końcu ławki, dzięki Bogu. Zastanawiałem się, czy specjalnie tak usiadła, żebym nie musiał nikogo prosić o przesunięcie się w głąb.

– Ach tak – dodał Toby nieco zbyt teatralnym tonem, jakby dopiero sobie



przypomniał. – Znacie wszyscy Faulknera.

– Hej – przywitałem się nieśmiało, siadając na zaoferowanym miejscu.

Pewnie sądzili, że tylko przechodziłem, bo oprowadzałem nową. Ale kiedy usiadłem przy stole, Luke posłał Toby'emu znaczące spojrzenie, jakby w regulaminie napisano, że dołączenie mnie do grupy wymaga najpierw jego aprobaty.

Włożyłem ciemne okulary i patrzyłem, jak wszyscy skubią swoje jedzenie (przerwa na lunch zaczyna się o 11.30 – kompletny absurd, skoro niektóre okoliczne sieciówki o tej porze jeszcze sprzedają menu śniadaniowe). Ja nic nie miałem. Zerknąłem na kolejkę do stołówki na mniejszym podwórzu. Sznureczek pierwszaków ciągnął się w nieskończoność.

– Szybko, jedzcie! – Phoebe Chang zamaszystym ruchem postawiła na stoliku plastikowe pudełko sklepowych babeczek. Kolczyk w jej nosie odbijał promienie słońca jak mały brylant. Jedno pasmo włosów miała ufarbowane na różowo. – Dopiero co zwinęłam je z recepcji. Pielęgniarka ma urodziny – wyjaśniła. Zerknęła przez ramię, jakby spodziewała się, że w każdej chwili mogą wysłać za nią pogoń.

Toby sięgnął po waniliowe ciastko.

– Pięćdziesiąt punktów do ironii, jeśli się tym strujemy – powiedział. – Przy okazji, Phoebe, to jest Cassidy. Ezrę znasz.

Phoebe, która wciąż grzała się w blasku cukierniczej chwały, spojrzała na mnie z roztargnieniem i o mało nie wypuściła mrożonej herbaty.

– Ja piernicę. Spóźniłam się pięć minut i przegapiłam najbardziej historyczny transfer stolikowy w pisanej i oralnej historii tej szkoły.

– Myślałem, że nie lubisz oralnych historii, Phoebie – wtrącił Luke i puścił do niej oko.

Phoebe wzięła babeczkę, rozgniotła kremową dekorację językiem i podała Luke'owi ze złośliwym uśmiechem.

– Nic mi o tym nie wiadomo. A ty? Bierzesz po kimś do buzi, Sheppard?

Luke wziął od niej ciastko i wgryzł się łakomie, jakby chciał ją sprowokować. Byłem ciekaw, od kiedy ze sobą chodzą. Phoebe raczej nie słynęła z kradzieży wyrobów cukierniczych, ale była powszechnie znana jako redaktor naczelna szkolnej gazety.

– No, Ezra – powiedziała, wślizgując się na ławkę obok Luke’a. – Jak to jest być nastoletnim wampirem?

Toby prychnął, a Cassidy wypluła kilka okruchów babeczki.

– No weź – ciągnęła Phoebe. – Aż się prosisz. Błada skóra, czarne ciuchy, nic nie jesz i ciągle tak się patrzysz spode łba. Normalnie boki zrywać. Powinieneś nasmarować się brokatem i zacząć łązić za jakąś niczego nieświadomą laską z pierwszej klasy.

– Doskonały pomysł! – zgodziła się Cassidy. – Powiedz jej, że jesteś niebezpiecznym potworem. I dodaj, że jej krew świetnie pachnie.

– Jasne. Trafię na zły dzień w miesiącu z takim żartem i dostanę z liścia – wymamrotałem, a wszyscy się roześmiali.

– Zabawny jesteś – powiedziała Phoebe, podając mi ostatnią czekoladową babeczkę. – A ja zawsze myślałam, że twoi znajomi rechoczą na dźwięk własnych pierdów.

– Dziewięćdziesiąt procent męskiej populacji Eastwood śmieje się z własnych pierdów – wtrącił Toby. – Naturalnie nie licząc obecnego tutaj towarzystwa.

– Ile punktów stracę, jeśli teraz puszcę baka? – Luke zachichotał.

– Nawet o tym nie myśl! – ostrzegła Phoebe, na wszelki wypadek odsuwając się na bezpieczną odległość.

Zdjąłem papierek z babeczki i zerknąłem w stronę swojego dawnego stolika. Charlotte siedziała teraz Evanowi na kolanach. Pisała esemesa. Długi kucyk opadał jej na ramię. Evan trzymał dłoń na jej udzie. Nagle Charlotte podniosła głowę i zauważyła, że na nią patrzę. Trąciła Evana. On też na mnie spojrzał,

najwyraźniej zastanawiając się, co robię przy innym stole. Ale okazało się, że jednak nie bardzo ich to obchodzi, bo już chwilę później pakowali sobie języki do gardeł.

– Ruszaj się, nowa – powiedziała Phoebe, wstając. – Idziemy do łazienki.

Kiedy Phoebe i Cassidy zniknęły z pola widzenia, Luke zaśmiał się do siebie i potrząsnął głową.

– Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, dlaczego moja dziewczyna właśnie poszła do łazienki z Cassidy Thorpe?

– Kompletnie się nie znam na zawiłościach kobiecych zachowań stadnych – odparł Sam. – Ale wiem na pewno, że będzie trzeba wydłużyć piątkową listę gości.

Luke posłał Samowi wściekle spojrzenie.

– *Sorry* – wymamrotał Sam, zerkając na mnie jak zbity pies.

– Co to ma być? – powiedział Austin. – Myślałem, że zniknęła, a teraz pojawia się w Eastwood? To bez sensu.

– Co jest bez sensu? – wtrąciłem.

– Wszystko. – Toby zwinął papierek po babeczce w kulkę. – Ale Cassidy już tak ma. Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że jest nie do pobicia w debatach? To wierzchołek góry lodowej. Nawet się nigdy nie wysilała. Na turniejach ostentacyjnie ignorowała zasady ubioru, urządziła pikniki w windzie i zupełnie nie zwracała sobie głowy przychodzeniem na ceremonię rozdania nagród. Reprezentowała takie strasznie sztywne liceum, więc to było jeszcze bardziej dziwne. Ale skończyła z turniejami, kiedy w zeszłym roku wygrała kwalifikacje stanowe. Oddała swoje miejsce w mistrzostwach stanu cztery dni przed turniejem. Plotka głosi, że nagle odeszła ze szkoły, po prostu zniknęła z dnia na dzień.

– Dowiedzieliście się dlaczego? – zapytałem.

– Jakby z Cassidy dało się wyciągnąć jakąś odpowiedź. – Toby się roześmiał.

– Wracają – mruknął Austin, wskazując głową w stronę Phoebe i Cassidy.

Wszyscy odwrócili się w ich kierunku z poczuciem winy wypisanym na twarzach, ale ja obserwowałem coś zupełnie innego: spektakl publicznego zasysania sobie twarzy w wykonaniu Charlotte i Evana.

Kiedy dziewczyny znów usiadły koło nas, Phoebe popatrzyła na moją nietkniętą babeczkę, pochyliła się nad stołem i poklepała mnie po ręce.

– Nic się nie martw – powiedziała z udawaną troską. – Jeśli chce ci się pić, pielęgniarza ma świeżutki zapas grupy 0.

Chyba każdy zna taki scenariusz. Stoisz w kolejce w aptece albo gdzieś, a koleś z tyłu żuje ci gumę prosto do ucha, i to jest tak obrzydliwe, że myślisz sobie: „On to chyba robi specjalnie”. Ale jesteś kompletną ciapą, więc po prostu stoisz dalej i bierzesz to na klatę. Coś w Evanie i Charlotte sprawiało, że właśnie tak się czułem. Czułem się bardzo osobiście obrażany ich przesadnymi czułościami na pokaz. Nie mogłem tego zdzierżyć, choć najpierw mylnie zinterpretowałem początkowy szok jako obojętność.

Więc równie dobrze mogę przyznać, że gdzieś w głębi duszy wiedziałem, co robię, kiedy postanowiłem zjeść lunch z Tobym zamiast ze swoją starą paczką. Przez cały tydzień robiłem wszystko, żeby unikać dawnych przyjaciół, tak jak przez całe lato. Wydawali się tym bardzo zaskoczeni i więcej niż tylko trochę urażeni. Nie rozumiałem, czemu w ogóle ich to obchodzi. Chyba nie sądzili, że przyłączę się do wyjścia na paintball albo że pojedę z nimi na spontaniczny spływ kajakowy czy jakikolwiek inny z absurdalnych wypadów, o których mi pisali. Nie, żebym się czepiał, ale żadne z nich ani razu nie odwiedziło mnie w szpitalu.

Tak więc Evan spotykał się teraz z Charlotte – wyglądało na to, że są ze sobą podejrzanie długo, co najmniej kilka miesięcy, więc wniosek był bardzo oczywisty. Powinni się znajdować na samym szczycie rankingu maturzystów, na których warto się gapić. Ale się nie znajdowali. Za to ja ściągałem na siebie o wiele więcej uwagi, niżbym chciał. A kiedy wszyscy wokół nie szeptali ze wzrokiem wlepionym we mnie, to szeptali ze wzrokiem wlepionym w Cassidy.

Historie ledwie zarysowane przez moich nowych znajomych z drużyny

debatanckiej szybko wpadły do szkolnego młyna plotek. Ponoć Cassidy przyszła raz na turniej debaty w męskim stroju, łącznie z doklejonymi sumiastymi wąsami, a i tak wygrała. Ponoć Cassidy zorganizowała kiedyś flash mob na jakimś cmentarzu w San Francisco, na którym zjawiała się ponad setka ludzi przebranych za zombie i wszyscy urządzili gigantyczną bitwę na poduszki. Ponoć w hiszpańskiej sieciówce można kupić T-shirty z twarzą Cassidy w stylu pop-art. Ponoć Cassidy spędziła lato, dorabiając jako modelka na okładki powieści dla młodzieży.

W naszym maleńkim, zaspanym, zapyziałym miasteczku Cassidy stanowiła zjawisko niezwykle. Nawet jeśli żadna z plotek nie była prawdziwa, to i tak według zasad prawdopodobieństwa właśnie Cassidy miała największe z nas wszystkich szanse na taką kartę w życiorysie.

Ale ona nigdy nie dała po sobie poznać, że jest świadoma krążących wokół niej podań i legend. Z tego, co wiem, nie miała o nich pojęcia. Przy moim nowym stoliku nigdy nie brakowało tematów do rozmów, więc nie trzeba było się zniżać do plotkowania. Byłem wdzięczny za nowe towarzystwo, choć mógłbym żyć bez codziennych pokazów gry wstępnej w wykonaniu Charlotte i Evana podczas lunchu.

W czwartek wieczorem miałem spotkanie z panią Welsh, moją doradczynią do spraw studiów – kolejna obowiązkowa rzecz do odhaczenia dla maturzystów. Oczywiście się spóźniłem, bo zostawiłem zeszyt do matematyki w poczekalni u fizjoterapeuty i przypomniałem sobie dopiero w połowie drogi do szkoły.

Pani Welsh była w porządku, nawet nie miała do mnie pretensji o spóźnienie. Wszedłem do jej pokoju, usadowiłem się na najtwardszym krześle świata, uśmiechałem się i uważnie słuchałem jej wykładu o tym, jakie to ważne, żebym dalej brał udział w zajęciach dodatkowych w ostatniej klasie i jak najwcześniej zaczął pytać nauczycieli o rady, do jakich college'ów powinienem złożyć papiery. Nie miałem serca jej mówić, że nie jestem już fizycznie w stanie

uczestniczyć w swoich zajęciach dodatkowych ani że pani Martin najprawdopodobniej przyozdobi moje referencje pachnącymi pieczętkami ze Snoopym.

Kiedy wreszcie udało mi się uciec – najpierw musiałem obiecać, że przyjrę się kilku „pobliskim” college’om, które wcale mnie nie interesowały – czułem się wyczerpany wizją składania podania na studia. Nigdy nie sądziłem, że będę musiał się o to martwić. Było oczywiste, że zostanę gdzieś zwerbowany, najprawdopodobniej do któregoś ze stanowych college’ów, na stypendium sportowym. Ojciec zawsze opowiadał mi o swoim stowarzyszeniu studentów i mówił, że powinienem zostać przewodniczącym, bo to robi wrażenie na pracodawcach. Wtedy bez trudu sobie to wyobrażałem, całe moje zaplanowane życie: uniwersytecki sportowiec, przewodniczący samorządu studentów, po studiach praca w korpo, w weekendy wypady ze znajomymi na narty do Big Bear albo nad jezioro Tahoe. Było tego więcej, ale łapiecie ogólną wizję: idealnie typowe życie dla idealnie typowego złotego chłopca.

– Ezra! – zawołał ktoś nagle, wrywając mnie z zamyślenia.

To była Cassidy. Schodziła po zewnętrznych schodach budynku 400. Miała na sobie niebieską letnią sukienkę, doskonale pasującą do barwy jej oczu.

– O, hej – odparłem, próbując przywołać na twarz uśmiech. – Też miałaś spotkanie z doradcą?

– Niestety. Pan Choi nie ma poczucia humoru.

– Słyszałem, że bawią go żarty z równaniami matematycznymi w puencie – podsunąłem.

– Taa, wygląda na takiego, co się spuszcza nad tangensem.

– To okropne. – Prychnąłem śmiechem.

Cassidy wzruszyła ramionami i razem weszliśmy na parking.

Robiło się późno. Przez ten czas, kiedy siedziałem w pokoju pani Welsh, świat pociemniał. Paliły się już latarnie, obrzucające cały kampus

pomarańczowym światłem. Wzgórza skryły się w mroku.

– Jutro piątek – powiedziała Cassidy, jakby trzeba mi było przypominać. – Ciekawe, co fajni ludzie robią w weekend.

– Jimmy organizuje jutro imprezę. Daję im dwie godziny, zanim ktoś nawali się na tyle, żeby wrzucić kega do basenu.

– Łał, to brzmi jak superfajna zabawa. – Cassidy przewróciła oczami.

– No, a co ty robiłaś w piątki wieczorem, zanim się tu przeprowadziłaś?

Potrząsnęła głową i z wahaniem zaczęła trochę mętnie opowiadać o sekretnych imprezach w laboratoriach w jej szkole z internatem.

– Musieliśmy się przemykać z internatu i z powrotem przez stare tunele ciepłownicze. Jeśli poparzyłeś się o rurę, to było jak takie znamię towarzyskiego prestiżu. Chyba któryś ze znajomych mojego brata zaczął to za jego czasów. Nie wiem. Kiedy o tym mówię, to brzmi debilnie.

– Wcale nie.

To picie litrów piwa u Jimmy’ego na podwórku brzmiało debilnie. Ale nic nie powiedziałem.

Kampus wieczorem był bardzo spokojny, otaczały go łagodne wzgórza i tylko dwie wąskie ulice prowadziły do miasta. Zbocza wzgórz porastały setki drzew awokado, a co jakiś czas złaził z nich kojot i terroryzował mieszkańców pobliskich grodzonych osiedli.

Takimi rzeczami ekscytowali się miejscowi: zbieraniem się w grupę, żeby przegonić kojota z powrotem do gajów awokado, pozbyć się intruza z naszej perfekcyjnie przystrzyżonej społeczności. Nikt tu nie szukał przygody – przygodę się wyganiało.

Kiedy doszliśmy na parking dla uczniów, zobaczyłem tylko swoje volvo, odpicowaną hondę Justina Wonga i jakiegoś pick-upa z deską surfingową na dachu.

– Ee, gdzie twój samochód? – zapytałem.



Cassidy się roześmiała.

– Mój rower stoi tutaj.

Rzeczywiście, do stojaka był przypięty samotny czerwony rower. Całkiem porządny: podrasowany cannondale, ale wtedy nie znałem się za bardzo na rowerach.

– Hm – mruknąłem, gapiąc się na jej pojazd.

– Co?

– Nic. – Próbowałem powstrzymać szeroki uśmiech. Wyobraziłem sobie Cassidy pedałującą wzdłuż pól truskawkowych.

– Jeśli chciałbyś wiedzieć, to zależy mi na środowisku – oznajmiła płomiennie. – Staram się, jak mogę, zredukować swój ślad węglowy.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem.

– Dzielenie się samochodem też redukuje ślad węglowy, prawda? – upewniłem się.

– Tak.

– Więc może cię podwieźć?

Nie wiem, skąd wzięła się ta propozycja, ale nagle wydała mi się arogancka.

– No, bo te kojoty... – Niezręcznie próbowałem wypełnić ciszę. – Wiesz, czasem złażą w nocy ze wzgórze, nie chciałbym, żeby cię napadły.

– Kojoty? – Cassidy zmarszczyła brwi. – To coś jak wilki, prawda?

– Nocne wilki – poprawiłem.

– To na pewno nie problem?

– Sam zaproponowałem, nie?

– W porządku – zgodziła się.

Akurat mnie naszło na niefortunny pokaz dżentelmeństwa. Powiedziałem Cassidy, żeby wsiadła do samochodu, a ja włożę jej rower do bagażnika. Mało się nie zabiłem, zanim go tam w końcu wpakowałem.

– Dziękuję – powiedziała, kiedy wgramoliłem się na swoje siedzenie.

– Żaden kłopot. – Sięgnąłem po pas. – Więc gdzie mieszkasz?

– Ee, Terrace Bluffs?

– A, to spoko. Ja w Rosewood, zaraz koło ciebie przy pętli.

Zapięła pasy, a ja zacząłem cofać. Nagle uświadomiłem sobie, jaka to intymna sytuacja, tylko my dwoje i puste rzędy miejsc parkingowych.

– Rosewood jest po drugiej stronie parku, prawda?

– Tak. Moje okna wychodzą na park.

– Moje też. – Cassidy uśmiechnęła się szeroko. – Może zagłędamy sobie do pokojów.

– Będę pamiętał, żeby opuścić żaluzje w przyszłym tygodniu. Mam wtedy zaplanowane podwójne morderstwo – oznajmiłem, oświetlając długimi zakręt i wyjeżdżając spod wzgórz.

– Podobasz mi się taki – powiedziała Cassidy.

– Jaki? – zapytałem, włączając się do ruchu na Eastwood Boulevard.

– Rozgadany. Kiedy wokół jest więcej ludzi, widać, że się hamujesz.

Włączyłem kierunkowskaz, na wypadek gdyby jakiś kojot zastanawiał się, w którą stronę zamierzam skręcić na opustoszałym skrzyżowaniu, i rozważałem uwagę Cassidy. Ja to widziałem tak, że siedzenie cicho było bezpieczne. Słowa mogą cię zdradzić, jeśli wybierzesz niewłaściwe, albo wyrazić mniej niż powinny, jeśli jest ich zbyt wiele. Żarty można grubo przestrzelić, opowieści mogą być uznane za nudne, a ja szybko się nauczyłem, że moje poczucie humoru i rzeczy, które uważałem za fascynujące, raczej nie pokrywały się z wizją moich przyjaciół.

– Nie hamuję się – zaprotestowałem. – Po prostu nie mam nic ciekawego do powiedzenia.

Cassidy posłała mi sceptyczne spojrzenie.

– Jasne. *Sorry*, nie kupuję tego. Czasami się tak obłądnie uśmiechasz pod nosem, jakbyś właśnie pomyślał sobie coś szalenie zabawnego, ale nie mówisz tego na głos, jak gdybyś się bał, że nikt nie złapie żartu.

Wzruszyłem ramionami i skręciłem w lewo w Crescent Vista, akurat pakując się na czerwone. Dwie minuty ciągnęły się jeszcze bardziej niż na lekcjach trenera Anthony'ego.

– W sumie to nie wiem, co gorsze. – Cassidy się zamyśliła. – Kiedy ludzie śmieją się z nieśmiesznych rzeczy czy kiedy nie śmieją się z czegoś, co jest zabawne.

– To pierwsze – odparłem ponuro. – Zapytaj Toby'ego.

– Co, masz na myśli tę urwaną głowę?

Właśnie tak to powiedziała – jakbyśmy rozmawiali o czasownikach nieregularnych albo o sprawdzianach z historii.

– Powiedział ci?

– W zeszłym roku, na jakimś turnieju debatanckim. Siedzieliśmy na balkonie pod namiotem z prześcieradeł. Zaczęło się od tego, że nigdy nie byłam w Disneylandzie. Uważam, że to obłądnie zabawne. Bez końca mówiłam na niego „jeździec z głową”.

Ten żart był tak głupi, że aż się skrzywiłem. Włączyłem radio, starając się nie myśleć o Cassidy i Tobym, jak dotrzymują sobie towarzystwa późnym wieczorem w hotelowym pokoju, prawdopodobnie w piżamach. Z głośników popłynęła piosenka The Shins. Czerwone światło paliło się w nieskończoność. Czekałem, aż Cassidy przerwie milczenie, ale się nie odzywała. Zamiast tego wyciągnęła papierek po słonce, który wepchnąłem kiedyś w miejsce na kubek, i zaczęła go składać w małą gwiazdkę.

– Pomyśl życzenie – powiedziała w końcu, kładąc sobie gwiazdkę na środku otwartej dłoni.

Oświecił ją blask latarni. Nagle uświadomiłem sobie, że jest piękna. Nie

wiem, jak mogłem to przegapić przez tych kilka pierwszych dni, ale wtedy wiedziałem na pewno. Włosy miała zebrane w kucyk, tylko parę niesfornych miedzianych kosmyków okalało jej twarz. W oczach migotało rozbawienie, a sweter zsunął jej się nieco z ramienia, odsłaniając fioletowe ramiączko od stanika. Była tak swobodna i pełna naturalnego wdzięku, że to aż bolało, i wiedziałem, że nigdy, nawet za milion lat, nie wybierze kogoś takiego jak ja. Ale przez kolejne kilka minut zadowalałem się cudowną ewentualnością, że może jednak.

Ochroniarz przed wjazdem na osiedle Cassidy zafundował mi przesłuchanie trzeciego stopnia. Tak się składa, że trzeci stopień to również ten poziom oparzeń, który może zabić. Wreszcie uwierzył, że nie przyjechaliśmy, żeby podpalać śmietniki i sikać na trawniki szanującego się osiedla, otworzył bramę, a ja wjechałem na Terrace Bluffs.

Nie różniło się tak bardzo od miejsca, gdzie ja mieszkałem. Wszystkie domy stały nieco odsunięte od ulicy i miały okrągłe podjazdy i balkony, które tak naprawdę nie były do użytku. W kółko powtarzały się cztery modele budynków, jak na zapętłonej animacji cyfrowej. Jakieś dzieciaki pomazały ulicę kredą. Okropnie się czułem, przejeżdżając po tych rysunkach – jakbym rozwałił przedszkolakowi zamek z piasku.

– Którędy do twojego domu? – zapytałem.

– Nie masz tak czasami, że po prostu nie chcesz tam wracać? – Jej twarz była blada w zimnym świetle lampy. W oczach miała powagę.

– Jasne – przyznałem, choć to było dość osobiste pytanie. Pomyślałem o mamie, jak siedzi w salonie, ogląda wiadomości i o wszystko się martwi. O ojcu zamkniętym w swoim gabinecie, jak wystukuje na komputerze kolejne pismo procesowe, a herbata stygnie mu na biurku. O swoim pokoju, który już nawet nie wydawał mi się mój po trzech miesiącach spędzonych w sypialni dla gości na dole.

– Mam pomysł – powiedziała nagle Cassidy. – Może gdzieś pojedziemy, co? Teraz?

– Jesteśmy w Eastwood – zaprotestowałem. – Tutaj nie ma dokąd jechać.

– Do parku – błagała. – Pokażesz mi swoje okno, a ja pokażę ci swoje.

– Okej – zgodziłem się, cofając po kredowych rysunkach.

Kiedy wyjeżdżałem, strażnik posłał mi nieprzyjemne spojrzenie, a Cassidy się roześmiała i pokazała mu środkowy palec, gdy już byliśmy poza zasięgiem jego wzroku.

– Nie znoszę tego typu – oznajmiła. – Czytasz Foucaulta? O czym ja gadam. Oczywiście, że nie czytasz Foucaulta.

– Zasadniczo to ja po prostu nie czytam – odparłem z kamienną twarzą, czym znów ją rozśmieszyłem.

– Okej, panie Bezmózgi Sportsmenie, oświecę pana. Był sobie taki trochę filozof, trochę historyk, co się nazywał Foucault. Napisał kiedyś, że społeczeństwo jest jak takie fikcyjne więzienie, które nazwał panoptikonem. W panoptikonie możesz być w każdej chwili obserwowany, ale nigdy nie wiesz, kiedy ktoś patrzy, więc koniec końców i tak cały czas przestrzegasz zasad.

– Ale skąd wiadomo, kto jest obserwowającym, a kto więźniem? – zapytałem, zatrzymując się na pustym parkingu.

– O to chodzi. Obserwujący też są więźniami. Chodź na huśtawki.

Wyskoczyła z samochodu, jeszcze zanim zdążyłem zaciągnąć ręczny.

– Czekaj! – zawołałem.

Cassidy się odwróciła, a jej sukienka zawirowała na ciepłym wietrze od Santa Ana. Zamknąłem samochód i stałem tak, płonąc ze wstydu.

– Chyba raczej nie mogę wejść na huśtawkę – przyznałem.

– No to możesz mnie pobujać.

Ruszyła w stronę małego placu zabaw z jaskrawymi plastikowymi

konstrukcjami, jakbyśmy się ścigali. Ostrożnie wszedłem na piasek okalający huśtawki, czując, jak moja laska grzęźnie na niepewnym gruncie niczym plażowa parasolka. Cassidy zrzuciła sandały i przewiązała sobie sweter w talii. Kiedy tak siedziała na huśtawce, bosa, w tej niebieskiej sukience, z włosami wymykającymi się z kucyka, była tak obłędnie piękna, że to aż bolało.

– No, dawaj – ponagliła, kręcąc się na huśtawce, aż łańcuchy krzyżowały się w literę X. – Popchnij mnie.

Oparłem dłonie na jej plecach, dotykając nagiej skóry. Przełknąłem ślinę i popchnąłem, prawie tracąc równowagę, zanim rozpracowałem, jak sobie z tym poradzić.

– Jeszcze! – zawołała.

Więc popychałem coraz mocniej. Wznosiła się wyżej i wyżej, i jeśli mam być całkiem szczerzy, mnie też co nieco odrobinę się wzniosło.

Po chwili już mnie nie potrzebowała. Była najwyżej jak się dało, niemożliwie wysoko, a łańcuchy dzwoniły o górną poprzeczkę.

Odchyliła głowę do tyłu i posłała mi szeroki uśmiech.

– Uciekniemy razem z panoptykonu – obiecała.

A potem skoczyła.

Huśtawka wierzgnęła, a Cassidy poleciała do przodu ze śmiechem i z piskiem. Wylądowała chwiejnie na obu nogach, tuż przy krawędzi piaskownicy.

– Uciekliśmy?! – zawołałem.

– Nawet nie było blisko.

Przysiadłem na huśtawce w nadziei, że w ten sposób ukryję swój kłopotliwy stan. Cassidy usiadła na drugiej i zaczęła rysować palcami u stóp jakiś skomplikowany wzór na piasku.

– Widzisz ten dom zaraz po prawej od największego drzewa? – zapytałem,

przerywając ciszę.

– Ten z dwoma kominami?

– No. Mój pokój to ten ze sztucznym balkonem. Jest tuż nad naszym basenem ze sztucznym wodospadem – wyjaśniłem, zaskarbiając sobie jeden z jej wyjątkowych uśmiechów.

– Będę ci wysyłać sekretne wiadomości – obiecała. – Morse’em. Moją latarką Hello Kitty.

– Dobrze. Trzymam cię za słowo.

Nagle zabuczał jej telefon. Wyjęła go z kieszeni, a ja zauważyłem, że na tapecie ma ustawione zdjęcie, na którym stoi z jakimś gościem, na oko studentem. Ich twarze zasłaniała lista nieodebranych połączeń.

– Powinam już wracać – powiedziała, wstając z huśtawki. – Otworzysz bagażnik? Muszę wyciągnąć rower.

– Mogę cię odwieźć, żaden problem.

Cassidy potrząsnęła głową.

– Wolę jechać na rowerze. Wiesz, moja mama już jest wkurzona. Nie jestem przyzwyczajona do mieszkania w domu i ciągle zapominam się meldować.

– No, jeśli jesteś pewna.

– Zobaczymy się w szkole – odparła, po czym uśmiechnęła się złośliwie. – Chyba że zaatakują mnie nocne wilki, a wtedy po prostu będziesz musiał żyć z poczuciem winy.

Złapała buty, a ja patrzyłem na jej sylwetkę biegnącą przede mną po trawie i myślałem, że dotąd moje znajomości z dziewczynami wyglądały trochę inaczej.

Chyba powinienem wyjaśnić, jak to się stało, że zacząłem chodzić z Charlotte Hyde. Poprosiłem ją, żeby została moją dziewczyną w październiku, w trzeciej liceum. Był wściekle gorący weekend, więc pojechaliśmy wszyscy na cały dzień do Laguna Beach. Ta sama paczka co zawsze, wtłoczona w te same auta, w sumie jakieś piętnaście osób.

Jimmy zabrał lodówkę turystyczną pełną piwa, kupionego z pomocą prawa jazdy starszego brata. Ale jak to z Jimmym bywa, zapomniał wziąć cokolwiek, co ukrywałoby otwarte puszki, więc chłopaki co chwila wymykali się z piwem do publicznej toalety. Policjanci w samochodzie przy zejściu na plażę pewnie myśleli, że dzieciaki złapały niezłą sraczkę.

Dziewczyny chciały się opalać, jak zwykle. Rzadko robiły cokolwiek poza wylegiwaniem się na leżakach i przeglądaniem magazynów. Nie potrafiłem pojąć, jak ktokolwiek może iść na plażę i z własnej nieprzymuszonej woli angażować się w te same czynności do zabijania czasu, z jakimi muszą się męczyć pasażerowie samolotów.

Maturzyści z naszej paczki zaprzęgli mnie i Evana do pieczenia hot dogów na publicznym grillu niedaleko budki ratownika. Evan marudził, że robimy za popychadła, ale mnie to naprawdę nie przeszkadzało. Przy grillu było spokojnie, żar od węgla suszył mi kąpielówki, słońce błyszczało na powierzchni wody. Zaczynaliśmy trzecią klasę i wszystko było przed nami.

Zjedliśmy hot dogi w bułkach do hamburgerów („Nikt mi nie powiedział, jakie bułki, więc teraz się walcie”, protestował Evan), a dziewczyny udawały, że są złe na Evana. Brett Masters, kapitan zespołu piłki wodnej, wyzwał chłopaków



z drużyny tenisa na mecz siatkówki plażowej, pięciu na pięciu.

Zrównali nas z ziemią, bo w przeciwieństwie do tenisistów na co dzień grali drużynowo i mieli pojęcie o podawaniu sobie tej cholernej piłki. Szczęśliwym trafem udało mi się zaliczyć dość spektakularne zabicie, ale Jimmy i Evan byli już tak nawaleni, że więcej frajdy miałem z patrzenia, jak potykają się o własne nogi i przeklinają swoją niekompetencję.

Podczas gry słońce zaczęło zachodzić, a bryza znad oceanu zrobiła się chłodna. Dziewczyny z powrotem włożyły sukienki. Charlotte rozpięła górę od bikini i wyjęła ją spod sukienki – to wyglądało jak jakaś magiczna sztuczka. Zauważyła, że patrzę, i uśmiechnęła się szeroko, wyczuwając, że jej urok podziałał.

– Ezra, chodź tutaj – zażądała, wydymając słodko usta.

Posłusznie podszedłem.

– Znalazłyśmy z Jill taki quiz w „Pop Teen”, jak stwierdzić, czy podobasz się chłopakowi – oznajmiła i zanim się obejrzałem, dziewczyny uwięziły mnie na jaskraworóżowych ręcznikach i kazały wypełnić quiz z kolorowej gazetki.

Pytania były idiotyczne, a kiedy wreszcie dotarliśmy do końca, Charlotte uparła się, żeby sprawdzić mój horoskop.

– Uważajcie, uparte Byki, bo miłość wisi w powietrzu! – przeczytała głośno i zmarszczyła brwi. – No, co o tym myślisz?

– Myślę, że miłość nie jest gazem atmosferycznym – zażartowałem, a Charlotte udawała złą, że nie traktuję horoskopu poważnie.

Jeszcze przed wakacjami podejrzewałem, że wpadłem jej w oko, ale tamtego dnia na plaży po raz pierwszy wyczułem, że nie flirtuje dla pustej zabawy – miała konkretny cel.

– Słodki jesteś – wymruczała, opierając głowę na moim ramieniu. Siedzieliśmy obok siebie na ręczniku. – Szkoda, że jeszcze ci nie przeszło po Staci.

Staci Guffin zerwała ze mną miesiąc wcześniej z powodów, których do końca nie rozumiałem i które średnio mnie obchodziły. Zafundowała mi maraton *Seksu w wielkim mieście* na DVD (a przy okazji niezłą traumę), podczas gdy ja sądziłem, że zaprosiła mnie na coś, hm, nieco bardziej orgazmicznego niż buty. Może po prostu chciała się rozstać po to, żeby mieć byłego, na którego mogłaby narzekać koleżankom. Naprawdę nie wiem.

– Zaufaj mi – powiedziałem, zerkając w dół na długie blond włosy Charlotte upięte na czubku głowy i na jej nieskończenie długie opalone nogi, pokryte delikatną warstwą piasku. – Zupełnie mi już przeszło po Staci.

Niewiele wtedy wiedziałem o Charlotte – tylko tyle, że była przepiękna i seksowna i że zawsze miała w torebce gumę do żucia, którą zaproponowała mi z uśmiechem, jakby zabrała ją specjalnie dla mnie. Nie wiedziałem jeszcze, że słucha iPoda w kuchni podczas pieczenia wymyślnych ciastek i babeczek z przepisów z wyrafinowanych blogów kulinarnych i że jej zdaniem podjadanie surowego ciasta przynosi pecha. Nie miałem pojęcia, że tańczy od trzeciego roku życia, że przed szkołą ćwiczy z mamą jogę i że zbiera wszystko, co ma związek z biedronkami. Nie wiedziałem, że będziemy razem przez ponad osiem miesięcy i że to będzie mój najdłuższy związek w liceum.

Ostatecznie poszliśmy na spacer na drugi koniec plaży, gdzie z piasku wystawały skałki, a fale tworzyły między nimi małe jeziora. Charlotte miała na sobie moją bluzę szkolnej drużyny tenisowej, bo zrobiło się zimno. W duchu cieszyłem się z tego, bo przez to była jakoś tak bardziej prawdziwa, kiedy co chwila podciągała rękawy i rozchlapywała nogami morską pianę.

Wdrapaliśmy się na skały. Pąkle kłuły nas w podeszwy stóp. W oddali widziałem, jak nasi znajomi się pakują, i miałem dziwne wrażenie, że trzeba się spieszyć. Patrzyłem, jak Evan łapie przenośną lodówkę i wylewa zawartość Jimmy’emu na głowę. Ocenilem, że mamy jakieś pięć minut na załatwienie tego, po co oddzieliliśmy się od grupy – cokolwiek to było.

– Cieszę się, że nie jesteś kompletnym dupkiem – powiedziała Charlotte. Wyjęła telefon z kieszeni mojej bluzy i zaczęła pisać esemesa.

– Eee... dzięki?

– Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. – Charlotte podniosła wzrok znad ekranu i uśmiechnęła się przeproszająco. Wiatr rozwiewał jej włosy, czubek nosa miała zaróżowiony od słońca. – *Sorry*. Jill pytała, gdzie schowałam jej krem do opalania. No, chodziło mi o to, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Najpopularniejsza dziewczyna i najpopularniejszy chłopak na roku.

– Nie jestem najpopularniejszy na roku – zaprotestowałam, wbijając wzrok w fale liżące brzeg.

– A-ha. No jasne, że jesteś. Gdybyś nie był, to po co miałabym cię tutaj zabierać?

– Ty mnie tu zabrałaś? – Uniosłam brew, drażniąc się z nią.

– Tak, ja. A teraz się zamknij i mnie pocałuj.

Zamknąłem się i ją pocałowałem. Smakowała jak truskawkowy błyszczyc i dietetyczna cola, pachniała jak balsam do opalania i ulubiony proszek do prania mojej mamy, mieliśmy szesnaście lat i nie byliśmy do końca ubrani, nawet jak na plażowe standardy.

– No i? – zapytała Charlotte z przebiegłym uśmiechem, kiedy odsunęliśmy się od siebie.

– Powinnaś zatrzymać moją bluzę – powiedziałem. – Dobrze na tobie wygląda.

– Ezra – skarciła mnie. Oparła rękę na biodrze i czekała.

– Ee, chciałabyś ze mną chodzić?

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się triumfalnie i znów mnie pocałowała, gładząc moje plecy miękkimi, ciepłymi dłońmi. – Mm, jesteś taki słodki. Powinniśmy cię zabrać na zakupy. Będziesz superseksowny w nowych dżinsach.

No i proszę. Tak wyglądał dzień, kiedy to się wydarzyło. Romantyczna opowieść pełna piw konsumowanych w publicznej toalecie, ostrego lania spuszczonego nam w meczu siatkówki, całowania dziewczyny nad spienionymi morskimi falami i kompletnej niewiedzy, w co się pakuję.

W pierwszej liceum mieliśmy zajęcia z ekologii. Nie udało mi się zrobić na panu Gheshu wrażenia moją mglistą wiedzą na temat cyklu hydrologicznego, więc żeby poprawić ocenę, przeczytałem *Dziennik z Morza Corteza* Steinbecka. Autor pisał o basenach pływowych i o tym, jak fenomenalnie pokazują, że wszystko jest ze sobą połączone w wiecznie rozszerzającym się wszechświecie, utrzymanym w całości jedynie przez elastyczną gumkę czasu. Napisał, że z wody należy przenieść wzrok na gwiazdy, a potem z powrotem, i zamyślić się nad tym. Może wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym tamtego dnia na plaży z Charlotte posłuchał rady Steinbecka, ale nie posłuchałem. Zamiast tego wziąłem ją za rękę i nie zwróciłem uwagi na szerszą perspektywę, a jedyne gwiazdy, jakie widziałem, miały na sobie kurtki szkolnej reprezentacji.

Piątek zawsze czuje się w powietrzu. Wszędzie unosi się szczególne dla tego dnia podekscytowanie przemieszane z ulgą, że minął kolejny tydzień. Nawet przyjaciele Toby'ego byli w dobrym humorze podczas pierwszej piątkowej przerwy, choć nie sądziłem, że mają w zwyczaju imprezować w weekendy.

Luke, Austin i Phoebe już siedzieli przy stoliku na dworze. Phoebe jadła wielkie ciastko, a Luke obejmował ją ramieniem. Austin był pochłonięty grą na jakimś przenośnym urządzeniu.

– Nie, nie, zły portal! – sapnął z irytacją, kompletnie wyłączony ze świata. – Stój... cholerny... yhh! Możesz mi bobra wyczochrać, ciuścoku.

Phoebe westchnęła.

– Austin, ratunku, ratunku! Bóbr ci się pali!

Austin nawet nie podniósł głowy.

– Mówiłam, że jest w matriksie – powiedziała Phoebe.

– Co mnie ominęło? – zapytałem, siadając przy stoliku.

– No, słyszałem, że Jimmy robi dziś megaimprezę – odparł Luke. Jego głos ociekał sarkazmem. Wciąż nie był zbyt szczęśliwy, że dołączyłem do ich paczki. – Oczywiście wjazd tylko z ostatniego poziomu.

– Ta, też słyszałem – mruknąłem. Nie podobało mi się, jak Luke swobodnie rzuca nazwą, której moi dawni znajomi używali, żeby podkreślić ekskluzywny charakter swoich wydarzeń towarzyskich. – Jak w *Folwarku zwierzęcym*.

– Masz na myśli *Menażerię* – poprawił Luke. – Ten film o imprezujących studentach.

– Nie, mam na myśli książkę Orwella. – Potrząsnąłem głową. – No wiesz,

niektóre zwierzęta są równiejsze od innych.

Phoebe zaśmiała się i wyślizgnęła spod ramienia Luke'a, żeby wyrzucić opakowanie po ciastku.

– Ezra, zabierasz mnie ze sobą do Jimmy'ego, prawda? – zapytała, robiąc kwaśną minę.

– Oczywiście – odparłem, włączając się do gry. – Co powinniśmy zabrać w prezencie dla gospodarza: butelkę wina czy wybór serów?

Luke odłamał Phoebe kawałek ciastka. Wyraziła sprzeciw głośnym piskiem, ignorując moje pytanie.

– Co tam, moje minionki? – Toby postawił na stole nedorzecznie wielki termos z kawą. – Oo, Mortal Portal trójka?

Austin wciąż siedział ze wzrokiem wlepionym w ekran.

– Matrix go wchłonął – wyjaśniła Phoebe. – Serio, czemu chłopcy są tak opętani tymi grami? Nic dziwnego, że druk umiera.

– Ja czytam – zaprotestował Toby, podczas gdy do stolika podeszli Sam i Cassidy, jedzący świeże ciastka ze szkolnej piekarni. – Na przykład wczoraj czytałem, że żaby da się lewitować magnesami.

Phoebe przewróciła oczami. Informacja nie zrobiła na niej wrażenia.

– Hipotetycznie czy zostało to udowodnione naukowo? – zaciekawiała się Cassidy.

– Udowodnione naukowo – odparł triumfalnie Toby. – Ci nobliści to zrobili.

– Jak myślicie, po ilu piwach jeden międzynarodowej sławy naukowiec siada z drugim i mówi: „Stary, założysz się o dwie dychy, że dam radę zalewitować żabę magnesem?”? – rozważał Sam.

– Ale jak, ładunkiem magnetycznym? – Cassidy nie odpuszczała. – Przecież on musi być albo dodatni, albo ujemny, nie?

– Myślisz, że jesteś taka inteligentna, co? – dogryzł jej Toby.

– Coś tam kumam – odparła skromnie.

Wszyscy przewrócili oczami.

Wtedy zadzwonił dzwonek.

Cassidy i ja mieliśmy razem angielski – Luke też, ale zwykle szedł najpierw odprowadzić Phoebe.

– No więc – zagałem, idąc razem z Cassidy do klasy pana Morena – nie widziałem wczoraj żadnych sekretnych wiadomości.

– Nie chciałam być zbyt przewidywalna – wyjaśniła Cassidy. – Ale teraz wiem, że zwracasz uwagę.

Stary dobry Moreno i jego quizy. Już prawie o nich zapomniałem. Dziś dowalił nam całkiem trudny – tematy przewodnie i metafory z pierwszych stu stron *Gatsby'ego*.

Przedzierałem się przez kolejne pytania z tablicy, kiedy nagle uświadomiłem sobie, że ta scena, w której Wilson myśli, że billboard go obserwuje – ten z oczami doktora T.J. Eckleburga – jest oparta na tej samej idei co panoptikon. Naskrobałem to objawienie w ostatnim długim pytaniu otwartym i skończyłem tuż przed tym, jak pan Moreno kazał odłożyć długopisy.

Potem każdy musiał przekazać swój sprawdzian osobie z tyłu. W moim przypadku to był – och, jakie szczęście – Luke. Uśmiechnął się szeroko, a ja wyrwałem z zeszytu kartkę z odpowiedziami i mu podałem.

– Mam nadzieję, że się uczyłeś, Faulkner – powiedział, pstrykając długopisem.

Ja dostałem test Anamiki Patel. U góry napisała swoje imię i nazwisko, datę, imię i nazwisko nauczyciela, nazwę zajęć i „Gatsby Quiz 1”, a wszystko to najstaranniejszym pismem, jakie w życiu widziałem.

Pan Moreno podał odpowiedzi do pytań zamkniętych i prawda–fałsz. Anamica źle odpowiedziała na jedno.

– Dobrze, oddajcie sprawdziany z powrotem kolegom i koleżankom. Sam ocenię odpowiedzi otwarte, więc pamiętajcie, żeby przed wyjściem zostawić testy w koszyku – oznajmił nauczyciel.

Przekazałem Anamice jej quiz. Posłała mi wściekłe spojrzenie, jakby to była moja wina, że jej wynik nie jest tak doskonały jak charakter pisma.

– Ej, Luke? – odwróciłem się za siebie. – Oddasz mi mój test?

– Niezłe wypracowanko, Faulkner – odparł, odchylając się na krześle. Wciąż trzymał mój sprawdzian w dłoni. – Z której strony na Wikipedii korzystałeś?

– Nie wiedziałem, że jest ich kilka – odgryzłem się. – A którą ty polecasz?

Luke wymamrotał coś pod nosem i podał mi test, a pod nim kartkę papieru komputerowego złożoną na trzy razy.

Już chciałem coś powiedzieć, ale Luke potrząsnął ostrzegawczo głową, więc wrzuciłem kartkę do plecaka i podałem quiz na przód klasy.

– Pani Weng woła was oboje – powiedział Toby, kiedy Cassidy i ja dotarliśmy do stolika z minipizzami w dłoniach. – Teraz, dla jasności.

Wepchnąłem kawałek minipizzy do ust i dałem znak, że mogę iść.

– Super, kiedy w końcu zaczął jeść, robi to obrzydliwie – zauważyła Phoebe. Cassidy westchnęła i usiadła.

– Ja będę udawać, że nie dostałam tej wiadomości aż do samego końca lunchu. A ty, Ezra?

Przełknąłem głośno.

– Jakiej wiadomości?

– Mądry chłopiec. – Cassidy nasunęła na nos okulary przeciwsłoneczne i wyskubała połowę pizzy, po czym wstała.

– Serio nie będziesz jadła reszty? – zapytałem.

– A co? – Cassidy uśmiechnęła się szeroko, machając połową pizzy nad



śmietnikiem. – Chcesz dokończyć?

– Ja chcę – wtrącił Austin, wreszcie odrywając wzrok od konsoli. – Jestem bez hajsu, wszystko wydałem na Mortal Portal trójkę.

– Wiedziałem, że w to grasz! – wykrzyknął Toby. – Stary, który poziom? To prawda, że Oczy regenerują się dwa razy szybciej, jeśli zrobisz infinity dropa?

– Idziemy. – Cassidy westchnęła, a ja posłusznie poszedłem za nią do klasy pani Weng.

Siedziała przy biurku i jadła wczorajsze spaghetti z plastikowego pojemnika, czytając kolorowe plotkarskie pisemko. Nie będę kłamać: to był smutny widok.

– Wołała nas pani? – zagadnąłem.

Aż podskoczyła. Zmieszana schowała magazyn pod dziennikiem. Udałem, że nie zauważyłem.

– Tak, nasi nowi rekruci! Bardzo się cieszę, że oboje dołączyliście do zespołu.

Nagle przypomniałem sobie tę kartkę, którą Toby puścił po klasie pierwszego dnia, i to, jak dla żartu zapisałem Cassidy na turniej. Miałem przesrane. Na jej twarzy malował się szok zmieszany z przerażeniem.

– Ee, to o to chodzi? – zacząłem. – Nie wydaje mi się...

Ale pani Weng nie słuchała. Trajkotała o tym, jak cudownie mieć taką doświadczoną zawodniczkę jak Cassidy i że ona i Toby na pewno chętnie odpowiedzą na wszystkie pytania, jakie przyjdą mi do głowy.

Cassidy zrobiła się szara na twarzy.

– Pani Weng – wydusiła w końcu – chyba zaszła jakaś pomyłka. Ja się nie zapisywałam.

– Och, już zarejestrowałam was oboje na turniej otwarty w San Diego za dwa tygodnie – ciągnęła pani Weng, wciąż nie rozumiejąc, co się dzieje. – I zarezerwowałam szkolnego vana, żeby zawiózł nas wszystkich na weekend.

Chyba że masz jakieś, hm, specjalne potrzeby, które chciałbyś omówić na osobności?

– Nie – odparłem przez zaciśnięte zęby. – Żadnych „specjalnych potrzeb”.

Powiedziałem to tak nieprzyjemnie, że zabrzmiało aż nieprzyzwoicie. Cassidy posłała mi współczujące spojrzenie.

– Wspaniale – podsumowała pani Weng, podając każdemu z nas grubą kopertę. – To jeszcze tylko musicie przynieść mi zgody na wyjazd z podpisem rodziców albo opiekunów.

– Moi rodzice wyjechali – powiedziała natychmiast Cassidy. – No, są w Szwajcarii na sympozjum medycznym do końca miesiąca.

Byłem przekonany, że rodzice Cassidy nigdzie nie pojechali, ale pani Weng tylko się uśmiechnęła i zapewniła Cassidy, że jej dawny opiekun może przesłać do szkoły faksem formularz z zeszłego roku, a aktualny dołączy się później. Powiedziała to tak ostatecznym tonem, że nie ośmieliliśmy się dłużej protestować.

Pokonani wypełzliśmy z klasy pani Weng. Kiedy tylko zamknęliśmy za sobą drzwi, Cassidy odwróciła się do mnie. Oczy jej płonęły.

– Co to miało być? – wyszczała. – Postawiła nas pod ścianą. A ja w życiu się na to nie zapisywałam. Wyglądało to tak, jakby od początku sobie wszystko zaplanowała. Wiedziałam, że wcisnęli mi te zajęcia z debaty nie przez przypadek! Mój doradca powiedział: „Och, nie mamy naboru do zbyt wielu innych zespołów. Albo debata, albo sport”. Ta, jasne. Nie jestem jakimś kucykiem wystawowym, żeby ganiali mnie po wybiegu, kiedy im się podoba. Już nie startuję i nie mają prawa mnie do tego zmuszać.

– Ee – bąknąłem.

– A ty też się nie zapisałeś! – Cassidy dźgnęła mnie palcem w pierś. – Szkoda, że nie widziałeś swojej miny, kiedy zapytała cię o specjalne potrzeby. Miałam nadzieję, że walniesz ją w twarz.

– No, to na pewno by nam pomogło.

– Boże, Ezra, naprawdę nic nie rozumiesz. – Westchnęła. – Już nas zapisali. Albo startujemy, albo oficjalnie zgłaszamy walkowera.

Szlag. Nie znałem reguł turniejów debatanckich. Nie miałem pojęcia, że nie można się wycofać inaczej niż publicznie.

– Ee, Cassidy? – Musiałem jej powiedzieć. – Pamiętasz te pierwsze zajęcia, jak Toby puszczał kartkę z zapisami, a ty się ze mnie śmiałaś?

– No?

– Tak jakby zapisałem cię dla żartu – przyznałem.

– Że CO?

– Nie wiedziałem! – dodałem prędko. – Zrobiłaś ze mnie idiotę na hiszpańskim, a potem Toby mnie zapisał, więc myślałem...

– Co dokładnie myślałaś? – zapytała zimno Cassidy. – Że to będzie śmieszne?

– Ee, chyba tak... Nie wiedziałem, że masz do tego taki stosunek. Nie wiedziałem, że już nie startujesz.

Zwiesiłem głowę, czekając, aż Cassidy się roześmieje i powie, że nic nie szkodzi. Ale nie powiedziała.

– Owszem – rzuciła ostro. – Przestałam startować. Tak jak ty przestałeś grać w tenisa. Ale wiesz co? Ja rozumiem, że nie chcesz o tym gadać. To, że nie kicam po szkole z pieprzoną laską, nie znaczy, że muszę się tłumaczyć ze swojej decyzji komuś, kogo znam od pięciu sekund. Więc wal się za to, że mnie zapisałeś i myślałaś, że to będzie takie szalenie zabawne.

Jej oczy płonęły z obrzydzenia. Odeszła, głośno tupiąc. Nie miałem do niej pretensji. Czuję się okropnie. Chciałem pójść z powrotem do pani Weng i wszystko wytłumaczyć. Ale wtedy zadzwonił dzwonek i uświadomiłem sobie, że spóźnię się na hiszpański.

Wieczorem było już jasne, że czeka mnie słaby weekend. Prosto ze szkoły wróciłem do domu i spędziłem resztę dnia na wkuwaniu do następnej lekcji trenera Anthony'ego. W przerwach grałem bez dźwięku w *Zombie Guitar God*, żeby nie myśleć o tym, jak bardzo spieprzyłem sprawę z Cassidy. Ale to nie pomagało.

Na dodatek wiedziałem, że mama co chwila sprawdza, co u mnie – czułem, jak staje tuż pod moimi drzwiami i nasłuchuje. Cooper, zwinięty w kłębek na szlafroku w nogach łóżka, podnosił regularnie głowę, zerkał na drzwi i wzdychał, po czym z powrotem układał się na pościeli.

„No, stary druho, jest piątek wieczór – mówiły jego oczy. – A na zewnątrz czeka cały wielki świat”.

Cooper miał rację: może powinienem iść na imprezę do Jimmy'ego. Przez chwilę rozważałem tę opcję, ale potem przypomniałem sobie, jak skończyła się moja ostatnia domówka. Więc tak, ta opcja stanowczo odpadała. Ale wtedy ikonka Skype'a na moim komputerze podskoczyła i zapiszczała, informując o nowej wiadomości. To był Toby, z pytaniem, czy nie chciałbym do niego wpaść.

Wyskoczyłem z piżamy, złapałem klucze i mało nie uderzyłem mamy w twarz drzwiami.

– Och, nie śpisz – powiedziała zaskoczona.

– Jasne, że nie. Jest dziewiąta. Wychodzę.

– Dokąd?! – zawołała za mną. – Muszę wiedzieć, gdzie idziesz!

– A dlaczego? – zapytałem nieco zaciekawiony, od kiedy mamy w domu

taką zasadę.

W odpowiedzi gdała dobre dziesięć sekund.

– Dobra, będę u Toby’ego – odparłem, co było miłym gestem z mojej strony. – Mam telefon. Nie będziemy wciągać trutki na szczury ani nic takiego.

– Ezra! – przerwała zszokowana. – Nie bądź niegrzeczny. Mam święte prawo się martwić.

– Wiem – odparłem z rozdrażnieniem. – Ciągłe mi o tym przypominasz.

Wyjeżdżając z podjazdu, zastanawiałem się, co dziś robi reszta ludzi ze szkoły. Domyślałem się listy gości, którzy będą pić piwo w stojach kąpielowych u Jimmy’ego na podwórku. A pozostali pewnie wybierali się do Prism Center, takiego otwartego centrum handlowego z kinem IMAX i mnóstwem efektownie podświetlonych palm. Prism było praktycznie jedynym miejscem w Eastwood, do którego można było pójść poza chińskim pasażem handlowym. Ale nawet tam policja przeganiała towarzystwo, kiedy było jeszcze wcześniej, ze względu na ciszę nocną. Pomyślałem, że to taka straż dla wolnych ludzi, i przez jakieś dwie sekundy nawet mnie to bawiło, ale potem stało się nieskończenie dołujące – nie tylko dlatego, że ten koncept kojarzył mi się teraz z Cassidy i jej panoptikonem.

Dziwnie było jechać do Toby’ego samochodem. Zawsze odwiedzałem go na rowerze, jeździłem po ścieżce łączącej nasze osiedla. Toby mieszkał na Walnut Ranch, jednym z najstarszych osiedli na południe od pętli. W podstawówce praktycznie u niego mieszkałem. Podczas jazdy zacząłem mieć przebłyски wspomnień z naszego dzieciństwa: jak przyklejaliśmy sobie tajne wiadomości pod skrzynkami na listy, napisane kodem, który znaliśmy tylko my dwaj. Jak przebraliśmy się na Halloween za Batmana i Robina, po czym zamieniliśmy się kostiumami, żeby zobaczyć, jak dużo czasu minie, zanim mój tata się zorientuje (odpowiedź: niepokojąco dużo). Jak wyjechaliśmy na obóz dla zuchów i wredny synalek drużynowego schował mi robaka w budynku, więc w ramach zemsty złapaliśmy z Tobym żabę i schowaliśmy mu w śpiworze. Jak pisaliśmy

w powietrzu brzydkie słowa zimnymi ogniami w Święto Niepodległości. Jak błagaliśmy moją mamę, żeby zabrała nas o północy do księgarni na premierę najnowszej części Harry’ego Pottera, obiecując, że nie będziemy potem czytać całą noc, ale i tak czytaliśmy.

Zupełnie zapomniałem, jaki wtedy był Toby. Że to on zawsze planował nasze wyrafinowane przedsięwzięcia, zawsze pakował mnie w kłopoty, a potem z nich wyciągał tą samą metodą: odgrywaniem naiwnego zdziwienia i ładnymi przeprosinami. Wyrósł na dokładnie takiego bezwstydneho nerda o ciętym jak brzytwa dowcipie, jak można się było spodziewać po dzieciaku, który prowadził obwoźny handel komiksami własnej roboty, żeby zebrać kapitał początkowy na założenie stoiska z lemoniadą, kiedy mieliśmy dziesięć lat. A ja wyrosłem na potężnego buca – w dodatku kulawego.

Dom Toby’ego wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętałem, łącznie z brudnym bordowym minivanem na podjeździe. Zadzwoiłem do drzwi i usłyszałem jazgot małego pieska.

Drzwi otworzyła siostra Toby’ego. Była owinięta jaskraworóżowym szlafrokiem, a pod pachą trzymała rozjuszzonego małego teriera, który wyglądał, jakby lubił gryźć gości po kostkach.

– Hej, Emily.

– Omójboże – pisnęła. Wyglądała na zszokowaną, że widzi mnie w swoim domu, jakby zapomniała, że kiedyś znałem kod do drzwi jej garażu.

Dom Toby’ego nie był zbyt przestronny. Drzwi wejściowe prowadziły prosto do salonu, gdzie zobaczyłem trzy przyjaciółki Emily – oglądały w piżamach któryś z tych koszmarnych wampirzych romansów, ze śpiworami już rozłożonymi na podłodze.

– Heeeeeej, Ezra – przywitała mnie z chichotem jedna z dziewczyn.

– Ee, cześć? – odparłem.

Biedny Toby. Nic dziwnego, że mnie zaprosił. Na szczęście chwilę później wpadł do salonu, zapinając spinki przy mankietach.

– Witam w czyścicu – oznajmił. – Zapraszam.

Pokój Toby'ego nie zmienił się zbyt wiele: doszła nowa półka z figurkami postaci, których nie kojarzyłem, niebieska budka policyjna i jakiś koleś ubrany jak Toby, w marynarkę i z muszką pod szyją, a za tym wszystkim stała para samurajskich mieczy. A potem spojrzałem na górną półkę regału i zamarłem.

– Zatrzymałeś je?

– Lepiej, dokończyłem – odparł Toby, wyciągnął gruby plik ręcznie rysowanych komiksów i rzucił je na łóżko.

Sięgnąłem po *Akademię superbohaterów*, zeszyt pierwszy. Śmieszna amatorszczyzna, rysowana kredkami na papierze komputerowym. Czerwone i niebieskie bąbelkowe litery pod tytułem głosiły: *autorzy: Toby Ellicott & Ezra Faulkner*.

W trzeciej klasie pracowaliśmy nad *Akademią superbohaterów* dzień w dzień po szkole. Udało nam się stworzyć jakieś cztery zeszyty, zanim przerwaliśmy pracę ze względu na rozbieżność wizji artystycznych. Ale na łóżku leżało co najmniej osiem. Kilka było narysowanych na komputerze – wyglądały już całkiem profesjonalnie. Podniosłem *Uniwersytet Sprawiedliwości. Ostateczne starcie* i przekartkowałem do końca.

– Okej, nie ma szans, żeby Niewidzialny Chłopiec mógł pokonać Wielkiego Alchemika mieczem samurajskim – zaprotestowałem.

– Po prostu nie podoba ci się, że przerobiłem twoją postać na jednego ze złych – fuknął Toby.

– Wcale nie, tylko nie rozumiem, jak to się stało, że Wielki Alchemik nagle jest śmiertelny.

– Bo rozdzielił sobie duszę na siedem części i pochował w Mieście Sprawiedliwości – odparował Toby.

– Zrobiłeś z naszego komiksu zrynekę z Harry’ego Pottera? – parsknąłem.

– Czy my naprawdę o tym rozmawiamy?

Poczułem gorąco na policzkach, wzruszyłem ramionami i rzuciłem komiks z powrotem na łóżko. Toby ułożył wszystkie zeszyty we właściwym porządku i odłożył na półkę.

– No to idziemy czy nie? – zapytał.

– Gdzie? Do Jimmy’ego? – Miałem szczerą nadzieję, że Toby nie będzie próbował mnie do tego sprowokować.

– Zabiję go – oznajmił Toby, uderzając pięścią w starożytną konsolę do gier. – Naprawdę cię nie zaprosił?

– Na co?

– Na Latające Kino? Nie dostałeś takiej kartki z kilkoma przypadkowymi słowami i kodem URL?

Nagle przypomniałem sobie kawałek papieru, który Luke podał mi po południu na lekcji z Morenem. Myślałem, że to jakaś głupia ulotka kółka filmowego.

– Szlag – powiedziałem. – Coś mi dał, ale nie otworzyłem. Byłem trochę rozkojarzony.

– Ta, na pewno byłeś rozkojarzony – prychnął Toby.

– A to co niby ma znaczyć?

– Stary, Cassidy. Widzę, że na nią lecisz, ale zaufaj mi, lepiej sobie darować. Wlezie ci do głowy i tylko namiesza.

– Oj, uwierz. – Westchnąłem. – Nie będę miał problemu z trzymaniem się od niej z daleka.

I wyjaśniłem, jak przypadkowo wpakowałem ją w turniej.

– Chłopie, ty już nie żyjesz – jęknął Toby.

– Nie miałem pojęcia, że to taka wielka rzecz – przyznałem. – Ty mnie też



wpisaleś.

– Bo wiedziałem, że to zobaczysz i pewnie skreślisz. – Toby wzruszył ramionami. – Ale z Cassidy to co innego. WALKOWER przy jej imieniu na turnieju wywoła lawinę plotek. Ona jest mistrzynią, wiesz? Wszyscy myśleli, że będzie startowała w rozgrywkach krajowych, ale wycofała się z turnieju stanowego na dwa dni przed kwalifikacjami, kompletnie zniknęła. A teraz wszyscy zobaczą, że oddaje walkowerem każdą rundę, a do tego reprezentuje Eastwood, najbardziej żalony zespół w Stanach? No nic, idziemy na ten pokaz? Bo muszę po drodze kupić filtry do kawy.

Dwadzieścia minut później siedzieliśmy w widowiskowo poharatanym bordowym minivanie, którego Toby dojeżdżał po mamie (auto miało sympatyczną ksywkę Kaszalot), i manipulowaliśmy złamaną anteną, żeby złapać jakieś radio, pędząc w stronę Eastwood Boulevard.

– Będzie fajny wieczór – zapowiedział Toby. – Zobaczysz.

I pewnie bym mu uwierzył, gdybym nie był wciąż po uszy zakopany w wyrzutach sumienia z powodu swojego spektakularnego pokazu bezmózgowia. Bo im więcej myślałem o bosej Cassidy na huśtawce, z uśmiechem obiecującej, że razem uciekniemy z panoptikonu, tym bardziej żałowałem, że wszystko zniszczyłem.

– Mhm, fajny – wymamrotałem, obserwując kulę suchych gałęzi niesioną wiatrem przez skrzyżowanie. Po chwili zatrzymała się na znaku stopu na pasie rozdziału pośrodku jezdni.

Toby wyjaśnił mi, że Latające Kino było pilnie strzeżoną, niemal legendarną instytucją w nerdowskich kręgach, a to, że zostałem zaproszony, uważano za spore wydarzenie. Historia stowarzyszenia sięgała czasów naszej podstawówki, kiedy przedsiębiorczy licealista Max Sheppard ukradł woźnemu klucze i cichaczem dorobił sobie kopię całego zestawu. Korzystał z nich, by robić

pracownikom szkoły wredne psikusy, ale zawsze udawało mu się wymknąć. W dzień swoich szesnastych urodzin Luke Sheppard odziedziczył klucze do królestwa po starszym bracie, ale postanowił, że on będzie z nich korzystać, by czynić dobro. I tak powstało Latające Kino, czyli sekretne stowarzyszenie wyświetlające filmy w różnych częściach szkoły – nigdy dwa razy w tym samym miejscu.

Kampus był opustoszały. Toby zaparkował vana bokiem, rozkraczając auto jednocześnie na miejscach dyrektora i wicedyrektora.

– Nie zapomnij filtrów – przykazał.

– Przypomnij mi: czemu właśnie wydałem pięć dolców na filtry do kawy?

– Bo ty miałeś pięć dolców, a ja nie? – odparł wesoło Toby. – Nie no, to po prostu część całej zabawy. Wiesz, nie chcemy, żeby nas złapali. Chcemy, żeby nas zauważyli. Więc *Stowarzyszenie Umarłych Poetów* obejrzelismy w klasie Morena, a wychodząc, położyliśmy mu na biurku mnóstwo markerów do tablicy. *Narzeczoną dla księcia* wyświetlaliśmy w bibliotece, więc zostawiliśmy pudełko pełne książek. A dzisiaj oglądamy w pokoju nauczycielskim *Rushmore*, więc znajdują po nas filtry do kawy.

Toby przystanął, czekając, aż ogarnie mnie bezbrzeżny zachwyt nad fenomenalną ideą Latającego Kina.

Zamiast tego powiedziałem:

– Włamujemy się do pokoju nauczycielskiego?

– Raczej „wpuszczamy się do pokoju nauczycielskiego” – poprawił mnie Toby. – Chodź.

Zapałem się laską o krawędź parkingu.

– Lepiej, żebyś był zajebicie pewny, że nas nie złapią – ostrzegłem. – Bo jeśli przyjedzie policja, to ja raczej nie ucieknę.

Toby roześmiał się głośno.

– Zabawna historia – odparł. – Max Sheppard? Wyobraź sobie, że w zeszłym

tygodniu zatrzymał mnie za rozwalone tylne światło, ale puścił z ostrzeżeniem. No, raz-dwa, idziemy.

Film dopiero się zaczął. Toby i ja przysiedliśmy z brzegu. Próbowałem śledzić fabułę, ale zamiast tego przez większość pokazu śledziłem wyraz twarzy Cassidy.

Chyba nie sądziła, że ktoś mógłby ją obserwować, więc w ogóle się nie pilnowała – tak jak nikt nie pilnuje swojego wyrazu twarzy w pustym pokoju. Tak jak ja, kiedy opuszczałem żaluzje i gapiłem się w sufit mojej sypialni, na wpół zafascynowany, na wpół przerażony myślami przebiegającymi mi przez głowę.

Wyglądała strasznie smutno, mimo że film był zabawny i wszyscy wokół się śmiali. Jakby w ogóle nie zwracała uwagi na ekran, bo coś innego nie dawało jej spokoju. Nigdy wcześniej jej takiej nie widziałem. Zacząłem się zastanawiać nad tym, co powiedział mi Toby – jak zniknęła bez ostrzeżenia i nikt nie wiedział, co o tym myśleć.

Po zakończeniu filmu kilka osób wstało, ale Luke powiedział, że napisy też trzeba obejrzeć. Ku mojemu zaskoczeniu wszyscy usiedli ze skruszonymi minami. Nie wiedziałem, że Luke cieszy się takim autorytetem, ale na swój dziwny sposób to miało sens. Słyszałem, jak niektórzy mówią o nim „król nerdów”, ale nigdy nie rozumiałem dlaczego. Aż do teraz.

– No i jak wrażenia? – zapytał Toby, kiedy odłożyliśmy na stół filtry do kawy, dokładając je do wielkiej sterty zostawionej przez pozostałych.

– Z filmu?

– Oczywiście ten film to absolutny klasyk, a *Napoleon Wybuchowiec* to zaledwie marna imitacja tego doskonałego dzieła – odparł cierpko. – Ale nie o to pytam, tylko o to: sekretne pokazy, zakodowane zaproszenia, pozytywny wandalizm.

– To niesamowite – powiedziałem i naprawdę tak myślałem. Nie wiedziałem, że ktoś w ogóle mógłby robić coś takiego, a już na pewno nie w Eastwood. To było dziwne uczucie: myślałem, że znam tę szkołę na wylot, a tu okazuje się, że dzieją się w niej rzeczy, których nawet sobie nie wyobrażałem, i istnieje alternatywa dla imprez moich dawnych znajomych. – Czemu więcej ludzi o tym nie wie? – zapytałem.

– Bo Evan McMillan przerobiłby to na jakąś idiotyczną zabawę w „kto więcej wypije” – wyjaśnił Luke, podchodząc do nas.

– Prawdopodobnie tak – zgodziłem się. – Picie piwa przez filtry do kawy.

Staliśmy tak przez chwilę w milczeniu. Luke miał taki wyraz twarzy, jakby był zadowolony, że wreszcie zobaczyłem, co potrafi.

– No, Luke – odezwałem się w końcu, przerywając ciszę – co powiesz na seans *Lotu nad kukułczym gniazdem* w gabinecie pielęgniarki? Trochę tam ciasno, ale to byłoby chyba idealne.

– Stary, epicki pomysł! – zachwycił się Toby.

– Nie prosiłem cię o rady, Faulkner – odparł zimno Luke i podryfował ku grupce trzecioklasistów, by pełnić obowiązki gospodarza.

– On mnie naprawdę nie lubi – zauważyłem.

– E tam, jasne, że lubi – zaprotestował Toby, ale nie brzmiał zbyt przekonująco. – Jesteście kumplami.

Posłałem mu wymowne spojrzenie.

– Jego dziewczyna strasznie się w tobie kochała – przyznał w końcu. – Pewnie dalej na ciebie leci.

– Phoebe?

– „Och, Ezra, taki z ciebie seksowny wampir” – zapiszczał kpiąco Toby.

Skrzywiłem się, ale musiałem przyznać, że coś w tym jest.

– Nie mów tak na mnie – burknąłem.

– Hej, seksowny wampirze – powiedział ktoś, stukając mnie w ramię.

Cassidy odgarnęła włosy za uszy i uśmiechnęła się, jakby dzisiejsze popołudnie – i ostatnie kilka godzin – w ogóle nie zaistniało.

– Hej? – przywitałem się ostrożnie.

– Też kochacie Billa Murraya? – zagadnęła i zaczęła nawijać o filmie. – Ja go absolutnie uwielbiam. Mogłabym całe życie mieć z nim dzień świstaka.

– Ee – bąknąłem zdezorientowany. Coś mnie ominęło? Kiedy ostatnio sprawdzałem, Cassidy nienawidziła mnie do trzeciego pokolenia wstecz i odniosłem wrażenie, że nie odezwie się do mnie już ani w bliższej, ani w dalszej przyszłości.

– Słuchaj, przyda mi się protegowany, więc zaklepane: jesteś moim protegowanym – oznajmiła. – Nauczę cię wszystkiego, co wiem o debatach, a ty zdobędziesz pierwsze miejsce na turnieju w San Diego.

– Zdobędę?

– Tak! A potem maleńkie cherubiny będą grać radośnie na jeszcze mniejszych ukulele, a ty z wdzięcznością złożysz na moim ołtarzu dary z leśnych owoców i zapalisz wonne kadzidło.

– Brzmi super – odparłem sucho. – Owoce lasu i modły dziękczynne. Spoko, robi się.

– No, teraz dobrze gadasz! – Cassidy uśmiechnęła się szeroko.

– Och, patrzcie – oznajmił Toby z kamienną twarzą, posyłając mi chytre spojrzenie. – Nagle naszła mnie ochota pozawracać głowę temu koleśowi na drugim końcu pokoju.

– Myślałem, że jesteś zła – powiedziałem, kiedy Toby sobie poszedł.

– Mój gniew przychodzi i odchodzi jak szaleństwo u Hamleta – poinformowała mnie Cassidy.

– Nie, myślałem, że jesteś zła na mnie – doprecyzowałem.

– Ezra, nie wydurniaj się. Już mi przeszło. Dziewczyny takie są: najpierw się wściekają, potem zapominają. Nie przyjaźniłeś się nigdy wcześniej z dziewczyną?

Oczywiście, że nie. Spotykałem się z niejedną, ale nigdy nie miałem ochoty przyjaźnić się z żadną dziewczyną z mojej starej paczki. Bo niby po co?

Może Cassidy miała rację – może dziewczyny obrażały się tylko na swoich chłopaków, a nie na kolegów. Wprawdzie w jej uśmiechu było coś takiego, że nie do końca jej ufałem, ale zaakceptowałem swoje szczęście. Nie byłem taki głupi, żeby wypuścić je z rąk.

Zawsze we wrześnie nauczyciele mieli dzień szkolenia, a my dostawaliśmy wtedy wolne. W zeszłym roku razem z Jimmym i Evanem pojechaliśmy do Balboa, zjedliśmy cheeseburgery na deptaku i obejrzelśmy jakieś koszmarne filmidło w 3D. Ale w tym roku zupełnie zapomniałem, że mamy wolne. Zorientowałem się dopiero dzień przed.

Jak można było się spodziewać, Toby razem z całym zespołem debatantów zaplanował wielką przygodę: mieli bilety na musical *Przebudzenie wiosny* w LA, a Toby bezskutecznie próbował przekonać wszystkich, żeby przebrali się za uczniów z czasów fin de siècle.

– Naprawdę, jedźcie z nami – powiedziała Phoebe, kiedy wszyscy zorientowali się skrzeszeni, że Cassidy i ja nie zostaliśmy wzięci pod uwagę. – Kupiliśmy bilety jeszcze latem, ale i tak moglibyście się przyłączyć. Najwyżej siedzielibyście gdzie indziej.

– Nie szkodzi – odparła swobodnie Cassidy. – Ezra i ja mamy już plany.

Nic o tym nie wiedziałem. Toby posłał mi wymowne spojrzenie, a ja tylko wzruszyłem ramionami. Nie miałem zielonego pojęcia, o czym Cassidy mówi.

– Tak? A co, idziecie na zgniłki? – wtrącił Sam i wszyscy poza Cassidy ryknęli śmiechem.

Może wytłumaczę: „chodzenie na zgniłki” to po naszymu zbieranie gnijących i potłuczonych warzyw i owoców, które imigranci pracujący na farmach zostawiają na polu, bo nie są dość dobrej jakości, żeby mogły pójść na sprzedaż. W naszej szkole w ósmej klasie mieliśmy obowiązkową wycieczkę na zgniłki. Zawieźli nas autobusem na cały dzień na jakąś starą farmę – był z nami nawet

fotograf, żeby zrobić zdjęcia do klasowej kroniki. To okazało się jeszcze gorsze, niż mogłoby się wydawać.

Toby prędko wytłumaczył Cassidy, z czego się śmiejemy.

– Chyba nie mówicie poważnie. – Zdziwiła się. – Jeździliście na wycieczki zbierać zgniłe pomidory? Nie do muzeum?

– Ta – potwierdził sucho Toby. – Muzeum, akurat. Witamy w Eastwood.

W drodze na trzecią lekcję zapytałem Cassidy, o co jej chodziło z tym, że mamy już plany. Miała na sobie białą koronkową sukienkę z opadającymi co chwila ramiączkami. Nie mogłem przestać sobie wyobrażać, jak gładzę ją po ramionach, zsuwając te ramiączka.

– A, to. To doskonały czas, żeby zacząć twój trening. Jesteś moim protegowanym, pamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć? – odparłem kpiąco.

– Świetnie. – Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. – Podjedź po mnie jutro na Terrace Bluffs o wpół do dziewiątej rano. I weź ze sobą plecak z przyborami szkolnymi.

Nie wiedzieć czemu, ósma trzydzieści w środę wydała mi się straszliwie wczesną godziną, jakby mój mózg już się zaprogramował na okazję dłuższego spania w wolny dzień. Wypiłem kawę, ziewając co chwila rozdzierająco, po czym dołączyłem do kolejki mieszkańców wyjeżdżających jeden po drugim z osiedla Rosewood do pracy.

Kiedy zaparkowałem przed wjazdem na Terrace Bluffs, Cassidy już siedziała na chodniku i bawiła się parą ray-banów. Miała na sobie dżinsy i koszulę w szkocką kratę, a pod nogami granatowy plecak.

Spodziewałem się, że znów zaprezentuje jakąś ekstrawagancką stylizację rodem z *Dumy i uprzedzenia*. Dzisiejszy strój zupełnie do niej nie pasował. Ale nawet w najzwyczajniejszym ubraniu świata Cassidy nadal była kimś, za kim każdy



by się obejrzał, choć nie wiedziałby dlaczego. Jakby tylko przebrała się za zwyczajną dziewczynę i uważała to za szalenie zabawny żart.

– Widziałam dziś rano kojota – oznajmiła i usiadła z przodu koło mnie. – W ogrodzie, świrował nad stawem z rybkami koi.

– Może po prostu poczuł się samotny.

– Prędzej chciał ryby w mętym łowić kanale – odparła cierpko Cassidy.

Domyślałem się, że to cytat z jakiegoś wiersza, ale nie mogłem skojarzyć. Wzruszyłem ramionami.

– *Ziemia jałowa*, T.S. Eliot? – podsunęła.

– Rzeczywiście. – Coś mi dzwoniło, ale nie wiedziałem, w którym kościele. To brzmiało jak coś, co Moreno wrzuciłby nam do quizu na literaturze brytyjskiej, ale ja nie przepadałem za poezją. – No to dokąd?

– Tam, gdzie nie powinno nas być, chyba że w celu siania zamętu i konsternacji – wyjaśniła. – Jedź do University Town Center.

Więc pojechałem. A po drodze Cassidy wyłożyła mi swoją teorię wygrywania turniejów debatanckich. Najlepsi debatancki („nazywałabym ich mistrzami twardej debaty, ale wiem, że nie jesteś dość dojrzały, by sobie z tym poradzić, panie Szyderku”, dodała złośliwie) często odwoływali się do literatury, filozofii i historii.

– A im bardziej wyrafinowane odwołania, tym lepiej – podsumowała, grzebiąc przy pokrętle wentylacji. – Wiadomo, nie będziesz cytować Roberta Frosta, błagam. Cytuj Johna Rawlsa albo Johna Stuarta Milla.

Nie słyszałem o żadnym z tych dwóch, ale nic nie powiedziałem. Bardziej byłem zajęty zgadywaniem, czy jesteśmy na randce, mimo że spotkaliśmy się o ósmej trzydzieści rano.

– Wciąż możemy iść na zgniłki – rzuciłem, wskazując głową za okno, kiedy mijaliśmy ostatnie gaje pomarańczowe.

– Nie wiem, czemu tak cię to bawi.

– Naprawdę nie wiesz? Dla nas, chłopców ze wsi, to jak zabrać dziewczynę do muzeum.

Cassidy pokręciła głową, ale zauważyłem, że uśmiecha się pod nosem.

University Town Center wydało mi się dziwnym miejscem na wycieczkę o 8.45 rano. Prawie nigdy tam nie bywałem, bo piętnaście minut samochodem dalej było Back Bay, takie nadmorskie miasteczko pełne białych snobów z klasy średniej. Skoro już o tym mowa, Town Center było wciśnięte na granicy Eastwood i Back Bay. Granica ta składała się głównie z dworca autobusowego, szpitala, z którym miałem okazję bardzo dobrze się zaznajomić, i klubu golfowego, do którego należał mój ojciec.

– Trochę to ironiczne, co? – skomentowałem, zatrzymując się na parkingu. – Że Town Center tak naprawdę ani nie jest miastem, ani nie ma centrum?

Cassidy nagrodziła moją uwagę parsknięciem.

– No, ruszaj się – oznajmiła, wkładając ciemne okulary. – Bo spóźnimy się na zajęcia.

– Ha, ha – powiedziałem, ale Cassidy nie wyglądała, jakby żartowała. – Dobra, co tak naprawdę tu robimy?

Town Center było nieoficjalnym miejscem spotkań studentów Uniwersytetu California Eastwood – kampus uczelni znajdował się po drugiej stronie ulicy.

– Przecież już ci powiedziałam – odparła niecierpliwym tonem, wysiadając z auta i zarzucając plecak na ramię. – Zamęt i przekręty. Wbijamy na wykłady na uczelnię, żeby trochę cię podszkolić w wyższej humanistyce, dzięki czemu zabłyśniesz na turnieju w San Diego. *Voilà*, oto nasz plan zajęć.

Podawała mi fioletową karteczkę samoprzylepną.

– Historia Imperium Brytyjskiego? – odczytałem na głos. – Literatura XVII wieku? Wprowadzenie do filozofii?

– Owszem – potwierdziła z satysfakcją. – Już, ruchy. Ruszamy drogą bardzo mało uczęszczaną, a reszta weźmie się z tego, czy się nie spóźnimy.

– A nauczyciel nie zauważy? – zapytałem zaniepokojony, z trudem dotrzymując Cassidy tempa, kiedy ruszyliśmy po kładce z Town Center na kampus. – Nie pamiętam, żebyśmy się zapisywali.

– Po pierwsze mówi się „profesor”, a po drugie nie, nie zauważy. Kiedyś spędzałam ferie u brata, gdy studiował na Yale. Czasami mi się nudziło, więc wkręcałam się na różne wykłady. Nikt nigdy się nie przyczepił. Poza tym wybrałam wykłady, a nie ćwiczenia, więc będzie tam ze sto osób. Grzecznie sobie usiądziemy, posłuchamy, zanotujemy to, co może nam się przydać do debaty, a potem pójdziemy wesoło w swoją stronę.

I właśnie tak to wyglądało – przynajmniej na historii imperium brytyjskiego. Dołączyliśmy do setki studentów w piętrowej, rozbrzmiewającej echem sali wykładowej i wysiedzieliśmy pięćdziesiąt minut nudnawej pogadanki o imperializmie, kapitalizmie i ekonomii wojennej. Posłusznie zrobiłem notatki, wykazując się większą inicjatywą niż brodaty koleś dwa rzędy przede mną, który spędził całe zajęcia na graniu w Angry Wings na telefonie.

– No i? – zagadnęła Cassidy, kiedy wszyscy wyszli, i pociągnęła mnie w stronę najbliższego kiosku z kawą. – Jak ci się podobało?

– Ciekawe – odparłem, bo wiedziałem, że tego ode mnie oczekuje.

– „W tym szaleństwie jest metoda”. – Cassidy uśmiechnęła się, wsypując sobie cukier do kawy. – *Hamlet*. A skoro już o tym mowa, czas na trochę literatury XVII wieku.

Kiedy weszliśmy na salę, poczułem, że coś jest nie tak. Dopiero kiedy wszyscy wyjęli podręczniki, zorientowałem się, o co chodzi.

– Chyba pomyliliśmy zajęcia – wyszeptalem. – Uciekamy?

Ale właśnie w tej chwili do środka wkroczył profesor w dziwnym, płasko zakończonym krawacie, i było już za późno na zmianę sali.

Jakimś cudem wylądowaliśmy na wykładzie z chemii organicznej. Miałem zaawansowaną chemię w trzeciej klasie i wspominałem to jako jedno z najmniej przyjemnych doświadczeń w swojej licealnej karierze. Spodziewałem się, że chemia organiczna okaże się równie bolesną kontynuacją tego samego.

Profesor, małeńki facecik z Europy Wschodniej, co chwila gładzący jasną kozią bródkę, podwinął rękawy. Narysował na tablicy dwa łańcuchy węglowodorowe – tyle udało mi się rozpoznać. Jeden miał kształt litery M, a drugi – litery W.

– Kto mi powie, czym one się różnią? – zapytał, przyglądając się uważnie studentom.

Nikt nie odważył się zgadywać.

– Nie ma żadnej różnicy – oznajmił w końcu. – Molekuły są identyczne, jeśli wyobrażą je sobie państwo w trójwymiarze.

Podniósł dwa plastikowe modele i odwrócił jeden z nich. Rzeczywiście były identyczne.

– A teraz, jeśli państwo pozwolą, że zapytam – ciągnął, rysując na tablicy dwie nowe molekuły – jaka jest tutaj różnica?

To było jak objawienie. Nagle dokładnie widziałem, o co pyta, kiedy wreszcie dostrzegłem coś więcej niż tylko bazgroły na tablicy i zacząłem sobie wyobrażać molekuły takimi, jakie są w rzeczywistości.

– No proszę, nikt z państwa nie gra w Tetrisa? – zachęcił profesor, wywołując tu i ówdzie krótki śmiech.

– To przeciwieństwa – odpowiedział ktoś z głębi sali.

– To przeciwieństwa – powtórzył wykładowca, po czym podniósł dwa inne modele i je obrócił. – W takim samym sensie, jak państwa lewa ręka jest przeciwieństwem prawej. To lustrzane odbicia, mówimy na nie „enancjomery”.

Potem zaczął wywód o tym, że przeciwieństwa mogą być tym samym i w jaki sposób występują razem w naturze – wcale nie jako swoje

przeciwieństwa, lecz po prostu jako cząsteczki przeznaczone do udziału w zupełnie innych reakcjach. To w ogóle nie przypominało morderczo nudnych równań, przez które musiałem brnąć godzinami na chemii w liceum, liczb z potęgami tak wysokimi, że czasami było mi żal mojego kalkulatora. Tutaj w ogóle nie było matematyki, tylko teorie i wyjaśnienia, dlaczego reakcje przebiegają tak, a nie inaczej, i dlaczego molekuły wiążą się w trzech wymiarach. Nie rozumiałem wszystkiego, ale to, co udało mi się pojąć, było naprawdę ciekawe.

Kiedy zajęcia się skończyły, Cassidy popatrzyła na mnie, lekko marszcząc brwi.

– Strasznie cię przepraszam, coś mi się pomieszało.

– O czym ty gadasz? To było ekstra.

Nigdy dotąd nie wyszedłem z lekcji z mózgiem na najwyższych obrotach dzięki temu, czego się właśnie nauczyłem, i chciałem delektować się tym uczuciem jak najdłużej. Jakby mój umysł nagle zyskał zdolność postrzegania świata na wyższym poziomie złożoności, jakbym właśnie uświadomił sobie, ile jeszcze jest do zobaczenia i do zrozumienia. Po raz pierwszy pomyślałem, że może studia wcale nie będą przypominać liceum, że może wykłady rzeczywiście będą coś warte, ale wtedy Cassidy wybuchła śmiechem.

– Co? – zapytałem, trochę zły, że przerwała mój osobisty moment zen.

– Nikt nie lubi chemii organicznej. To najgorszy przedmiot, który trzeba odwalić na pierwszym roku medycyny.

– Może mnie się podoba, bo nie zamierzam iść na medycynę.

– Nie, bo zamierzasz robić karierę jako zbieracz zgniłków. – Cassidy przewróciła oczami.

– Oczywiście. Praca sezonowa jest super. Kończy się zima i możesz zaczynać wiosenne początki zbierania zgniłków.

Cassidy trzepnęła mnie zeszytem.

Po nijakim wykładzie filozoficznym na temat czegoś, co nazywa się konsekwencjalizm, poszliśmy z powrotem do Town Center. Dochodziło południe i zrobiło się upalnie. Niebo nad nami było doskonale błękitne, ale im dalej w stronę gór, tym bardziej kolor zmieniał się w białoszary.

Zdjąłem koszulę, którą włożyłem na T-shirt, na wypadek gdyby okazało się, że to jednak randka.

Kiedy wpychałem koszulę do plecaka, poczułem, że Cassidy mi się przygląda.

– Co ci się stało w nadgarstek?

– Nic, to tylko opaska – odparłem, nie chcąc poruszać tego tematu.

– Taka moda wśród bezmózgów od tenisa? – drażniła się ze mną. Nagle spoważniała i odsunęła okulary na czubek głowy. – To dlatego zawsze nosisz długie rękawy?

– Nie – odgryzłem się, przedrzeźniając ją. – Zawsze noszę długie rękawy, bo to taka moda wśród bezmózgów od tenisa.

Pokazała mi język i przez chwilę wyglądała jak małe dziecko.

– Bardzo dojrzała reakcja – skomentowałem. – Myślałem, że udajemy studentów.

– Już nie udajemy. Koniec zajęć. Teraz pora na lunch.

Poszliśmy do Town Center i kupiliśmy kanapki w Lee's, jednej z tych sieciówek, o których myślisz, że są wszędzie, a potem się okazuje, że działają tylko w Kalifornii.

Cassidy uparła się, żebyśmy zjedli kanapki po drugiej stronie ulicy, gdzie nad kamienistym zboczem rozciągał się spłachetek trawnika, a obok płynęła mała rzeczka. Zrobiliśmy sobie piknik w cieniu rozłożystego dębu. Po wąskiej ścieżce koło nas co chwila śmigali rowerzyści, a na drugim brzegu rzeczki inna para też rozłożyła się na trawie z jedzeniem. Nie, żebyśmy my byli parą.

Włączyłem głośnik na telefonie i puściłem stary album Crystal Castles,

a Cassidy przeczesywała trawę w poszukiwaniu małych białych kwiatków, żeby upleść z nich wianek.

– Proszę – powiedziała, nachyliła się i położyła mi wianek na głowie.

Jej twarz była centymetry od mojej. Zobaczyłem, że jej nos jest przyprószony piegami, a w niepokojąco niebieskich oczach unoszą się złote kropki.

Odsunęła się, żeby ocenić, jak wyglądam z kwiatami we włosach. Odniosłem wrażenie, że dobrze wie, jak bardzo mąci mi w głowie, i że jej się to podoba.

– Kiedy mogę to zdjąć? – zapytałem.

– Kiedy mi powiesz, gdzie składasz podanie na studia – odparła przebiegle.

Wzruszyłem ramionami. Proste pytanie.

– Pewnie tutaj, może do jeszcze kilku innych szkół w stanie.

Natychmiast pojąłem, że to zła odpowiedź.

– I to wszystko? – Cassidy zmarszczyła nos. – Nie masz problemu z tym, że spędzisz całe życie na tych samych trzydziestu kilometrach kwadratowych?

Bez słowa zdjąłem wianek i zacząłem mu się przyglądać.

– No wiesz, stypendia sportowe raczej już nie wchodzi w grę.

– Och! – Policzki Cassidy poczerwieniały. Przez chwilę bawiła się serwetką. – Przepraszam. Nie pomyślałam.

– Nie, w porządku. Co za różnica, ten college czy inny? Przecież nie celowałem do Ligi Bluszczowej.

– Dlaczego nie? – Cassidy się zacięła. – Wszyscy z Barrows tam aplikują.

Nie byłem przyzwyczajony do takich pytań: czemu nie Harvard albo Yale? Odpowiedź była oczywista: bo nikt nie oczekiwał ode mnie, że pójdę do takiej szkoły. Nigdy nie wykazywałem poważnego zainteresowania karierą akademicką, a w tenisa grałem w nadziei, że nasza drużyna zakwalifikuje się do rozgrywek stanowych, a nie na olimpiadę. Większość ludzi z mojej klasy,

wliczając w to mnie, w życiu nawet nie widziała śniegu.

– Wątpię, żebym tam pasował – odparłem w końcu.

– Oczywiście! – Głos Cassidy ociekał drwiną. – Wolałbyś pasować do bandy bezmózgich byczków, którzy wygrywają szkolne konkursy popularności i otaczają się blond lalkami Barbie.

– Jakbyś na zauważyła, do nich też nie bardzo pasuję.

Cassidy roześmiała się głośno.

– Ezra – powiedziała powoli – wszyscy to zauważyli.

Nachyliłem się i położyłem wianek na jej głowie, pozwalając dłoniom zatrzymać się na jej włosach odrobinę dłużej, niż to było konieczne.

Może trzeba było wtedy odchylić jej lekko głowę i ją pocałować, ale tego nie zrobiłem. Nie byłem pewien, czy naprawdę chce, czy tylko sprawdza, co zrobię. Nie chciałem się dowiedzieć.

Zamiast tego opowiedziałem jej, jak to było po wypadku. Jak spędziłem prawie dwa tygodnie w szpitalu, podczas gdy wszyscy dokończyli trzecią klasę liceum beze mnie. Jak ominęły mnie połowinki i wybory do samorządu, i luau. Jak pierwsza operacja się nie powiodła, a moja mama płakała na wieść, że muszę mieć kolejną. Jak trener tenisa przyszedł do szpitala i słyszałem z korytarza, jak kłóci się z moim ojcem i mnie obwinia. Jak moi tak zwani przyjaciele wysłali mi podpisaną przez wszystkich głupią kartkę, ale nikt mnie nie odwiedził. Jak lekarze zrobili takie przedstawienie z informacji o końcu mojej sportowej kariery, że pomyślałem: spędzę resztę życia na wózku. I że najgorszy ze wszystkiego był powrót do szkoły pełnej ludzi, których znałem od przedszkola, i okazało się, że tylko ja się zmieniłem, bo już nie wiedziałem, kim jestem ani kim chcę być.

Kiedy skończyłem, Cassidy długo milczała. A potem zmniejszyła dystans między nami do zera i musnęła wargami mój policzek.

Były zimne od coli, a wszystko trwało ułamek sekundy. Ale Cassidy się nie odsunęła. Usiadła, dotykając dzinsami moich dzinsów i oparła mi głowę na



ramieniu. Kiedy mrugała, czułem na szyi delikatne łaskotanie jej rzęs. Siedzieliśmy tak jakiś czas, w milczeniu razem oddychając, słuchając bulgotania rzeczki i buczenia samochodów na University Drive.

– Jest taki wiersz – odezwała się w końcu Cassidy – Mary Oliver. Wiem, że nie lubisz poezji, ale to ci się spodoba, przynajmniej ta część.

Zacząła recytować, z głową wciąż opartą na moim ramieniu:

– „Powiedz, co jeszcze należało zrobić? / Przecież wszystko umiera zbyt prędko. / Powiedz, co ty zamierzasz zrobić / Ze swoim życiem, dzikim i cennym?”<sup>1</sup>

Zapatrzyliśmy się w wodę. Para po drugiej stronie zebrała swoje rzeczy i ruszyła w stronę kładki.

– No dobra – powiedziałem. – To jakie mam możliwości?

– Czekać, muszę się skonsultować z wyrocznią. – Cassidy się zamyśliła. Wyciągnęła rękę po źdźbło trawy, położyła je na dłoni i obejrzała uważnie, jakby mi z niego wróżyła. – Możesz wrzeszczeć jak barbarzyńca nad dachami świata... Albo wytrzymać kolejne pociski zawistnego losu... Albo wypłynąć z bezpiecznej przystani... Albo wyruszyć na poszukiwanie nowego świata... Albo się zbuntować, gdy światło się mroczy, chociaż to ostatnie nie zaczyna się na „w”, więc trochę psuje nam poezję całej wróżby, nie sądzisz?

– A ja się spodziewałem, że powiesz: „lekarz, prawnik albo dyrektor handlowy”. – Roześmiałem się.

– Ezra, no weź. – Cassidy wstała i otrzepała dzinsy z trawy. – Jeśli będziesz tak myślał, to nigdy nie uciekniesz z panoptikonu.

---

<sup>1</sup> M. Oliver, *Letni dzień*, tłum. A. Zano (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Tamtej nocy zabrałem Coopera na koniec naszej ulicy i porzuciłem mu piłkę. To nie było to samo, co wspólne bieganie po lesie, ale wyglądało na to, że i tak dobrze się bawił. Zauważył nawet jakiegoś dzikiego królika, za którym trochę sobie pobiegał, choć nie wydawało mi się, żeby królikowi ta zabawa też się podobała.

Kiedy wróciliśmy do domu, mama siedziała przy kuchennym stole z kubkiem herbaty koło łokcia i kartkowała gazetę z programem, chociaż przecież mamy streaming i programy na żądanie.

– Gdzie byłeś?

– Na końcu osiedla – odparłem, nalewając Cooperowi do miski świeżej wody. – Rzucałem mu piłkę.

– Bez smyczy? – zapytała z przerażeniem. – Ezra, jest już ciemno! Mógł go potrącić samochód!

– To ślepa uliczka, więc bardzo wątpię.

– Nie tym tonem, młody człowieku.

– *Sorry*. – Wyciągnąłem z szafki paczkę ciastek i otworzyłem. – Chcesz?

– Nie o tej godzinie. Chodź z nimi do stołu i mów, jak tam w szkole.

Nagle pożałowałem, że naszło mnie na plądrowanie szafek.

– Wszystko okej – odparłem z pełnymi ustami. – Ale te ciastka w ogóle nie są okej. Myślałem, że będą z kawałkami czekolady.

– Nie, to czekolada karobowa. Zdrowsza. A jak zajęcia dodatkowe?

– W porządku. Musisz mi podpisać pozwolenie na debatę. Jedziemy na

turniej do San Diego w przyszły weekend.

– Wycieczka z noclegiem? – Potrząsnęła głową. – Nie wiem, kotku. Przecież w sobotę masz fizjoterapię.

– Mogę zadzwonić do doktora Levine’a i przełożyć – odparłem niecierpliwie. – Poza tym to nie wycieczka, tylko turniej. Zapisalem się do zespołu debatanckiego.

Cooper zaczął piszczeć o ciastko, ale posłałem mu spojrzenie mówiące: Zaufaj mi, stary, nie chcesz tego próbować.

– Więc w tym roku twoi znajomi z samorządu zajmują się debatami? – zaczęła mama.

– Niezupełnie – odparłem, próbując powstrzymać szeroki uśmiech na samo wyobrażenie, że Jimmy Fuller, przedstawiciel sportowy, albo Tiffany Wells od imprez i wydarzeń mieliby spędzić chociaż pół godziny z moimi nowymi znajomymi. – Toby Ellicott mnie zaprosił, żebym dołączył. Jest w tym roku kapitanem.

– Och, Toby! Od wieków go nie widziałam. – Mama zamknęła przewodnik telewizyjny i pochyliła się nad stołem, ścisząc głos do konspiracyjnego szeptu. – A powiedz: on rzeczywiście okazał się gejem?

Prawie udławiłem się ciastkiem.

– Mamo!

– No co? Po prostu jestem ciekawa, kotku.

Spojrzałem na nią z oburzeniem. Przecież takich pytań nie wypada ludziom zadawać.

– Podpiszesz mi to pozwolenie czy mam iść poprosić tatę? – przycisnąłem.

– Zostaw mi na stole, podpiszę rano. Mogę cię zabrać do Nordstrom po szkole.

Właśnie wstawiałem od stołu, ale kiedy powiedziała o zakupach, zamarłem.

– Będzie ci potrzebny garnitur na debatę, prawda? – ciągnęła, coraz bardziej zapalając się do tego pomysłu. – I przy okazji możemy ci kupić trochę nowych ciuchów. Te dzinsy zaczęły na tobie wisieć, nie chcę, żebyś się potykał o nogawki.

Uśmiechała się z rozmarzeniem, jakby dział męski w Nordstrom był idealnym miejscem na wesołe rodzinne popołudnie. Na szczęście coś przyszło mi do głowy.

– Nie trzeba, pójdę z Tobym. On będzie wiedział, jak powinienem się ubrać na turniej.

– Cudnie – uradowała się mama. – Dam ci kartę taty. Geje mają wspaniały gust!

– Nie możesz po prostu kupić garnituru z wieszaka. – Cassidy wlepiała we mnie przerażone spojrzenie.

Z niewidocznych głośników w dziale męskim Nordstromu sączył się ten sam kawałek Vampire Weekend, którym byliśmy katowani pierwszego dnia szkoły na wiecu. Westchnąłem oszołomiony widokiem ciągnących się w nieskończoność wieszaków z ubraniami.

– Toby – zamiauczała Cassidy. – Powiedz mu.

– Wziąwszy pod uwagę, że wszystkie moje garnitury pochodzą z atelier panów Second & Hand, raczej nie mogę się wypowiadać – odpowiedział Toby z szerokim uśmiechem. Ewidentnie czerpał z mojego dyskomfortu wielką przyjemność. – Ale na pewno będzie mu potrzebna różowa koszula.

– O, na pewno. Do dupy jesteście, jedno i drugie.

– Może w czymś pomóc? – zagadnęła uśmiechnięta sprzedawczyni, która mogła być matką jednego z naszych kolegów z klasy.

– W sumie to tak, przyda nam się pomoc. – Cassidy się ożywiła. – Macie w cenie poprawki krawieckie garniturów?

Godzinę później miałem bagażnik pełen toreb z zakupami, a w kieszeni kwitek do odbioru garnituru po poprawkach na przyszły tydzień.

– Mogło być gorzej – pocieszyła mnie Cassidy i poklepała po ramieniu, kiedy wsiadaliśmy do samochodu. – Mogłeś tu przyjść z mamą i spędzić dwie godziny nad różnymi rodzajami zakładek w spodniach.

– Nie znasz jego mamy. – Toby się roześmiał. – Trzy godziny. A na deser spontaniczna wizyta u fryzjera.

– Kiedy stworzyliście jakąś frakcję przeciwko mnie? – burknąłem.

– Jak widać, nie tak wcześniej jak należało – odparła radośnie Cassidy. – To co, kto chce iść się pouczyć na test z historii Europy?

Toby miał odwrotny plan zajęć niż my – najpierw angielski, potem historia.

– Może po prostu dacie mi jutro odpowiedzi na przerwie? – zaproponowałem.

– Może po prostu przykleję ci tę muszkę do czoła? – odgryzła się Cassidy.

– Ta, tylko spróbuj. – Toby się zaśmiał i włączył radio. – A teraz zjeżdżamy z Prisma, skoro już mamy wszystko, po co tu przyszliśmy.

– Idziemy się gdzieś uczyć czy podrzucić cię do Kaszalota? – zapytałem.

– Idziemy się uczyć. – Toby westchnął.

Pojechaliśmy do Legacy, takiego kompleksu sieciówek koło szkoły. Fajnie było rozłożyć się z podręcznikami w kawiarni księgarni Barnes and Noble, pić kawę i uczyć się w towarzystwie przyjaciół, jakby to było jakieś zajęcie towarzyskie. Nigdy wcześniej tego nie robiłem.

No, niby robiłem, kiedy Charlotte na początku naszego związku jeszcze się upierała, żebyśmy odrabiali razem pracę domową w Starbucksie, ale wtedy głównie pocierała mnie kolanem po spodniach pod stolikiem, aż w końcu odpuszczaliśmy sobie naukę i jechaliśmy do niej do domu, bo jej rodziców nigdy tam nie było. Więc może raczej nigdy nie uczyłem się skutecznie w towarzystwie. Owszem, Cassidy się ze mną drażniła i udawała, że napluła mi do kawy, gdy byłem w łazience (tak naprawdę tego nie zrobiła, tylko chciała

wzbudzić we mnie podejrzenia), ale rzeczywiście przygotowaliśmy się na sprawdzian.

Kiedy już czuliśmy się pewnie przed klasówką, było dość późno.

– No to jak, Faulkner – zagadnął Toby. – Może źle to odczytuję, ale jestem prawie pewien, że chcesz mi postawić obiad za moją nieocenioną pomoc w doborze krawata.

– Okej – odparłem.

Zawsze tak było, nawet w dzieciństwie. W podstawówce moja tygodniówka wynosiła pięć dolarów i większość z tego budżetu szła na zaspokajanie uzależnienia Toby'ego od kwaśnych żelków i kart z pokemonami.

– Tylko zadzwonię do mamy, że będę później.

Wyjąłem telefon, odszedłem kawałek do działu z magazynami i szybko zapewniłem mamę, że nie, nie będziemy jeść nic śmieciowego, i tak, kupiłem wszystko, czego potrzebuję.

Rozmowa przeciągała się w nieskończoność, więc przysiadłem na ławce i zacząłem przeglądać porzucony przez kogoś egzemplarz „Rolling Stone”, myśląc sobie, że moja matka powinna się wreszcie nauczyć pisać esemesy.

– Tak, mam jakieś półbuty, coś takiego... Z gumową podeszwą, tyle pamiętam... Nie wiem, jakieś takie czerwonawobrazowe.

Westchnąłem, marząc, żeby straciła zainteresowanie.

– Mamo – w końcu się zniescierpliwilem – wszyscy na mnie czekają, muszę lecieć... Tak, będę przed dziewiątą. Okej... Okej, pa.

– Och, zamknij się – fuknąłem, kiedy wróciłem do naszego stolika w kawiarni.

– Przecież nic nie mówię. – Toby obdarzył mnie szerokim uśmiechem.

– Widzę, że oceniasz mnie w duchu.

– To chyba akurat prawda – przyznał mój przyjaciel.

Przeszliśmy na drugą stronę parkingu do In-N-Out Burger, co technicznie nie liczyło się jako śmieciowe jedzenie, bo trzeba było zaczekać, aż je zrobią.

– Wiesz, że mają tu sekretne menu? – powiedział Toby do Cassidy. – Można zamówić całą masę różnych dziwnych rzeczy. Colę z gałką lodów w środku, frytki z serem i smażoną cebulką...

– No jasne, że wiem. – Cassidy przewróciła oczami. – Wiesz, ja mieszkałam w Kalifornii.

– Nie! Serio? – drażnił się z nią Toby.

– A znasz tę historię z palmami? – wtrąciłem.

Oboje wlepili we mnie nierozumiejący wzrok. Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu.

– Przed każdym In-N-Out są dwie krzyżujące się palmy – wyjaśniłem. – To dlatego, że założyciel bardzo lubił jakiś stary film, w którym pod takimi palmami był zakopany skarb.

– Co za bzdura – parsknęła Cassidy. – Udawać, że knajpa z bułami to jakiś skarb.

– Nie wiem, myślę, że to fajne. – Wzruszyłem ramionami. – Większość ludzi nie ma o tym pojęcia, ale gdy zdasz sobie z tego sprawę, już zawsze będziesz zauważać te palmy przed wejściem.

– To tak jak z tą sieciówką z naleśnikami, IHOP – dodał Toby. – Moje kuzynki mówią na to „dohi”, bo tak to wygląda do góry nogami. Następnym razem gdy zobaczysz ich logo, przeczytasz „dohi” zamiast IHOP, wspomnisz moje słowa.

Natychmiast pomyślałem o łańcuchach węglowodorowych w chemii organicznej – to samo oglądane do góry nogami i jeśli wiesz, jak patrzeć, to zmienia ci się cała perspektywa. Prawie powiedziałem o tym głośno, bo Cassidy zrozumiałaby, co mam na myśli, ale się nie odezwałem. Nie dlatego, że uważałem to za coś dziwnego albo głupiego, ale po prostu wszystko w tej chwili było tak

doskonale, że już nie musiałem nic dodawać.

– Stary – wyszeptał Toby, kiedy odbieraliśmy potwierdzenie zamówienia – wiedziałeś, że Justin Wong tu pracuje?

– To muszą dobrze płacić. – Wzruszyłem ramionami.

Justin chodził ze mną na matematykę. Raczej się nie wyróżniał, z wyjątkiem samochodu – miał obłądnie odpicowaną hondę, na którą wszyscy w szkole mówili „ryżowa rakietka”.

Właśnie napełnialiśmy kubki napojami gazowanymi z dozownika, kiedy usłyszałem znajomy śmiech. Poczułem, jak sztywnieją mi ramiona.

– Och, chyba się zabiję. – Toby oparł się o dozownik i gapił prosto na nich.

Bardzo proszę: Charlotte, Evan i Jimmy siedzieli w najlepszym, narożnym boksie, tym dużym przy oknach, gdzie zawsze jedliśmy lunch, kiedy przychodziliśmy tu razem.

– Może po prostu weźmiemy na wynos? – mruknął Toby.

– I gdzie to wyniesiemy? – zapytałem. – Nie możemy zjeść burgerów w moim samochodzie, bo wtedy będzie w nim czuć burgery, a ja nie zamierzam brać na siebie takiego ryzyka, wierz mi.

– Możemy je schować do bagażnika – zasugerował Toby z nutą desperacji w głosie.

– Nie będę jeść niczego, co leżało u kogoś w bagażniku – zaprotestowała Cassidy.

– To może zjemy na parkingu. – Toby nie odpuszczał.

– Ta, wcale nie będzie nas widać. – Przewróciłem oczami. – Siedzą zaraz przy oknie.

Zbiliśmy się ciasno nad pompką z keczupem, obserwując stolik. Dopiero co odebrali swoje zamówienie i było widać, że nigdzie się nie wybierają.



Ktoś z obsługi In-N-Out, jakiś dzieciak z innej szkoły, doniósł im do stolika jeszcze trzy zestawy burgerów z frytkami.

– Hej, Ezra! – zawołał Justin Wong. – Powiedziałem Angelo, żeby przyniósł ci jedzenie do stolika.

Przez chwilę gapiłem się na Justina, nie rozumiejąc, o czym mówi. A potem do mnie dotarło: to były nasze burgery.

– Super – jęknąłem głucho. – Dzięki.

– No i kij bombki strzelił – zaklął łagodnie Toby.

– Dobra, chodźcie – powiedziałem takim tonem, jakbyśmy stali przed domem pogrzebowym, więc równie dobrze można było wejść.

– Och, super, czyli będę mogła poznać twoich starych znajomych? – Cassidy uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Bądź miła – ostrzegłem.

– Myślałby kto, że codziennie po myciu zębów ostrzę sobie język, tak się mnie czepia – poskarżyła się Cassidy.

– Raczej myjesz zęby i tępisz dowcip – odparł Toby.

To Evan pierwszy nas zauważył. Jego baryton surfera rozległ się w całej knajpie, kiedy uniósł kubek z colą niczym jakiś toast i huknął:

– Joł, Faulkner! Ruszaj tu swoją kulawą dupę!

– Hej – bąknąłem, gdy podeszliśmy do stolika. – Co tam słyhać?

– Nic, tak se siedzimy – wyjaśnił Evan.

Jimmy przytaknął z entuzjazmem. Jadł poczwórnego burgera Animal Style: tłustą, ociekającą sosem bułę przekładaną czterema kotletami. Na jego tacce leżał jeszcze nietknięty drugi identyczny, bo widocznie jeden to za mało. Kiedy wziął gryza, przypomniał mi się taki filmik z YouTube'a, na którym lew górski pożera gazelę.

– Zabawna historia – powiedziałem. – Jakoś tak wyszło, że Justin wysłał nasze jedzenie do waszego stolika.

– Kto? – zapytała Charlotte, patrząc na mnie bezmyślnie.

– Justin – powtórzyłem. – Ten koleś przy kasie? Jest u nas na roku.

Nie rozumiałem, jak może nie wiedzieć, o kogo chodzi. A potem uświadomiłem sobie, że Charlotte zawsze tak robiła: udawała, że nie kojarzy, o którym znajomym z klasy mówisz, jakby zapamiętywanie pewnych ludzi było poniżej jej godności.

– Och. – Charlotte zmarszczyła brwi i straciła zainteresowanie. – Wszystko jedno. Teraz już tu jesteście, więc siadajcie z nami.

– Jasne, stary, mamy kupę miejsca. Wbijaj – dodał Evan.

Nie omówiliśmy tego, ale wiedziałem, że plan był inny: przejąć nasze jedzenie i jak najszybciej przekalkulować, który stolik w restauracji znajduje się najdalej od ich miejsca, ponieważ właśnie tam mielibyśmy optymalne warunki do konsumpcji. Ale nie bardzo mogłem odmówić. Nie po tym, jak spławiałem ich wszystkich bez słowa wyjaśnienia od początku roku szkolnego.

– W porządku – odparłem, wruszając ramionami, i wślizgnąłem się na ławkę.

Poczułem dłoń Cassidy na rękawie, jakby chciała dać mi znać, że wejdzie pierwsza, żebym mógł usiąść z brzegu, ale zacisnąłem zęby i przesunąłem się do końca po skajowym siedzeniu. Nie chciałem, żeby moi dawni znajomi zobaczyli, że jestem do niczego.

– A gdzie Jill? – zapytałem, rozpakowując jedzenie. Wysypałem sobie połowę frytek na tackę, a resztę w kartoniku bez słowa podałem Cassidy, bo wzięliśmy na pół.

Charlotte uważnie obserwowała ten gest, jakby miał oznaczać coś specjalnego.

– Siedzi nad jakimiś pierdołami dla samorządu, nawet nie wiem. Ale dzięki

temu będziemy mogli poznać twoją nową koleżankę. – Uśmiech Charlotte ociekał jadem. Zamieszała shake'a słomką.

Wszyscy wgryźliśmy się w burgery. Trzy stoliki dalej dzieciak stanowczo za duży na swoje krzeselko wrzeszczał co sił w płucach, domagając się deseru, a rodzice spokojnie jedli, nie zwracając na niego uwagi.

– Faulkner, nie wpadłeś na moją imprezę! – Jimmy spojrzał na mnie oskarżycielsko.

– No, *sorry*. Jak było?

– Connor MacLeary przyszedł nawalony i wrzucił kega do basenu. – Jimmy filozoficznie wzruszył ramionami. – A moja wredna sąsiadka zadzwoniła po gliny. Musieliśmy udawać, że robimy parafialnego grilla.

– I co, podziałało? – Toby osłupiał.

– Nie. – Jimmy wepchnął sobie burgera do ust.

– No, Cassie – przerwała wesolutko Charlotte. – To skąd ty do nas przyjechałaś? Chino? Compton?

Cassidy tylko uśmiechnęła się na tę obelgę, jakby uważała, że Charlotte jest szalenie zabawna.

– San Francisco – odparła. – Ale mieszkałam w różnych miejscach, tu i tam. W Londynie, Zurychu, parę lat nawet w Luizjanie.

– Och. – Charlotte na tę wiadomość zrzędała mina. – Zawsze chciałam pojechać do Europy.

– No, a gdzie jeździcie ze szkołą na wycieczki? – Cassidy się zaciekawiła.

Popatrzyliśmy na nią tępo.

– Nie jeździcie? – upewniła się z niedowierzaniem. – Maturzyści nie lecą na tydzień do Hiszpanii albo gdzieś, żeby łązić po kościołach i muzeach?

Roześmiałem się głośno.

– Nie, jedziemy do parku rozrywki. Six Flags.

– Dobrze, że nie do Disneylandu – powiedziała słodko Charlotte, zerkając w stronę Toby’ego.

Evan zarechotał.

– Kotek – wycharczał, próbując się opanować – jesteś złą kobietą.

– Nie szkodzi, uwielbiasz mnie za to – odparła Charlotte, stukając go lekko palcem w czubek nosa.

Byli tacy słodcy i uroczy, że mało się nie porzygałem na swoją słodką i uroczą kupę frytek.

– To co, wszyscy przygotowani na sprawdzian do Anthony’ego? – zapytałem bez zastanowienia, pospiesznie próbując zmienić temat.

– Jaki sprawdzian? – Jimmy się zaniepokoił.

– Z zaawansowanej historii Europy – wyjaśniła Cassidy.

– Stary, nikt z nas nie chodzi na zaawansowane. – Evan się zaśmiał, pakując sobie do ust garść frytek.

– Chłopie, przecież jesteśmy w maturalnej – dodał Jimmy. – Mam tylko pięć przedmiotów, w tym tenisa.

– No tak, po co się więcej uczyć. Wystarczy, że piłki będzie umiał policzyć – mruknął Toby.

Cassidy prychnęła śmiechem. Ja spróbowałem się powstrzymać.

Evan wyciągnął rękę i ukradł Charlotte garść frytek z talerza. Skrzywiła się w udawanej złości i pacnęła go w rękę, kiedy rechocząc, pakował sobie wszystko naraz do ust.

– No co, głodny jestem – oznajmił w ramach przeprosin. – Dałem dziś czadu na treningu.

– No, grubo było! – potwierdził Jimmy z aprobatą.

Stuknęli się tłustymi pięściami nad podajnikiem serwetek. Toby się skrzywił.

– No, Ezra – powiedziała Charlotte – jak to się stało, że już nie siedzisz

z nami na lunchu?

Wszystkie oczy skierowały się prosto na mnie. Wzruszyłem ramionami i napiłem się coli, odwołując się do odpowiedzi. Rodzice z rozjazgotanym dzieciakiem wstali od stolika, zostawiając za sobą tacki ze śmieciami.

– No bo... – zacząłem i urwałem, nie wiedząc, jak wybrnąć.

Naprawdę chciała, żebym powiedział to na głos? Że nie miałem najmniejszej ochoty do nich wracać, skoro przyjęliby mnie z powrotem tylko z litości? Że kiedy byłem w szpitalu, w ogóle nie zachowali się jak przyjaciele? Że zdradziła mnie w noc wypadku i że odrobinę winię ją za to, co się wydarzyło? Że jeśli miałbym wybierać, to wolałbym jeść lunch na leżance u pielęgniarki, niż codziennie się przyglądać, jak siedzi Evanowi na kolanach?

Na szczęście Toby ruszył mi na ratunek.

– Faulkner jest teraz z nami w zespole debatanckim.

Wszyscy ryknęli śmiechem, jakby Toby ogłosił, że połączyłem siły z dziećmi, które przynoszą do szkoły własne laptopy i ogromne słuchawki, żeby podczas przerwy na lunch grać w World of Warcraft.

– Stary, powaga? – zapytał Evan.

– Jasne – przytaknąłem. – Czemu nie?

– Możemy porozmawiać? – Charlotte zatrzepotała rękami i uśmiechnęła się niebezpiecznie.

Cassidy i Toby wstali nieproszeni, żebym mógł się wygramolić z boksu. W gęstej, niezręcznej ciszy poszedłem za Charlotte do stolika z sosami i przyprawami.

Nie rozmawialiśmy od imprezy u Jonasa Beideckera, kiedy pobiegła za mną i upierała się, że przecież muszę ją zabrać na połowinki. A było tyle do powiedzenia – i tyle rzeczy, których lepiej było nie mówić – że nie wiedziałem, od czego zacząć. Ale Charlotte, jak widać, wiedziała.

– Co ty odwalasz? – wysyczała. – Bujasz się z Tobym Ellicottem i zapisujesz

do kółka dyskutantów?

Charlotte wciąż była ubrana w spódniczkę zespołu cheerleaderek, z kucyka zwisały jej wstążki, a na policzku miała namalowany mały niebieski odcisk łapki. Ale to była jedyna przyjemna rzecz na jej twarzy.

– No? – przycisnęła, czekając na wyjaśnienia.

Ale ja wcale nie uważałem, żebym był jej winien jakiegokolwiek wyjaśnienia. A już na pewno nie musiałem się tłumaczyć z czegoś tak banalnego jak to, w którym towarzystwie mam ochotę jeść lunch.

– A więc chodzisz z Evanem – odgryzłem się. – Wspaniała z was para. Będę na was głosować na studniówce.

– Och, proszę cię – zaprotestowała Charlotte, trochę zbyt gwałtownie. – Wcale nie dlatego jesteśmy razem.

– Oczywiście, że nie. – Powstrzymałem uśmiech, widząc, jak bardzo rozwścieczyła ją moja uwaga.

– To jakiś absurd – powiedziała. – Powinieneś wrócić do naszego stolika. Nie powinieneś siedzieć z tymi frajerami. Możesz nawet przyprowadzić tę swoją zarozumiałą dziewczynę z prywatnej szkoły. Nie robi mi to.

– Oni nie są frajerami. A Cassidy to tylko moja przyjaciółka.

– Jasne. – Charlotte się zaśmiała. – Bo tyle dziewczyn patrzy na ciebie i myśli: „Tak, to jest facet, z którym chciałabym się tylko przyjaźnić”.

– O czym ty gadasz?

Byłem zupełnie pewien, że większość dziewczyn patrzy na mnie i myśli: „O, to ten koleś, który prawie się zabił na imprezie u Jonasa. Kiedyś był gwiazdą sportu, ale teraz ledwie kica. Ale to smutne, co?”.

Uniosłem brew, czekając, aż Charlotte powie głośno to, co wszyscy tylko myśleli. Ale zamiast tego zaszeleściła spódniczką, jakbym ją wykańczał. Pamiętałem tę zagrywkę ze złotych czasów trzeciej klasy, kiedy dopiero zaczęliśmy ze sobą chodzić.

– Bożeszty mój, Ezra! Weź się obudź. Teraz jesteś mroczny i zdołowany, i nawet nie pytaj dlaczego, ale to ci strasznie pasuje, cały ten depresyjny, pokręcony klimat. Mógłbyś mieć, kogo chcesz, więc zostaw już tę bandę gamoni i przestań się uzalać nad zwichniętym kolankiem.

Zwichnięte kolanko – okej. Nawet nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, więc zrobiłem to samo, co zawsze podczas sprzeczek z Charlotte – i ze wszystkimi swoimi dawnymi znajomymi. Wzruszyłem ramionami i nic nie powiedziałem.

– Słuchaj – oznajmiła, podchodząc bliżej i uroczo wydymając usteczka. – Robię imprezę w przyszły piątek. Przyjdiesz, prawda?

Teraz byłem już pewny, że ze mną flirtuje. Ale tak się składało, że nie chciałem mieć z nią w ogóle do czynienia.

– Nie przyjdę. Mam inne plany.

– Niby jakie?

– Turniej debatancki – odparłem z dziką uciechą. – Niestety wyjeżdżamy na cały weekend. Do innego miasta.

– Chyba żartujesz.

Nachyliłem się, zmniejszając dystans między nami. Wiedziałem, że cokolwiek teraz powiem, ujdzie mi to na sucho.

– Jestem poważny jak wypadek samochodowy.

Posłałem jej swój najlepszy uśmiech, po czym ruszyłem z powrotem do stolika.

Kiedy szliśmy do samochodu, tylko raz odwróciłem się za siebie. Słońce zachodziło, a lampki rozwieszane między palmami na parkingu dopiero co się zapaliły. Ale nawet w fioletowym zmroku, przy świetle setek maleńkich lampek odbijających się od szyby In-N-Out, widziałem, jak siedzą przy dużym narożnym stoliku, który zajęli tylko dla swojej trójki. Już dawno skończyli jeść, ale wciąż

trzymali najlepszy stolik w całej restauracji, jakby należał się tylko im – tak długo jak tylko chcą.

Jeszcze nie tak dawno byłbym z nimi w środku, wciągałbym podwójnego cheeseburgera po treningu i maczał frytki w shake’u tylko po to, żeby Charlotte zapiszczała z obrzydzenia. Śmiały się z wygłupów Evana i Jimmy’ego, bo wszyscy wiedzieliśmy, że po prostu sprawdzają, ile czasu minie, zanim każę im przestać.

„Wykopią nas stąd, zobaczycie – ostrzegałbym, potrząsając głową. – Zrobiam zdjęcia w tych debilnych papierowych czapeczkach i powieszę na ścianie wstydu”.

A kiedy Justin Wong przyszedłby wreszcie, żeby ostentacyjnie zabrać nasze tacki, posłałbym mu przepaszające spojrzenie za plecami całej reszty, wiedząc, że źle się zachowywaliśmy, ale i tak uszło nam to na sucho.

– No – zaczęła Cassidy, siadając z przodu – to było wybitnie nieprzyjemne doświadczenie.

– Witamy w hrabstwie Orange, mała? – spróbował Toby.

– Jedźmy już. – Włączyłem muzykę, nie chcąc rozmawiać o całym zajściu.

W lokalnym radiu kampusowym grali Arcade Fire. Wokalista zawodził o tym, jak to jest dorastać na przedmieściach. Skupiłem się na słowach piosenki, dopóki nie wjechałem z powrotem na Princeton Boulevard.

– Patrzcie, biegacz. – Toby wskazał na suchy, skłębiony krzak na drodze. – Pięćdziesiąt punktów, jeśli w niego wjedziesz.

– W sowieckiej Rosji to biegacze wjeżdżają w ciebie – odparłem z okropnym akcentem.

– W sowieckiej Rosji nie ma takich krzaków – zaprotestowała Cassidy. – Ale skoro już mówimy o KGB: co to była za szopka z twoją byłą?

Zaśmiałem się głucho.

– Chciała mnie poinformować, że zakłócam *status quo*. I jeszcze że robi



imprezę w przyszły piątek.

– My też robimy imprezę – powiedział Toby. – I mogę zagwarantować, że będzie o wiele lepsza, a już na pewno o wiele bardziej ekskluzywna.

– Owszem – zapewniła Cassidy. – Jeszcze nie miałeś okazji doświadczyć czystej, nieskondensowanej doskonałości hotelowej imprezy.

– Jedyne, czego żałuję w życiu – odparłem.

– No, nie wiem. – Toby się zamyślił. – W trzeciej klasie mama ścięła cię na pazia. To nie było dobre.

Cassidy się roześmiała.

– Łże jak pies – wtrąciłem. – Moje włosy fizycznie się nie pazują.

– Niby od kiedy „paż” to czasownik? – Toby się wyszczerzył.

– Od kiedy zacząłeś kłamać, że go miałem – uciałem, wjeżdżając na szkolny parking.

Zaczynał się już zapelniać przed wieczornym meczem futbolu.

– Ja odwożę Cassidy do domu – oznajmił Toby, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu kluczyków.

– Nie trzeba – zaprotestowała. – Nie rozumiem, czemu wszyscy tak się boicie tych kojotów.

– Ja się nie boję kojotów – powiedział Toby. – Boję się, że Faulkner znowu będzie chciał zapakować twój rower do bagażnika, a wszyscy wiemy, że się przy tym zabije.

– Dupek z ciebie – poinformowałem go.

– Ale przynajmniej nie miałem pazia w trzeciej klasie!

Cassidy i ja nigdy nikomu nie powiedzieliśmy, gdzie byliśmy w dniu, kiedy nauczyciele mieli szkolenie. Nie przysięgaliśmy sobie zachowania tajemnicy ani nic takiego, ale miałem dziwne wrażenie, że to coś osobistego, podszytego wspomnieniami, z których się jej zwierzyłem, i ulotną chwilą, kiedy dotknęła ustami mojego policzka. Ale Toby chyba w jakiś sposób wyczuł, że coś między nami zaszło, i wcale nie był zadowolony.

– Właśnie dlatego odwiozłem ją do domu – wyjaśnił mi w piątek, kiedy staliśmy w kolejce do stołówki. – To... Ona nie jest taka, jak ci się wydaje. Ona jest nieprzewidywalna.

– Więc przestań próbować przewidzieć, że mnie zniszczy – odparłem, płacąc pani w okienku za kanapkę. – O co ci w ogóle chodzi? Właściwie jak dobrze się znacie?

– To historia, Faulkner. Znamy się tak długo i dogłębnie jak Adam i Ewa.

– Jasne, na pewno.

– No, nasze zespoły czasem się spotykały. Zapraszaliśmy się nawzajem, gdy mieliśmy imprezy w pokojach – wyjaśnił. – No i zawsze są jakieś małe flirty: debatoromanse czy jak to nazwać. Przez dzień albo dwa nie mogła się od kogoś oderwać, a potem zapominała o jego istnieniu. Zostawia za sobą ścieżkę złamanych serc, i albo o tym nie wie, albo nic sobie z tego nie robi.

Wziąłem od pani ze stołówki resztę.

– I to jest ten problem? Boże, przypomnij mi, żebym nigdy ci nie opowiadał, co się dzieje na obozach tenisowych – powiedziałem, sięgając po serwetki.

– Rzuciłbym żartem o upuszczaniu mydła, ale coś czuję, że panie w okienku

nie będą zachwycone. – Toby wybrał z lodówki styropianowy pojemnik z napisem „kurczak gen.”, powąchał nieufnie, a potem podał sprzedawczyni garść pogniecionych jednodolarówek. – W tym roku widzę, że z Cassidy dzieje się coś dziwnego, i nie wiem, co się zmieniło, ale mam złe przeczucia. No, ale powiedz mi, jak uważasz: czy to ma oznaczać, że w środku jest generalnie kurczak, czy jakiś konkretny rodzaj kurczaka, którego po prostu nie chciało im się zidentyfikować?

– Wygląda obrzydliwie.

– Tyle to sam widzę. Ale czy ta obrzydliwość kojarzy ci się z czymś szczególnym? Albo generalnym? – drażył Toby z nadzieją. – Może z kurczakiem generała Tso?

Znów zerknąłem do pojemnika.

– Kojarzy mi się z czymś generalnie obrzydliwym – poinformowałem.

– Hmm. – Toby przyjrzał mu się smutno. – Obawiam się, że masz rację.

Cały weekend spędziłem zakopany pod wielką stertą prac domowych. Moreno kazał nam napisać „wypracowanie próbne” o *Gatsby*, które ponoć miało się czymś różnić od prawdziwego wypracowania (a tą różnicą najprawdopodobniej było: nic). Trener Anthony kazał przygotować piętnaście problemów historycznych na wtorek, ręcznie, żebyśmy nie zrobili kopiuj-wklej z internetu. I jeszcze musiałem napisać w domu sprawdzian z całek i różniczkowania. Jedyna pozytywna rzecz wydarzyła się w niedzielę wieczorem, kiedy Cassidy w końcu wysłała mi latarką wiadomość alfabetem Morse’a z okna swojego pokoju.

HEJ – zamigała. – HEJ. HEJ.

Wciąż pamiętałem alfabet Morse’a z czasów, kiedy byłem zuchem. Sięgnąłem na biurko po lampkę i odpowiedziałem HEJ, na wpół z ciekawością, a na wpół z nadzieją, że poprosi, abym wymknął się z nią do parku.

Ale po mojej odpowiedzi jej okno pozostało ciemne, choć przecież wiedziała, że jestem i patrzę. Więc poszedłem spać z myślą o niej, o łagodnym łuku jej pleców pod lekką bawełnianą sukienką, o jej włosach splecionych w upięte wysoko warkocze. Myślałem o tym, jak skacze ze szczytu plastikowej huśtawki, przelatuje nad piaskownicą i gładko mija granicę całego Eastwood w stanie Kalifornia, podczas gdy ja stoję, uwięziony w tym smętnym, bezbarwnym miejscu, i patrzę za nią tępym wzrokiem.

W tygodniu Toby zorganizował dwie sesje treningowe dla zespołu debatanckiego. We wtorek mieliśmy potrenować pojedynki na sucho – wylosowałem, że będę w parze z Phoebe. Cassidy sędziowała: siedziała po turecku na biurku pani Weng i bawiła się frędzlami szalika.

Toby w poniedziałek nauczył mnie, jak robić notatki i jak konstruować wywód. Nadal korzystałem z takiej skserowanej tabelki z narysowanymi strzałkami. W ten sposób czułem się trochę pewniej. Jedyne, co wyszło mi na dobre, to że moją przeciwniczką była Phoebe. Spodziewałem się, że mnie zniszczy, ale okazało się, że jest zaskakująco kiepska w debatowaniu i tylko raz startowała w turnieju. Kiedy wygłosiliśmy podsumowania, oddaliśmy Cassidy nasze notatki i podeszliśmy do szafki z trofeami z tyłu klasy.

Te największe miały już co najmniej kilka lat – dziedzictwo uczniów, którzy dawno skończyli szkołę. Przez lata zespół zmienił się z mistrzowskiej drużyny w klub dla nerdów, którego członkowie przede wszystkim gonili za dobrą zabawą, a nie za chwałą i zwycięstwami. Nie wyobrażałem sobie, żeby coś takiego mogło się kiedykolwiek stać z naszą szkolną drużyną tenisa – albo w ogóle z jakąkolwiek drużyną sportową. „Będziesz się dobrze bawić, kiedy będziesz wygrywać”, mawiał zawsze mój tata, jakby takie rzeczy dało się kontrolować.

– Są tu jakieś nowsze? – zapytałem Phoebe, wskazując głową na gablotkę.

– Parę. Ten maciupęńki jest Toby’ego. A tabliczka Sama i Luke’a. W rozgrywkach zespołowych są niezłą parą, jeśli Sama nie poniosą akurat jego republikańskie poglądy. – Zaśmiała się cicho. – A tobie dobrze idą występy publiczne, aż byłam trochę zaskoczona.

– No, może i dobrze ci idzie samo występowanie, ale konstrukcję wypowiedzi masz kompletnie bez ładu i składu – wtrąciła Cassidy, zsuwając się z biurka pani Weng. Oddała nam notatki. Moja kartka wyglądała, jakby jej pióro zostało brutalnie zamordowane i wykrwawiło się na śmierć. U Phoebe dostrzegłem zaledwie kilka uwag. – A ty odwrotnie – ciągnęła Cassidy. Odwróciła się do Phoebe, marszcząc brwi. – Masz porządnie opracowany wywód, ale nie wygłaszasz go w przekonujący sposób. Chodźcie, zobaczymy, jak sobie poradzicie z innymi tematami.

Ćwiczyliśmy aż do wpół do piątej, bo Austin musiał iść na zajęcia przygotowawcze do SAT-ów<sup>2</sup>, a ja miałem fizjoterapię, choć powiedziałem, że jadę do dentysty. Wiem, że fizjoterapii nie trzeba się wstydzić, ale to wciąż nie brzmi dobrze: „terapia”, jakbym potrzebował profesjonalnej pomocy, by w ogóle funkcjonować.

Chociaż tyle dobrego, że to była tylko fizjoterapia, a nie te sesje posttraumatyczne z psychologiem – lekarze w szpitalu uparli się, żeby wysłać mnie na nie po wypadku. Tego akurat nie znosiłem, ale na szczęście musiałem odwalać tylko jedno spotkanie miesięcznie z doktorem Cohenem, najbardziej oślizgłym psychologiem klinicznym na świecie. Serio mówię, miał tak wybielone zęby, że pewnie świeciły w ciemności.

Więc grzecznie pojechałem do centrum medycznego i spędziłem godzinę na rowerku stacjonarnym i na bieżni, słuchając przykładowych debat, które wysłał mi Toby, i starałem się nie myśleć o Cassidy. Zachowywała się, jakby w ogóle nigdy nie była na mnie zła za to, że wkręciłem ją w turniej, i nie byłem pewien, jak to rozumieć. Zakładałem, że albo jej pierwsza reakcja była przesadnie

gwałtowna, albo po prostu postanowiła ukrywać złość.

Może rzeczywiście była po prostu nieprzewidywalna, jak twierdził Toby. Ale jakoś w to wątpiłem. Bo każdej nocy około jedenastej w jej oknie po drugiej stronie parku Meadowbridge gasło światło, a jej latarka nadawała to samo pozdrowienie alfabetem Morse'a. HEJ. HEJ. HEJ. Nic więcej. Początek niedokończonej rozmowy, której ciągu dalszego nie miałem jaja wziąć w swoje ręce.

Przez cały tydzień codziennie szedłem spać z nadzieją, że to coś wiszące między nami wreszcie poderwie się z miejsca i ruszy z prędkością światła latarki, ale nic takiego się nie wydarzyło. Jak zwykle zostawiła mi tylko niedosyt i sny o tym, co by było, gdyby jednak się udało.

---

2 Egzamin dla uczniów szkół średnich stanowiący nieobowiązkowy element rekrutacji na studia wyższe.

Turniej zorganizowano w Akademii Sztuk Dramatycznych w San Diego. To jeden z tych kampusów zbudowanych w stylu hiszpańskiego portowego miasteczka, z ceglanymi łukami i mozaikami. Prawie się spodziewałem, że na parkingu usłyszę dobiegający z oddali szum fal.

Byliśmy już spóźnieni, bo po drodze utknęliśmy w korku, i ledwie zdążyliśmy się przebrać na czas. Cassidy, Phoebe i ja musieliśmy polecieć z ciuchami do łazienki, a reszta zespołu popędziła do recepcji, żeby nas zameldować.

Na całym kampusie panowała szaleńcza kotłowanina uczniów w eleganckich garniturach i mundurkach prywatnych liceów. Minęliśmy dwóch chłopaków, którzy wieźli trzy wielkie pudła pełne segregatorów jedno na drugim, związane gumowym sznurkiem, i dziewczynę wygłaszającą monolog do ceglanej ściany. Wszędzie wokół unosiła się atmosfera desperackich przygotowań na ostatnią chwilę, przypominająca mi ten dzień, kiedy pisałem egzaminy SAT.

Przebrałem się w garnitur – musiałem przyznać, że rzeczywiście leżał na mnie dużo lepiej niż te, które wypożyczałem na oficjalne okazje. Dziewczynom przygotowania zajęły więcej czasu, więc spędziłem dobrych kilka minut, gapiąc się w drzwi ich łazienki jak jakiś elegancki ochroniarz.

– Ooo – rozczuliła się Phoebe, kiedy wreszcie wyszły na korytarz – ktoś tu ma uroczy nowy garniturek.

– Nieprawda. Wyglądam jak jakiś senator – poskarżyłem się, ciągnąc za kołnierzyk koszuli.

– Liberalny senator – zapewniła Cassidy. – Taki, który wplątał się

w seksaferę z luksusową prostytutką.

I wtedy zobaczyłem, co zrobiła ze sobą Cassidy: złoto-czerwone paski na wełnianej kamizelce, do kompletu krawat w tych samych kolorach, szara plisowana spódniczka, granatowa marynarka przewieszona przez ramię...

– Czy to krawat Gryffindoru? – spytałem.

– I kamizelka z oficjalnego sklepu Harry’ego Pottera – potwierdziła z zadowoleniem.

– Pani Weng każe ci się przebrać – ostrzegła Phoebe.

– Nie może. – Cassidy się wyszczerzyła. – Jestem ubrana zgodnie z wymogami. Technicznie rzecz biorąc. No dalej, Cedric, Cho, idziemy.

Ruszyliśmy w stronę bufetu, gdzie koczowały wszystkie zespoły. Zdałem sobie sprawę, że jestem zestresowany. Głęboko, straszliwie zestresowany. Nie denerwowałem się na myśl o porażce, bo wiedziałem, że jestem beznadziejny w debatowaniu. Denerwowałem się, że nie zrozumieję, co jest takiego cudownego w paradowaniu w garniaku i dyskutowaniu o polityce rządu. Że się okaże, że do moich nowych przyjaciół też jednak nie pasuję. Że na całe życie pozostanę kimś, kto w wieku siedemnastu lat stracił wszystko, co go definiowało, zamiast odnaleźć swoją prawdziwą tożsamość.

W bufecie było tłoczno. Kiedy wchodziliśmy, Cassidy wzięła mnie za rękę. Zerknąłem na nią – wyglądała zupełnie inaczej niż ta dziewczyna, która położyła mi na głowie wianek ze stokrotek nad rzeczką i powiedziała, żebym pomyślał życzenie nad papierową gwiazdką. Po raz pierwszy wyglądała na zaniepokojoną.

Toby nas zauważył i pomachał zza stolika, przy którym pani Weng szybko powiedziała nam, jaki jest plan: wieczorem dwie rundy wstępne, rano dwie kwalifikacyjne, a po południu dwie finałowe i rozdanie nagród.

– Cassidy, co ty masz na sobie? – zapytała pani Weng.

– Mój krawat z Oksfordu? – Cassidy zmarszczyła czoło w wyrazie absolutnego zaskoczenia. – Byłam tam latem na stypendium.



Nie wiem, jak wszyscy pohamowaliśmy śmiech, dzięki czemu udało jej się to przeforsować, ale jakoś się powstrzymaliśmy. A potem po przeciwnej stronie bufetu rozpętało się straszne zamieszanie: ogłosili listę na pierwszą rundę. W pomieszczeniu wybuchł absolutny chaos – trzystu nastolatków popędziło jednocześnie, żeby sprawdzić przydziały.

Cassidy uparła się, żebym nigdzie nie szedł i na nią poczekał, więc przez chwilę stałem w niezręcznej ciszy z panią Weng. W końcu wróciła, machając fioletową karteczką z numerem mojej sali.

Spojrzałem na karteczkę, czując, że mój stres właśnie się podwoił.

– Będzie dobrze – zapewnił Toby, klepiąc mnie po plecach. – Jesteśmy do bani, pamiętasz? Idź i przegraj z godnością.

Roześmiałem się i poczułem, że trochę mi przechodzi. Dam sobie radę. To tylko przemówienie. Setki razy występowałem na spotkaniach samorządu i wiecach sportowych. To tylko przemówienie w prawie pustej sali. Przemówienie, które nawet jeszcze nie powstało, więc nie musiałem się martwić, że zapomnę, co było dalej.

Spojrzałem na Cassidy, żeby sprawdzić, jak się trzyma, bo cały dzień zachowywała się trochę dziwnie. Była taka blada, jakby miała zemdleć. Na jej twarzy malowało się przerażenie.

– Wszystko okej? – zapytałem.

– W porządku – odparła, uśmiechając się słabo. – Nie martw się o mnie, mój mały adeptcie. Dalej, leć.

– No to powodzenia – powiedziałem.

– Połamania nóg! – zawołała, drocząc się ze mną.

Ruszyłem w stronę budynku A.

Wybrałem taką trasę, żeby ominąć główne schody, i w rezultacie poszedłem strasznie naokoło. Zabłądziłem we wschodnie skrzydło i wściekły na siebie zawróciłem w korytarz na trzecim piętrze. Wtedy znów ujrzałem Cassidy.

Stała odwrócona do mnie tyłem obok zapuszczonej fontanny i rozmawiała z jakąś trenerką w podeszłym wieku, której nie kojarzyłem. Kobieta położyła Cassidy dłoń na ramieniu i patrzyła na nią z tak grobowym wyrazem twarzy, że nie ośmieliłem się im przeszkodzić.

– ... tak strasznie przykro, kiedy się dowiedzieliśmy – mówiła. – Ale to cudownie znów cię tu zobaczyć, z powrotem na turnieju.

– Dziękuję – wymamrotała Cassidy.

Zawahałem się, czując, że nie powinienem być świadkiem tego zajścia, ale właśnie w tym momencie Cassidy się odwróciła.

– Hej – powiedziała zawstydzona. – A ty co tu robisz?

– Próbuję znaleźć zachodnie skrzydło – przyznałem.

– To w tamtą stronę. Chodź, pokażę ci.

Zaprowadziła mnie w boczny korytarz i prosię bardzo, literki przy numerach pokojów zmieniły się ze „Wsch.” na „Płn.”.

– Co to było? – zapytałem.

– Pojęcia nie mam. – Wzruszyła ramionami. – W sumie to dobrze, że się pojawiłeś. W życiu nie widziałam tej kobiety, a ona nagle mnie dopadła i zaczęła nawijać, jak jej przykro. Mówiła do mnie „Elizabeth” i zachowywała się, jakby moja mama miała raka.

– Dziwne – mruknąłem.

– Może gdzieś w Kalifornii jest szkoła, w której rzeczywiście noszą mundurki Gryffindoru. – Uśmiechnęła się szeroko, obciągając kamizelkę. – No, zachodnie powinno być tuż za rogiem. Muszę lecieć z powrotem.

– Do zobaczenia, Elizabeth! – zawołałem na pożegnanie.

– Nienawidzę cię! – odkrzyknęła wesoło.

Kiedy wróciłem do stolika po swojej rundzie, Toby, Austin i Phoebe już tam

byli. Phoebe wygrzebała z plecaka pudełko żelków z sokiem i podała mi paczuszkę.

– Dzięki – powiedziałem, rozrywając opakowanie. – Nie jadłem tego od przedszkola.

– O to chodzi. – Phoebe się uśmiechnęła. – To smak dzieciństwa.

– No to jak poszło? – zainteresował się Toby.

– W porządku – odparłem. – Chyba. To dziwne, ale nie potrafię stwierdzić, czy wygrałem, czy przegrałem.

– Zdarza się. – Austin podniósł głowę znad tabletu. – Chociaż ja na pewno przegrałem. Trafiłem na jednego z tych przypałów z Rancho, wszyscy mają w klapach przypinki Krajowej Ligi Debatantów. W każdym razie pozamiatane.

– Do dupy – zgodziłem się.

Austin wzruszył ramionami i wpakował sobie do ust garść żelków.

– Spoko – odparł, machając tabletem. – Po drodze do sali pyknąłem ze trzy levele. I jeszcze odblokowałem jeden kod, więc Rancho może mi naskoczyć.

Phoebe przewróciła oczami.

– Austin uważa, że binarny system zwycięstw i przegranych nic nie znaczy, jeśli można sobie po prostu walnąć wyższy wynik w grze.

– Owszem – potwierdził, salutując jej rysikiem do ekranu.

– No to powiedz nam, Austin – zagadnął Toby – często walisz sobie wieczorem wyższy wynik?

To zabrzmiało tak nieprzyzwoicie, że wszyscy się roześmialiśmy.

– Chcesz wiedzieć, czy jestem twardym debatanem, Ellicott? – odparował Austin.

Mało nie zaczęliśmy się tarzać po podłodze. Kiedy dołączyła do nas Cassidy, rechotaliśmy tak szaleńczo, że musieliśmy się naprawdę pilnować, żeby się nie udławić żelkami.

Dziesięć minut później przyszli Sam i Luke, bo debaty zespołowe zawsze trwały trochę dłużej. Gdy dotarli do stolika, wszyscy siedzieliśmy w ciasnym stadku nad iPadem Austina i na zmianę pokazywaliśmy sobie swoje ulubione śmieszne filmiki na YouTube.

Ogłoszono drugą rundę i Cassidy znów popędziła, żeby przynieść mi karteczkę z numerem mojej sali. Domyślałem się, że chce pomóc, choć to była lekka przesada – ale nie miałem serca zwracać jej uwagi. Więc grzecznie przyjąłem kolejną karteczkę i podreptałem na pojedynek z jednym z gości z Rancho – takim mimozowatym pierwszakiem z telefonem BlackBerry przypiętym do paska, jakby już prowadził własną firmę. Wróg, pomyślałem, uświadamiając sobie, że zaczyna mi się wykształcać lojalność wobec zespołu.

Trafiła nam się debata na temat ekonomii wolnego rynku, co nie było moją najmocniejszą stroną, i znów argumentowałem za. Wydawało mi się, że całkiem nieźle przedstawiłem przesłanki, ale wtedy pierwszak podciągnął pasek, poprawił krawat i posłał mi takie spojrzenie, jakby mówił, że nie wiem, co mnie czeka. A potem mnie wypatroszył.

To było strasznie frustrujące doświadczenie – wiedziałem, że na korcie tenisowym zniszczyłbym go moim backhendem, ścinając ostro piłkę, i patrzyłbym sobie, jak gubi nogi, żeby do niej zdążyć. Ale to była debata i nie miałem żadnych supermocy. Żałowałem, że nie debatowałem z Cassidy w jej absurdalnym mundurku Gryffindoru. Starłaby mu uśmiezek z tej mugolskiej buźki.

– Zanim dostaniecie klucze, musimy ustalić zasady. – Pani Weng uwzięła się, żeby narobić nam obciachu na samym środku zatłoczonego lobby. – Pokoje nie są koedukacyjne. Jeśli się dowiem, że się pozamienialiście, to wylatujecie z drużyny. Obiad możecie jeść w restauracji w hotelu albo w centrum handlowym po drugiej stronie ulicy. Jeśli będziecie chcieli iść do centrum handlowego, to macie wrócić przed dwudziestą. Żadnego wychodzenia z hotelu po nocy, i macie absolutny zakaz palenia. Nic mnie nie obchodzi, czy już możecie legalnie kupować papierosy. Widzimy się tutaj jutro za piętnaście ósma, żeby się wymeldować. Jeśli coś sobie pozamawiacie do pokoju, sami za to płacicie. Wszystko jasne?

Wymamrotaliśmy, że tak, a potem kazała nam wszystkim zapisać swój numer. Dopiero wtedy podała Toby’emu kopertę z kluczami.

– Jestem w pokoju 239! – zawołała za nami, kiedy już wsiadaliśmy do windy. – Gdyby był jakiś problem.

Cassidy się roześmiała i przycisnęła dłoń do ust.

– *Sorry* – parsknęła – ale któryś z tych buców z Rancho zaprosił mnie na chlańsko do ich pokoju. Powiedział, żebym wpadła do 237.

Pozwoliliśmy, aby ten szalenie zabawny zbieg okoliczności w pełni wybrzmiał.

– Biedna pani Weng. – Toby westchnął smutno. – Jak ona da radę czytać w wannie swój namiętny romans, jeśli te łachudry będą całą noc grać w beer-ponga za ścianą?

– Stary – skrzywiłem się – weź, wyobraziłem to sobie.

– Nie, poważnie, ona zawsze tak robi – wyjaśnił Austin. – Tylko dlatego zgodziła się być naszą opiekunką. Chłopie, Weng mieszka z rodzicami. Trenowałyby drużynę zapaśników, gdyby dawali jej darmowy pobyt w hotelu raz w miesiącu.

– Zawsze w recepcji pyta, czy w jej pokoju jest wanna – dodał Toby. – Pierwszy, kto się roześmieje, traci pięćdziesiąt punktów.

– Po co właściwie są te punkty? – Nie wytrzymałem.

Sądziłem, że to normalne pytanie, ale chyba się przeliczyłem – wszyscy zamarli i spojrzeli na mnie z przerażeniem.

– Och, Ezra – powiedziała Cassidy z żalem. – Teraz za jednym zamachem wszystkie straciłeś.

– A czy można mieć punkty ujemne? – zapytałem, kiedy drzwi windy się otworzyły i wysiedliśmy na czwartym piętrze.

– Nie wolno mi wyjaśniać zasad gry – odparł stanowczo Toby. – Ani przyznawać lub zaprzeczać, że w nią gramy. Raz-dwa, drużyno, do pokojów!

Dostaliśmy dwa sąsiadujące pokoje. My zajęliśmy jeden, a dziewczyny ruszyły do drugiego.

– Ee – bąknąłem. Spojrzałem na dwa podwójne łóżka i spróbowałem nie zwracać uwagi na oczywisty fakt, że jest nas pięciu.

Ale Luke otworzył drzwi, które wziąłem początkowo za wejście do garderoby, i okazało się, że prowadzą do pokoju dziewczyn.

– Hej! – zawołała Phoebe i weszła do nas razem z Cassidy.

Wtedy zrozumiałem: nikt nie miał najmniejszego zamiaru trzymać się zasad.

– Wszyscy gotowi na kolację? – Toby klasnął w dłonie.

– Nie przebieramy się najpierw? – Popatrzyłem na swój garnitur.

– Nie. – Phoebe uśmiechnęła się szeroko. – To taki rytuał przejścia. Drużynowy obiad w drużynowych strojach. Jeśli się upaćkasz, to twój problem.

– Zawsze tak gada – wtrącił Luke konspiracyjnym tonem – ale tak naprawdę wyprasuje nam wszystkim rano koszule, jeśli ładnie poprosimy.

– Mowy nie ma! – Phoebe złapała poduszkę i rzuciła w niego.

Centrum handlowe naprzeciwko Hyatta nie było takie złe, choć trochę było mi głupio, że całą siódemką przyszliśmy na galowo. No, sześć osób na galowo i jedna w mundurku Hogwartu. Wylądowaliśmy w Cheesecake Factory – uznałem to za nieco dziwny wybór, skoro zaraz obok mieliśmy Denny's i Burger Kinga. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, ale wiedziałem, że Toby nie ma zbyt wiele kasy.

– Kto chce przystawki? – zapytał radośnie, otwierając gigantyczne menu. Zauważył mój wyraz twarzy i zaczął się śmiać. – Faulkner stawia.

– To nie jest śmieszne – zaprotestowałem. – Nawet na tenisie nie każą nowym robić takich rzeczy.

– Wyluzuj. – Toby pomachał kartą kredytową. – Płacimy z budżetu naszego kółka. Który, technicznie rzecz biorąc, ty zatwierdziłeś w kwietniu zeszłego roku, gdy byłeś w samorządzie. Dodam, że byłeś całkiem szczodry.

– A, rzeczywiście – odparłem ze skrucą. Faktycznie zatwierdziłem w kwietniu planowane budżety kółek zainteresowań na przyszły rok szkolny. – No to przystawki dla wszystkich. Potem mi podziękujecie.

– Jest taki zwyczaj, że nowy płaci za alkohol – poinformował mnie Luke.

– Nie słuchaj go, wygłupia się – powiedziała Phoebe, potrząsając głową.

Zamówiliśmy kilka talerzy z przystawkami, a potem wszyscy wyjaśnili mi historię rywalizacji z Rancho.

– Tak w skrócie: oni nas nienawidzą – skwitował Austin. – Uważają, że nie traktujemy debatowania poważnie.

– Bo nie traktujemy debatowania poważnie – wycedził Sam.

– Tak, ale kiedyś traktowaliśmy – ciągnął Austin. – Byliśmy takimi, nie wiem, siostrzanymi zespołami, czy jak to się nazywa, jeszcze w pierwszej klasie.

Zanim wy przyszlście.

Ciągle zapominałem, że Sam i Phoebe byli dopiero w trzeciej klasie.

– Turnieje były wtedy do dupy – wtrącił Luke. – Trener Kaplan robił nam naloty niespodzianki w pokojach w hotelu.

– Do dupy – zgodził się Toby. – Biedny Kenneth Yang.

– Co się stało z Kennethem Yangiem? – spytała Cassidy, sięgając po swój napój.

Wszyscy westchnęli. Odniosłem wrażenie, że znają tę historię na pamięć, ale Toby się uwziął, żeby opowiedzieć ją jeszcze raz. Uśmiechnął się szeroko.

– Więc tak. Trener Kaplan wbija się nam o drugiej w nocy do pokoju, żeby sprawdzić, czy już grzecznie śpimy, bo Kenneth Yang od rana kłapał dziobem na prawo i lewo, że przywiózł zestaw do gry w Monopol. Więc trener wali do drzwi i mówi: „Otwierać, gówniarze, przecież słyszę, że gracie w Monopol”, ale nikt nie otwiera, bo wszędzie wokół stoją flaszki. Więc budzi wszystkich w pokoju obok i wpada do nas od ich strony, i co widzi? Kenneth Yang, z trzema krawatami przewiazanymi na czole, wali szoty sake i jednocześnie prasuje sobie spodnie.

Wszyscy parsknęliśmy śmiechem.

– No i oczywiście trener zaczyna się drzeć: „Co ty odpierdalasz, Yang?”, bo Kenneth Yang był wtedy kapitanem drużyny i jednym z najlepszych zawodników w ogóle. A Kenneth patrzy na trenera, ciągle z tymi krawatami na głowie, w samych gaciach, i mówi: „To nie tak jak pan myśli, trenerze. Wylosowałem taką kartę akcji w Monopolu”.

Nawet Phoebe mało nie puściła coli nosem.

– I co było dalej? – dopytywałem.

– Zawiesili go na tydzień i dostał zakaz wyjeżdżania na zawody z noclegiem do końca roku. Nową kapitan została Carly Tate. A rok wcześniej kręciła z kapitanem Rancho, więc to była trochę niezręczna sytuacja.

– I dlatego, Armio Smoka – wtrącił Austin – Rancho jest naszym



przeciwnikiem.

– I dlatego brama przeciwnika jest na dole – dorzucił Luke, na co kilka osób przewróciło oczami, choć nie bardzo wiedziałem, co to ma znaczyć.

Na deser zamówiliśmy cały tort czekoladowy. Przybył do naszego stolika razem z połową załogi Cheesecake Factory – wszyscy klaskali w ręce i śpiewali jakąś zmutowaną wersję „Sto lat”.

Tort został ceremonialnie postawiony przed Cassidy. Na samym środku była plama z bitej śmietany, w którą wetknięto świeczkę. Kiedy wreszcie zorientowała się, o co chodzi, zrobiła się cała czerwona, ale dobrze przyjęła żart. Zdmuchnęła świeczkę i oznajmiła, że zachowa ją na pamiątkę naszej niedojrzałości.

Okazało się, że podejrzanie wypchane torby wszystkich wycieczkowiczów zawierają głównie alkohol i jedzenie. A dokładnie gin, whiskey i wino – takie eleganckie jak w barku moich rodziców, a nie tanie siki, które wszyscy piją na domówkach z plastikowych kubeczków. Były też smukłe drogie głośniki, które wpięliśmy do iPoda Austina, i tonik z limonką, i deska eleganckich serów, i bagietka, co szczególnie mnie rozbawiło, kiedy zobaczyłem, że Phoebe wyciąga ją ze swojej miniwalizki. Nie znałem dotąd szesnastolatków kupujących bagietki na imprezy.

Zanim się obejrzałem, wokół mnie szalała impreza. Dołączyła do nas grupka ludzi z jakiejś szkoły, która nazywała się Wentworth. Mieli ze sobą butelkę prosecco, a Cassidy wyszeptała mi do ucha, że to szampan dla biedaków. Okazało się, że Wentworth to maleńka szkoła w Los Angeles łącząca podstawówkę, gimnazjum i liceum. To wyjaśniało, dlaczego nasi goście sprawiali wrażenie starszych i zmęczonych życiem, choć niektórzy byli dopiero w drugiej liceum.

Sam wziął na siebie rolę barmana: podwinął rękawy i nalewał drinki do plastikowych kieliszków do szampana i do szklanek z łązienki. Wyglądało na to,

że wie, co robi: rzucał nazwami koktajli, narzekał, że nie mamy butelki likieru St. Germain, i załamywał ręce, że Luke kupił nie taki wermut, jak należało. Goście z Wentworth – było ich sześcioro – przenieśli się na balkon, gdzie palili papierosy i pili swojego prawie-szampana.

Austin ustawił głośniki i podpiął iPod'a.

– Jakieś życzenia?! – zawołał.

– Coś, żebyśmy poczuli się młodzi i tragiczni – odparła Cassidy, siadając po turecku na jednym z łóżek. Popijała coś, co wyglądało jak sprite, ale raczej nim nie było.

Z głośników Austina popłynęły pierwsze akordy jakiejś koszarnej piosenki Beyoncé. Zaprotestowaliśmy głośnym jękiem.

– Żartuję! – zapewnił i przełączył na Bon Ivera.

Toby podał mi whiskey z lodem. Spróbowałem ostrożnie. Nigdy nie piłem zbyt wiele, ale grała dobra muzyka, na desce do prasowania leżała bagietka, a Cassidy siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku w stroju uczennicy, więc wypłem jednym haustem, bo już rzygać mi się chciało od tej mojej ostrożności.

Sam natychmiast nalał mi jeszcze jedną kolejkę, a ja znów wypłem bez zastanowienia, nie zdając sobie sprawy, co robię, dopóki nie zaczęło mi wirować w głowie od mieszanki leków przeciwbólowych i alkoholu – to właśnie przed tą kombinacją ostrzegają małym druczkiem ulotki leków na receptę. Usiadłem obok Cassidy, która właśnie rozmawiała z jakąś śliczną blondynką z Wentworth.

– Ale przecież tu jesteś. – Dziewczyna zmarszczyła brwi, a ja odniosłem wrażenie, że chyba rozmawiają o starej szkole Cassidy.

– Nie słyszałaś? – odparła Cassidy z wymuszonym uśmiechem. – Teraz chodzę do Eastwood.

Dziewczyna zaśmiała się sceptycznie.

– Poważnie – ciągnęła Cassidy. – Mamy wiece sportowe i w ogóle. To urocze.

– No, urocze. – Dziewczyna zerknęła na mnie, a jej usta rozciągnęły się w uśmiechu zrozumienia.

– Poznałaś już mojego młodszego braciszka Cassiusa? – zapytała Cassidy, zarzucając mi rękę na szyję, jakbyśmy naprawdę byli spokrewnieni. – Kto by pomyślał, że ma dopiero czternaście lat.

Dziewczyna na sekundę jej uwierzyła.

– Myślałam, że twój brat... – zaczęła, unosząc brwi.

– Żartowałam – przerwała jej zimno Cassidy. – Boże.

– Jestem Ezra – przedstawiłem się i podałem jej dłoń, bo wydało mi się to najbardziej odpowiednim przywitaniem, skoro miałem na sobie garnitur.

– Blair – odparła dziewczyna, odrzucając włosy. Zmierzyła mnie wzrokiem spod rzęs, a ja zrozumiałem, że to jedna z tych, które lubią konkurować o uwagę chłopaków. – Boże, jesteś czarujący. Chodź, królewiczu, zatańczymy.

Nie mogłem tańczyć. Ani na trzeźwo, ani tym bardziej z dwiema kolejkami whiskey płynącymi w żyłach.

– Naprawdę nie mogę – zaprotestowałem, kiedy pociągnęła mnie za rękę.

Wtem zgasło światło i wszystko zatoneło w ciemności.

– Ej, ja tu wino otwieram! – oznajmił Sam. Po kilku głębszych jego akcent był jeszcze silniejszy niż zazwyczaj i brzmiał trochę jak parodia samego siebie.

– Ćśś! – skarcił go ktoś.

Otworzyły się drzwi łączące nasz pokój z sąsiednim i w przejściu stanął Toby ze świeczką w dłoni.

– Wszyscy powstań przed kapitanami drużyn! – zakomenderował czyjś głos.

Austin wyłączył muzykę i wszyscy wstali.

Toby i drugi kapitan, taki snob z roleksem po dziadku – powiedział, że ma na imię Peter – ruszyli z migoczącą świeczką w stronę dwóch foteli ustawionych w kącie. Peter niósł młotek sędziowski (oczywiście, że miał młotek sędziowski),

którym postukał w obicie podłokietnika, chyba żeby dodać powagi sytuacji.

– Wznieśmy toast! – zawołał, unosząc szklankę. – Za dziewictwo, abyście godnie je dziś utracili!

Wszyscy się roześmieli i napili bez względu na to, czy komentarz dotyczył nas osobiście, choć przypuszczałem, że dotyczył większości, biorąc pod uwagę, że byłem w pokoju pełnym licealistów z kółka debatanckiego. Czułem, że Cassidy stoi przy mnie. Kiedy na nią spojrzałem, trochę chwiejąc się od whiskey, odniosłem wrażenie, że w niej też czai się jakaś niepewność, inna od mojej.

Luke znów zapalił światło, ale zostawił je przyciemnione, a Sam zamknął drzwi balkonowe. I zaczęła się ceremonia.

To było najdziwniejsze spotkanie, w jakim w życiu uczestniczyłem, jak zebranie jakiegoś sarkastycznego sekretnego stowarzyszenia. Toby i Peter na zmianę wybierali różnych członków swoich zespołów i kazali im startować w debatach przeciwko sobie na idiotyczne i absurdalne tematy, na przykład czy prezydenta Stanów Zjednoczonych należałoby wybierać w losowaniu albo czy papież mógłby pokonać niedźwiedzia w pojedynku na pięści. Potem wszyscy wyłanialiśmy zwycięzcę drogą głosowania, a przegrany musiał wypić szot ginu.

Tak naprawdę to była tylko wyjątkowo skomplikowana gra, kto więcej wypije.

Ku mojemu zaskoczeniu wygrałem swoją rundę, w której debatowaliśmy o tym, czy „prawda czy wyzwanie” byłoby skuteczną alternatywą dla procesów sądowych. Mój triumf nie trwał jednak zbyt długo: i tak kazali mi wypić, bo byłem nowy.

Po mnie przyszła kolej na Cassidy. Kiedy gwałtownie wyszła na środek pokoju, żeby zmierzyć się z Blair, wszyscy zamilkli. Przez chwilę myślałem, że Cassidy odmówi wzięcia udziału albo że specjalnie będzie beznadziejna, ale nie zrobiła żadnej z tych rzeczy.

Zamiast tego stała spokojnie i popijała drinka, podczas gdy Blair wygłaszała

wywód o tym, że wampirom nie powinno przysługiwać prawo głosu. Potem z szerokim uśmiechem poprawiła krawat i się wyprostowała.

– Moja szanowna przeciwniczka twierdzi, że wampiry nie zasługują na emancypację, podobnie jak wielu wybitnych, acz niedoinformowanych polityków nawoływało do podtrzymywania marginalizacji kobiet i różnych mniejszości – zaczęła. – Jednakowoż wampiry były na pewnym etapie swojego istnienia ludźmi. W jakim momencie prawo głosu może zostać odebrane jednostce, jeśli wykazuje się pełnią władz umysłowych? I kto w tym pomieszczeniu przystałby na tak bezpardonowy atak na wolność obywatelską? Otóż nie, prawdziwym zagrożeniem dla naszego systemu wyborczego jest wilkołak! Czy wilkołak może oddawać głos w wilczej formie, czy tylko wtedy, kiedy znajduje się w ludzkim ciele? I czy możemy mieć pewność, że głosuje zgodnie z własnym sumieniem, a nie według wytycznych samca alfa swojego stada?

Jej przemówienie było jednocześnie zabawne i inteligentne. I absolutnie w jej stylu. Pomyślałem, że nie chciałbym teraz na to odpowiadać, i wyglądało na to, że Blair też nie. Kiedy nadeszła pora na jej kontrargument, potrząsnęła głową i pociągnęła łyk z butelki z ginem, uznając swoją porażkę.

Cassidy też wypiła kolejkę. Chwiejnym krokiem wróciła na łóżko i znów usiadła obok mnie, kładąc mi głowę na ramieniu.

– Emancypacja wilkołaków? – zapytałem.

– Jestem zmęczona – wymruczała. – Nawet nie pamiętam, o czym gadałam.

Toby i Peter uścisnęli sobie dłonie i ogłosili koniec turnieju, po czym Austin znów włączył muzykę. Ktoś ściągnął kołdrę z łóżka i zrobił fort na balkonie. Pary przemykały się ukradkiem tam i z powrotem po odrobinę prywatności, a ja zastanawiałem się, czy Cassidy zaproponuje, żebyśmy tam poszli, ale nie zaproponowała.

Austin przełamał bagietkę na pół i wyzwał Toby'ego na niezdarny

pojedynek. Obaj pękali ze śmiechu, aż w końcu Phoebe wypełzła z fortu i na nich nawrzeszczała.

– Czy wy macie pojęcie – fuknęła – jak trudno tak zapakować bagietkę do walizki, żeby nie zrobiła się czerstwa przez noc?

Po tej uwadze wszyscy zaczęli się tarzać ze śmiechu.

Byłem już niezłe zawiany i cały pokój kręcił się łagodnie wokół mnie. Nadal siedziałem na łóżku, a Cassidy skuliła mi się na ramieniu. Graliśmy w Fruit Assassin na iPadzie Austina, próbując sabotować się nawzajem. Muzyka nadal grała, choć teraz przeszła w łagodniejsze kawałki.

– Hej – powiedziała Cassidy, odkładając iPada. – Cześć.

– Cześć z powrotem – odparłem. Tak, na pewno się upiłem.

– Chyba spodobałeś się Blair – oznajmiła, przygryzając wargę, żeby nie zacząć chichotać. – Rozmawiałam z nią około dwóch razy w życiu, więc jestem doskonale poinformowana, i możesz mi zaufać, ona prawdopodobnie już nawet zdążyła się w tobie zakochać.

– No, oczywiście – drażniłem się z nią. – Jestem nieodparcie czarujący.

– Och, czyżby? – Uśmiechnęła się rozbawiona. Jej twarz była centymetry od mojej. Warkocz jej się rozplótł i włosy spływały kaskadą na ramiona. Pachniały miętowym szamponem.

Ale wtedy Toby huknął:

– Proszę bardzo! Możecie wszyscy sobie być pięknymi śnieżynkami! A ja pójdę do kąta i będę dziwną śnieżynką!

Cassidy zerknęła na mnie i wybuchła śmiechem. Toby wciąż zalewał Sama i Austina ledwie zrozumiałym słowotokiem, choć tak naprawdę wcale nie był zły. Poczułem, że ten już-prawie moment uleciał przez balkon i pofrunął aż do centrum handlowego, gdzie udawaliśmy dziś, że świętujemy urodziny Cassidy. Może i dobrze, pomyślałem, bo chciałem, żeby nasz pierwszy pocałunek był czymś więcej niż pijackim incydentem na turnieju debatanckim.

Impreza zgasła koło drugiej w nocy. Wszyscy udawali, że trochę sprzątaj dowody występku, po czym zespół Wentworth wrócił do własnych pokoi, żeby przespać się kilka godzin przed jutrzejszymi rozgrywkami. Cassidy zrobiła wszystkim kawę w małej kawiarni. Wypiliśmy ją z plastikowych kieliszków do szampana.

– Okej, czas coś sobie ustalić – oznajmił Toby, wracając z łazienki. Był ubrany w hotelowy szlafrok, miał mokre włosy, a szkła kontaktowe zamienił na okulary. – Kto z kim śpi?

W drzwiach do drugiego pokoju pojawiła się na moment Phoebe, owinięta ręcznikiem i w dużo za dużych japonkach, po których od razu się zorientowaliśmy, że będzie tam spała z Lukiem.

Sam i Austin popatrzyli po sobie i wzruszyli ramionami.

– Dla mnie spoko, jeśli nie chrapiesz – powiedział Sam.

– Ja tak samo. – Austin przeszedł obok Toby’ego i zniknął w łazience.

– Któraś z was chce łóżko dla siebie? – zapytał Toby mnie i Cassidy.

Cassidy zerknęła na mnie, ale wiedziałem, że teraz muszę trzymać dziób na kłódkę.

– Możemy spać w tym – powiedziała, klepiąc kołdrę, na której siedzieliśmy. – Przywilej kapitana, Ellicott. Masz własne łóżko.

I tak skończyłem w jednym łóżku z Cassidy Thorpe.

Zanim zdążyłem pojąć, co się dzieje, Cassidy już była przebrana w podkoszulek i szorty od piżamy i leżała pod kołdrą. Wyszedłem z łazienki w bokserkach i T-shircie. Czuję się straszliwie skrępowany. Austin i Sam już spali, rozsunięci jak najdalej od siebie po przeciwnych stronach łóżka, i obaj chrapali.

Cassidy przyłożyła palec do ust i wskazała głową Austina, który leżał z szeroko otwartymi ustami.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Ej – wyszeptalem – nie wzialem pizamy. Będzie ci przeszkadzało, jeśli, ee, mogę tak spać?

Staralem się zachować po dżentelmeńsku w obliczu konieczności spania z nią w jednym łóżku w samych bokserkach, bo spakowałem się jak idiota, ale Cassidy tylko potrząsnęła głową i odchyliła kołdrę.

– Nie wygłupiaj się, wskakuj – powiedziała.

Usiadłem na łóżku i podłączyłem telefon do ładowania, odkładając go na szafkę nocną. Ta czynność wydała mi się niesamowicie dorosła w sytuacji, kiedy po drugiej stronie łóżka leżała dziewczyna. Wtem poczułem dłoń Cassidy na nodze.

– Boli jeszcze? – zapytała, przesuwając mi palcami po kolanie.

– Nie – skłamałem cicho.

Wodziła palcami wzdłuż moich blizn. Byłem pewien, że mi nie uwierzyła.

– Nic się nie martw – zapewniłem. – Nic mi się nie stanie, jeśli mnie kopniesz przez sen czy coś takiego.

– Ale nie chciałabym cię kopnąć. – Podparła się na łokciu i spojrzała mi w oczy. – Będziesz musiał mnie mocno trzymać, żebym niechcący nie zrobiła ci krzywdy.

To powiedziawszy, odwróciła się na bok i zgasiła światło.

Wpełzłem pod kołdrę, czekając, aż oczy przywykną mi do braku światła. Z jakiegoś dziwnego powodu byłem przekonany, że Cassidy widzi mnie doskonale pomimo nieprzeniknionego mroku. Grube zasłony były zasunięte, a cały pokój wypełniała przesycona oczekiwaniem ciemność, w której leżały śpiące ciała i dziewczyny w skąpych niebieskich szortach od pizamy.

Gdybym się wyciągnął, dotykałybyśmy się ramionami. Zachwyciła mnie ta możliwość, perspektywa, że nasze ciała mogłyby się spotkać pod kołdrą. Byłem ciekaw, czy ona też o tym myśli. Cassidy westchnęła.



– Co? – wyszeptałem.

– Ćśśś – odparła cichutko, przysuwając się bliżej, aż jej głowa wylądowała mi na ramieniu. – Nie psuj tego.

Wprawdzie było późno i byłem zmęczony, ale leżałem tak chyba jeszcze dobrą godzinę, sfrustrowany i z erekcją, na którą nic nie mogłem poradzić, bo Cassidy spała z policzkiem przytulonym do mojego obojczyka.

Następnego ranka obudził mnie chór skoordynowanych budzików na telefonach komórkowych. Czułem się tak, jakby ktoś mnie przeżuł i wypluł. Moje ramiona oplatały Cassidy, a głowę miałem opartą na jej ramieniu, choć byłem pewien, że zasypialiśmy w odwrotnej konfiguracji.

– Hej – powiedziałem łagodnie. – Pobudka.

– Mmmmm – wymruczała zaspana. Jej włosy rozsypały się na poduszce w dzikiej plątaninie.

To było tak niewiarygodnie intymne, obudzić się z nią w ramionach, że prawie nie mogłem wytrzymać.

Z łóżka obok rozległ się głośny jęk Sama.

– Ej, stary, miałeś się trzymać swojej strony! – powiedział z pretensją w głosie.

– Ojej, jak uroczo! – zawołałem. – Kto był dużą łyżką?!

– Spadaj, Faulkner – burknął Austin.

Cassidy wtuliła mi się w ramię i zwinęła w kłębek.

– Jeszcze pięć minut – wyszeptała.

– No już, wstawaj. – Trąciłem ją lekko. – Musisz wyprasować mi koszulę.

To ją obudziło.

W ułamku sekundy miała otwarte oczy, a usta wykrzywione w uśmiešek.

– Tobie też „dzień dobry” – powiedziała.

Nie mam pojęcia, jak zdołaliśmy się ubrać, pozbierać rzeczy i zejść do lobby

na czas, ale się udało. Sądziłem, że nie ma bata – pani Weng będzie coś podejrzewać. Było jasne, że wszyscy jesteśmy mocno wczorajsi. Ale ona ledwie rzuciła na nas okiem. Miała cienie pod oczami i bez przerwy ziewała. Te żłoby z Rancho pewnie całą noc wydzierały jej się za ścianą nad partią beer-ponga.

– Możemy się gdzieś zatrzymać na kawę? – zapytał Toby, a pani Weng, o dziwo, przystała na ten pomysł, więc kiedy dotarliśmy na uczelnię, wszyscy byliśmy już w lepszym stanie.

Pani Weng podryfowała w stronę pokoju dla trenerów, a my skierowaliśmy się do naszego stolika w bufecie, żeby zostawić rzeczy i czekać, aż ogłoszą następną rundę. Kiedy dziewczyny poszły do łazienki się umalować, Toby ruszył w odległy kąt bufetu, dając mi znak, żebym mu towarzyszył.

– A więc? – powiedział dobitnie, uśmiechając się, jakby mi zarzucał, że „zaliczyłem”. – Jesteście teraz oficjalnie razem?

Odruchowo zerknąłem w stronę naszego stolika, choć dziewczyn jeszcze nie było.

– Nie wiem – odparłem szczerze. – Może.

– Bez dwóch zdań właśnie tak się zachowujecie.

Miał rację – tak się zachowywaliśmy. Spędziłem całą noc z dziewczyną przytuloną do mojego ramienia, jakbyśmy uprawiali seks – z dziewczyną, w której byłem zakochany, a której nigdy nawet nie pocałowałem. I nie miałem pojęcia, co z tym teraz zrobić.

– Przeszkadzałoby ci, gdybyśmy byli razem? – zapytałem.

– Cóż, nie rozpętam dzikiej sceny zazdrości ani nic takiego, jeśli o to się niepokoisz. – Toby uśmiechnął się złośliwie, ale zobaczył, że mówię poważnie. – Szczerze? Trochę się spodziewałem, że tak będzie. Ona na ciebie leci.

– Jesteś pewien? – Nie odpuszczałem.

– Nie, chcę, żebyś zrobił z siebie idiotę i po raz pierwszy w życiu został

odrzucony przez dziewczynę. Jestem niczym przysłowiowy struś kopiący ci piaskiem w oczy, przyjacielu.

– Tak właściwie to strusie chowają dzioby w piasku – poprawiłem.

– Tylko cię sprawdzałem.

Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, okazało się, że wywiesili już listę par na trzecią rundę, więc wszyscy popędzili pod ścianę. Toby i ja przepchnęliśmy się do przodu i znaleźliśmy nasze nazwiska i nazwę szkoły wydrukowane na harmonogramie. Mamrotaliśmy numery naszych sal w kółko pod nosem, żeby je zapamiętać.

Kiedy wracaliśmy do stolika, Cassidy złapała mnie za ramię. Na jej twarzy malowała się powaga. Zauważyłem, że nie jest już ubrana w strój Gryffindoru, miała na sobie zwyczajny szkolny mundurek.

– Hej – powiedziała.

– Ogłosili trzecią rundę. – Wskazałem głową na ścianę. – Poczekam na ciebie i pójdziemy razem.

– Ezra – przerwała mi Cassidy. – Musimy porozmawiać. Teraz.

Wiedziałem, że cokolwiek to jest, nie usłyszę od niej nic dobrego. Posłusznie wyszedłem za nią z bufetu na podwórko. Zatrzymała się przed ścianą z wielką mozaiką przedstawiającą idealny dzień na plaży. Gdyby się zastanowić, to trochę okrutne – umieszczać taki obrazek w szkole. Cassidy wyglądała na zdenerwowaną, co źle wróżyło. I nadal nic nie mówiła. Nagle przygniotło mnie straszne przerażenie.

– Możesz mi powiedzieć – zapewniłem. – Cokolwiek się stało.

Cassidy odgarnęła włosy za uszy. Dziś miała je rozpuszczone, układały się w luźne fale, przez co wyglądała na młodszą i jakoś tak bardziej bezbronną.

– Nie możesz iść na swoją trzecią rundę – powiedziała w końcu. – Musisz iść na moją. Zamieniłam nas.

Nie wiem, czego się spodziewałem, ale na pewno nie tego. To nie było nawet

blisko moich przypuszczeń. Zmarszczyłem czoło, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

– Wczoraj cały dzień startowałeś w moich pojedynkach – wyjaśniła. – Sędziowie nie widzą naszych imion, tylko, wiesz, rząd cyferek, więc wysłałam cię wczoraj na moje rundy, nie na twoje.

– Zaraz – powiedziałem. Powoli docierało do mnie, co Cassidy próbuje mi wytłumaczyć. – Przez ten cały czas oszukiwaliśmy?

– Nie! – zaprzeczyła gwałtownie. – Po prostu... Ja już nie biorę w tym udziału, Ezra. Odeszłam, a ty ściągnąłeś mnie z powrotem. Więc pomyślałam, że ty mnie z tego wyciągniesz, żebym nie musiała tego robić tak naprawdę. Jakby w rzeczywistości wcale mnie tu nie było, jakbyś to ty był mną.

– Tak – odparłem powoli. – Ale jeśli ja startuję jako ty, to znaczy, że ty startujesz jako ja. A to jest oszukiwanie.

Cassidy potrząsnęła głową.

– Podłożyłam się w pierwszej rundzie – zapewniła. – Żadne z nas nie wejdzie do finału.

– To i tak niemoralne – upierałem się. – Nawet jeśli żadne z nas nie wygra. I co ja mam teraz zrobić? Cały dzień startować jako ty?

– Owszem – oznajmiła Cassidy, wysuwając uparcie brodę.

A potem, niczym w zwolnionym tempie, patrzyłem, jak jej buńczuczna fasada kruszy się w proch. Ramiona jej opadły, w oczach wezbrały łzy.

– Przepraszam – wyszeptała. – Nie chciałam, żebyś dowiedział się o tym w ten sposób. Nie chcę tu być, nie chcę brać w tym udziału. Myślałam, że zrozumiesz.

– Może lepiej bym zrozumiał, gdybyś mi powiedziała, o co tu tak naprawdę chodzi.

Ale już kiedy to mówiłem, wiedziałem, że niczego mi nie wyjawi. Nie tutaj, z resztkami wczorajszego alkoholu w żyłach, pod tą kretyńską plażową mozaiką, w otoczeniu setek licealistów w marynarkach, biegających tam i z powrotem.

– Ezra – powiedziała błagalnie. – Proszę.

Westchnąłem i popatrzyłem na nią. Oczy miała zaszkłone, twarz bladą.

– Przepraszam – szepnęła. – Ale teraz żadne z nas nie może się wycofać. Ty mnie zapisałeś. Ja zamieniłam nas miejscami. Dociągnij to do końca i będziemy kwita.

– Nie obchodzi mnie, czy jesteśmy kwita. Coś jest z tobą nie tak.

– Nic nie jest nie tak – ucięła Cassidy. – Pamiętasz ten pierwszy tydzień w szkole, kiedy wszyscy się na ciebie gapili, a ty łaziłeś z kąta w kąt, jakbyś chciał się rozpląnąć w powietrzu? Właśnie tak się tutaj czuję. Tak się zachowuję. Myślałam, że zrozumiesz. Myślałam, że jesteśmy podobni.

– Bo jesteśmy – przytaknąłem, zastanawiając się, jak do tego doszło: przed chwilą byłem na nią zły, a teraz ją pocieszałem. – Masz rację, przepraszam. Po prostu... Daj mi chwilę, muszę się zastanowić.

Nigdy nie korzystałem z bryków, nie ściągałem pracy domowej od znajomych i nie kupowałem wypracowań w internecie. W takich sprawach byłem beznadziejnie uczciwy. Cassidy źle zrobiła, że zamieniła nas miejscami, ale nasi przeciwnicy w kwalifikacjach byli dobierani przypadkowo. Jeśli żadne z nas nie dojdzie do finału, to nic się nie stanie. Nie kradliśmy nikomu miejsca i nie wykorzystywaliśmy nieuczciwej przewagi, żeby osiągnąć jakieś korzyści. Po prostu zamieniliśmy się miejscami. Więc uznałem, że koniec końców to było takie uczciwe oszustwo. A Cassidy zmusiła mnie do oszustwa tylko dlatego, że sam najpierw postawiłem ją w takiej sytuacji.

– Musimy to rozegrać do końca – powiedziałem wreszcie. – Jeśli teraz zamienimy się z powrotem i trafimy na kogoś, z kim już debatowaliśmy, to będzie katastrofa.

– Wiedziałałam, że zrobisz to dla mnie, Ezra. Wiedziałałam, że zrozumiesz. – Cassidy wtuliła twarz w moją pierś, a ja uwierzyłem, że prędzej czy później powie mi, o co w tym wszystkim chodzi. I że na pewno wyobrażam sobie dużo

gorsze scenariusze od rzeczywistości.

Nie powiedziałem Toby'emu ani słowa o oszustwie. Cassidy i ja cały poranek rozgrywaliśmy odwrotne pojedynki i zachowywaliśmy się tak, jakby w ogóle nic nie zaszło, jakby największym wydarzeniem między nami było to, że spaliśmy w jednym łóżku.

Po południu ogłoszono finalistów – nikt z naszego zespołu się nie załapał. Wszyscy patrzyli zszokowani na Cassidy i pytali, kto pokonał niezniszczalną Cassidy Thorpe, ale ona tylko się uśmiechnęła i odmówiła wyjaśnień, jakby spletała wszystkim tak doskonałego figla, że żal jej było odkrywać karty.

Tylko że odkryła – przede mną. To był też mój figiel, ale mnie wcale nie bawił.

Cassidy powiedziała, że jesteśmy do siebie podobni, a ja prawie jej uwierzyłem. Odwróciła całą sytuację tak, żeby wydawało mi się, że wyciągnąłem ją z tarapatów. Ale im więcej o tym myślałem, tym bardziej mnie dziwiło, że nie chciała po prostu wygrać całego turnieju, po raz ostatni dowieść, że jest niepokonaną mistrzynią. A potem pomyślałem, że to chyba nie ma aż takiego znaczenia. Bo kiedy tylko zamykałem oczy, widziałem ją skuloną przy mnie w hotelowym łóżku, czułem jej ciepłe, delikatne nogi tuż przy swoich. Wiedziałem, że są w życiu rzeczy nieosiągalne, ale gdzieś we mnie tliła się nadzieja, że Cassidy okaże się wyjątkiem.

Wieczorem usiadłem przy biurku, żeby przejrzeć uwagi Morena do mojego próbnego wypracowania o Gatsby. Latarnie w parku Meadowbridge paliły się już od kilku godzin, oświetlając krzaki kapryfolium i odblaskowe paski na butach biegaczy, którzy wyszli na wieczorny jogging. Pomyślałem o latarce Cassidy, o tym, jak stałem przy parapecie, czekając, aż w jej oknie zgaśnie światło, i że F. Scott Fitzgerald byłby tym zachwycony.

Cooper zaskomlał, próbując zwrócić na siebie uwagę. Ułożył mi się na stopach i podgryzał kość z prasowanej skóry, trzymając ją pionowo między łapami, jakby palił fajkę. Schyliłem się, żeby go pogłaskać, a on westchnął.

– Masz rację – powiedziałem. – Wiem. Jestem do niczego.

Sięgnąłem po lampkę na biurku i zamigałem: HEJ.

W oknie Cassidy zgasło światło, a po chwili dostrzegłem migotanie latarki.

PRZEPRASZAM.

– Mówi, że przeprasza – wyjaśniłem Cooperowi, bo on nie umiał czytać Morse’a.

Podniósł pysk, jakby chciał powiedzieć: „Ale przecież już to wiesz, stary druhu”.

Po drugiej stronie parku znów błysnęło światło latarki.

WYBACZ.

Tym razem się nie zawałem.

ZAWSZE, odpowiedziałem.

Następnego dnia mama obudziła mnie stanowczo za wcześnie.



- Ezraaaaa – zaświergotała, wtykając głowę do pokoju. – Masz towarzystwo.
- Yhhh. Która godzina? – udało mi się wybełkotać.
- Dziewiąta – odparła. – Naprawdę, kotku, ostatnio ciągle chodzisz taki zmęczony. Mam zadzwonić do doktora Cohena?

Wciąż byłem półprzytomny, ale odnotowałem, że muszę przestać używać odpowiedzi „jestem zmęczony” jako wymówki do spędzania czasu samotnie w pokoju.

- Siedziałem do późna nad wypracowaniem.
- No dobrze. Ale na dole czeka bardzo miła dziewczyna i mówi, że umówiliście się z kolegami z debatowania, że zjecie razem śniadanie.

Natychmiast usiadłem.

- Cassidy tu jest?
- Poprosiłam, żeby poczekała w kuchni z ojcem. Jest śliczna, kotku. A jej rodzice są lekarzami.

Dotarła do mnie straszliwa myśl, że urzeczywistnił się jeden z moich najgorszych koszmarów: podczas kiedy spałem, moi rodzice siedzieli na dole i przepytывali dziewczynę, która mi się podoba, czym zajmują się jej rodzice.

Pięć minut później wpadłem do kuchni, dopinając koszulę. Zastąpiłem Cassidy siedzącą po turecku na kafelkach. Drapała Coopera za uszami.

- Hej! – powiedziała wesoło. – Zapomniałeś, że idziemy dziś wszyscy na śniadanie, co?

– Ups – bąknąłem, głównie ze względu na rodziców, bo byłem raczej pewien, że nikt nie umawiał się na wspólne śniadanie.

- Możemy zabrać Coopera? – spytała Cassidy.

Cooper podniósł głowę zaintrygowany.

- Do restauracji? – W głosie mamy było słychać dezaprobatę.

- Oczywiście, że nie, proszę pani – odparła natychmiast Cassidy. – Wszyscy

przychodzą do mnie do domu na naleśniki. Naszej gosposi nie będzie to przeszkadzało. Mieszkam niedaleko, po drugiej stronie parku.

– No to chyba w porządku – odparła mama z powątpiewaniem.

Kiedy tylko wyszliśmy na zewnątrz – Cassidy trzymała Coopera na smyczy – uniosłem wysoko brew.

– O co tak naprawdę tutaj chodzi?

– Chcesz powiedzieć, że mi nie wierzysz? – Otworzyła szeroko oczy. Wyglądała jak uosobienie niewinności. – Naprawdę, Ezra, ranisz moje uczucia.

Podążyłem za nią w stronę bramy do parku. Cooper prowadził, krocząc elegancko jak ktoś bardzo ważny. Kawalek smyczy trzymał w pysku i wyglądał na niezwykle zadowolonego z siebie.

– Przy okazji: mam w torebce krem przeciwsłoneczny. Gdybyś chciał pożyczyć – oznajmiła Cassidy, przytrzymując furtkę.

– Dlaczego miałbym pożyczać od ciebie krem z filtrem?

– Bo idziemy na poszukiwanie skarbu. Nie wspominałam?

– Nie, powiedziałaś, że będziemy jeść naleśniki z całym zespołem z debaty. U ciebie w domu.

– Przecież to oczywiste, że zakodowany komunikat brzmiał: „Idziemy na poszukiwanie skarbu”. Dlatego potrzebujemy Coopera. Żeby mógł być naszym wykrywaczem trufli.

Skręciła w prawo na ścieżce wiodącej w stronę szlaków turystycznych Eastwood.

– W porządku. – Skapitulowałem. – Daj mi ten krem.

Wygrzebała z torebki tubkę z kremem, a ja cały się nim umazałem, podczas kiedy ona bawiła się z Cooperem. Posłał mi takie spojrzenie, jakby mówił: „A więc to jest ta dziewczyna, stary druhu”.

– Ty się zajmiesz GPS-em – zakomenderowała Cassidy, podając mi swój

telefon. – Nie wyłączaj apki, bo będziemy musieli zacząć od początku.

Poprowadziła mnie na szlak. Po drodze wyjaśniła, że szukamy skrytki *geocache*, czyli takiej małej skrzynki. Powiedziała, że są pochowane wszędzie w Stanach i żeby którąś znaleźć, trzeba rozwiązać różne zagadki.

– Czasami w środku nic nie ma, a czasem są wypełnione takimi małymi skarbami – oznajmiła. – Ale jeśli coś zabierasz, musisz zostawić coś w zamian.

– No tak, zgodnie z prawem zachowania skarbów.

– Owszem, panie Bezmózgi Atleto, właśnie tak. – Cassidy się uśmiechnęła. Jej włosy lśniły w promieniach słońca jak wypolerowana miedź. Koło ucha miała plamkę z kremu.

– Czekaj. – Wyciągnąłem dłoń, żeby ją wytrzeć. – Masz krem na policzku.

– Starłeś? – upewniła się.

– Nie, rozpaćkałem jeszcze bardziej.

– Wszystko jedno. Ja przynajmniej nie mam kremu we włosach.

– To nie krem. Po prostu już przez ciebie siwieję.

Poprowadziłem nas po szlaku, opowiadając Cassidy historie o niewidzialnym świecie, który wymyśliliśmy razem z Tobym w dzieciństwie. Skrzynkę ze skarbem znaleźliśmy za luźną cegłą w ścianie na tyłach katolickiego kościoła. Była pełna śmieci – głównie zabawek z Happy Mealów. Ale nieważne, co było w środku – liczyło się to, że na tych leśnych ścieżkach naprawdę pochowano skarby.

Wtedy pojąłem, że Cassidy chce mi w ten sposób wynagrodzić to, co wydarzyło się na turnieju. Zwykle powiedzenie „przepraszam” było zbyt normalne dla takiej dziewczyny jak Cassidy Thorpe.

– Nie chcesz się dopisać do listy? – zapytałem, wskazując na jej telefon, który właśnie skończył grać triumfalne fanfary i wyświetlił listę imion.

– A po co?

– Żeby następni ludzie, którzy to znajdą, wiedzieli, że my też tu byliśmy? – Już kiedy to mówiłem, wiedziałem, że to głupio brzmi.

Ale oczy Cassidy nagle rozbłysły.

– Hmm – mruknęła. Złapała telefon i wystukała coś szybko.

– Moja kolej – oznajmiłem, zabierając z powrotem komórkę. Ale zobaczyłem, co napisała, i zmarszczyłem brwi. – Kto to jest Owen?

– Mój brat – wyjaśniła Cassidy. – Widziałeś tapetę na moim telefonie? To on. Zawsze tak robiliśmy, żeby namieszać we wszechświecie.

– I co, zapisywaliście się nawzajem do dziwnych newsletterów, takie rzeczy?

– Takie rzeczy to każdy robi. My zamienialiśmy się kartami bibliotecznymi, podpisywaliśmy jako to drugie w komentarzach na blogach, rozpieprzaliśmy cały wielki kosmiczny rejestr tego, co kto zrobił.

– Dlaczego? – zapytałem, nie rozumiejąc.

– No wiesz, świat naturalnie zmierza ku chaosowi – odparła. – Ja tylko trochę mu pomagam. Ty też byś mógł. Po prostu wpisz jakieś wymyślone imię albo nawet postać z książki. A dla następnej osoby, która znajdzie skrzynkę, to będzie jej wersja prawdziwych wydarzeń. Przynajmniej trzeba stworzyć taką możliwość.

– Fikcyjne postaci? – powtórzyłem, drażniąc się z nią. – Tylko ty mogłabyś wpaść na taki pomysł.

Ale teraz wiem, że to nieprawda. Historia jest przepełniona zmyślonymi ludźmi. Nawet inskrypcja umieszczona przez Fitzgeralda na początku *Wielkiego Gatsby'ego* jest autorstwa pisarza, który nie istnieje. Wszyscy jesteśmy tak wkręceni, żebyśmy uwierzyli w całkowicie wymyślonych ludzi – nieprawdziwych więźniów hipotetycznego panoptikonu. Ale tu nie chodzi o to, czy wierzysz w zmyślonych ludzi – chodzi o to, czy chcesz w nich uwierzyć.

– Chyba zostanę przy rzeczywistości – stwierdziłem ostatecznie i oddałem Cassidy telefon.

Popatrzyła na ekran, a potem na mnie. Wyglądała na rozczarowaną.

– Spodziewałam się, że akurat ty będziesz chciał się wydostać.

– Fikcyjni więźniowie nadal są więźniami – odparłem. To chyba była dobra odpowiedź, bo Cassidy wzięła mnie za rękę i w drodze powrotnej do parku opowiedziała więcej o Foucaulcie.

Tej nocy, kiedy Cassidy zamigłała do mnie latarką, zrobiłem coś nie do pomyślenia: odpowiedziałem esemesem.

Muszę przyznać – sam byłem w szoku, że podziałało. Po dość krótkiej wymianie wiadomości podała mi swój adres i zgodziła się czekać na mnie przed domem. Gdy zaparkowałem, stała oparta o latarnię, cała skąpana w miękkim pomarańczowym świetle. W dłoni trzymała ten zielony sweter, który zawsze nosiła. Jeden rękaw ciągnął się po ziemi.

– Hej – powiedziała. – Dokąd jedziemy?

– Zapomniałaś, że mamy zespołową kolację – zażartowałem, wrzucając wsteczny.

Cassidy się roześmiała i zapięła pasy. Włosy miała mokre. Od tej wilgoci na ramionach jej niebieskiej bluzki powstał abstrakcyjny wzór. Wyjaśniłem, że chcę jej coś pokazać i że to niespodzianka. Sięgnąłem po jej dłoń i tak pojechaliśmy, w uspokajającej ciszy niedzielnej wieczora w Eastwood, aż dojechaliśmy do autostrady, słuchając Buzzcocks.

Kiedy tylko wjechałem na drogę 5 North, zwykłą ciszę zastąpiła głucha pustka autostrady nocą. Opuściliśmy szyby, wylewając przez nie muzykę jak niepotrzebny balast. Po kilku kilometrach już to słyszałem – głuche dudnienie tego, co przyjechaliśmy zobaczyć.

– Co to za hałas? – zapytała podejrzliwie Cassidy.

– Poczekaj jeszcze chwilę. – Uśmiechnąłem się szeroko, zadowolony z niespodzianki.

Wtem nad estakadą Harbor Boulevard rozbłysł wielki fajerwerk. Wisiał tak

przez chwilę, migocząc na nocnym niebie, po czym rozwiął się w smugi dymu.

– Sztuczne ognie! – Cassidy popatrzyła na mnie uradowana.

Nad autostradę wystrzeliły jeszcze trzy fajerwerki i rozpadły się na fioletowe gwiazdy na tle kłębow bladedo dymu. Niebo było przybrudzone grafitowymi oparami, a sztuczne ognie pojawiały się jeden za drugim, coraz głośniejsze i coraz potężniejsze.

– Fajerwerki z Disneylandu – wyjaśniłem, zjeżdżając z autostrady. – Pomyślałem, że moglibyśmy gdzieś zaparkować i sobie popatrzeć.

Zaraz przy zjeździe stała mała restauracja, otwarta bardziej z optymizmu niż z potrzeby. Zatrzymałem się na pustym parkingu, a Cassidy wyciągnęła ręce, żeby otworzyć szyberdach. Jej uśmiech był olśniewający, jeszcze jaśniejszy niż fajerwerki. Wypełzła na dach samochodu i majtała nogami w środku. Sznurówka od tenisówki jej się rozwiązała i kołysała lekko nad hamulcem ręcznym.

– Chodź na górę! – nalegała, więc wszedłem, bo czekała na mnie pod fajerwerkami o kształtach planet i gwiazd.

Siedzieliśmy tak obok siebie, trzymając się za ręce w ten dziecięcy sposób, ze splecionymi koniuszkami palców, z twarzami wzniesionymi ku niebu. Fajerwerki migotały nam nad głowami, hucząc jak bębny.

– Hej – powiedziała Cassidy, trącając mnie ramieniem.

– Hej.

– Ładne.

– Bardzo ładne – zgodziłem się. – Najładniejszy parking, jaki w życiu widziałem.

Cassidy tylko potrząsnęła głową w odpowiedzi na moją koszmarną próbę żartu. Trzy fajerwerki rozbłysły jednocześnie: fioletowy–zielony–złoty.

– Jest na to francuskie słowo – oznajmiła. – Na to utrzymujące się wrażenie czegoś, co już minęło. *Sillage*. Zawsze o tym myślę, kiedy widzę, jak fajerwerk wybucha na tle dymu po poprzednim.

– To okropne słowo – droczyłem się. – Jak wymówka na trzymanie się przeszłości.

– Cóż, ja uważam, że jest piękne. Słowo określające pamięć o małych chwilach, którym pisane jest przejście w niebyt.

A ja pomyślałem, że to ona jest piękna, ale słowa ugrzęzły mi w gardle, tak jak dawniej, gdy jeszcze siedziałem przy innym stoliku na przerwach.

Znów przenieśliśmy uwagę na pokaz fajerwerków, choć trudno było mi się skoncentrować, bo palce miałem splecione z jej drobnymi palcami, nogawką dżinsów dotykałem jej jasnej bawełnianej spódniczki, a w powiewach wiatru czułem delikatną nutę jej szamponu.

– To byłoby niesamowite – powiedziałem – gdyby można było przesyłać tajne wiadomości w fajerwerkach. Jak Morse'em.

– Tak? – odparła Cassidy. Jej twarz była tuż przy mojej. – Co byś napisał?

Nachyliłem się i przycisnąłem usta do jej warg. Całowaliśmy się tak, jakbyśmy nie siedzieli na parkingu w niezbyt miłej części Anaheim, na dachu mojego samochodu, kiedy nazajutrz trzeba było iść do szkoły. Całowaliśmy się tak, jakby czekało na nas wspólne łóżko na turnieju debatanckim i nie miało znaczenia, że zapomniałem spakować piżamę. A potem pocałowaliśmy się jeszcze raz, na dokładkę.

Smakowała jak zakopany skarb, jak huśtawki i kawa. Smakowała jak fajerwerki, jak coś, do czego można się zbliżyć, ale nigdy nie będzie się tego miało na zawsze i tylko dla siebie.

– Czekaj – wyszeptała Cassidy, odsuwając się trochę.

*Sillage*, pomyślałem, wrażenie po pocałunku, który już się skończył.

Wślizgnęła się z psotnym uśmiechem z powrotem do samochodu przez szyberdach i dała znak, żebym wszedł za nią. Tej nocy dowiedziałem się trzech rzeczy: 1) dzielenie łóżka nie jest ani trochę tak intymnym doświadczeniem jak to, co można robić na zbyt ciasnym tylnym siedzeniu; 2) z jakiejś niepojętej

przyczyny niektóre staniki mają zapięcie z przodu; i 3) Cassidy nie wiedziała, że jestem Żydem.



Przez cały tydzień podwoziłem Cassidy do szkoły. Parkowałem przed jej domem z dwoma kubkami kawy na wynos i czekałem, aż wymknie się przez drzwi wejściowe, zarzuci skórzaną torbę na ramię i pobiegnie przez ogród w moją stronę.

Jej dom był gigantyczny – taka willa obłożona hiszpańską mozaiką, z garażem na cztery samochody, że jak się na nią patrzy, to człowiek jest prawie pewien, że to bliźniak, przez tę przerośniętą symetrię. Przypomniałem sobie, jak budowali to osiedle dwa lata po moim i jak w trzeciej klasie codziennie budził mnie hałas z budowy, więc przez jakiś czas nawet nie zwracałem sobie głowy nastawianiem budzika. Przypomniałem sobie ten dziwnie cichy poniedziałkowy poranek, kiedy walenie i wiercenie wreszcie ustało i mama na mnie nawrzeszczała, bo zasnęłam.

Gdybym tylko wiedział, że ten biały dom po drugiej stronie parku będzie należeć do Cassidy Thorpe. Kto by wtedy pomyślał, że lata później codziennie przed snem będę wypatrywać tego jednego okna w rzędzie niemal identycznych McWilli w nadziei na sekretną wiadomość?

Minęło jakieś pięć minut, zanim wszyscy w szkole zorientowali się, że jesteśmy razem. Może słabo nam wychodziło trzymanie tego w tajemnicy, a może nawet nie próbowaliśmy. Spotykałem się z Charlotte tak długo, że zdążyłem zapomnieć, jak to wygląda – że wszyscy będą się gapić, gdy wysiedliśmy z mojego samochodu na parking dla maturzystów, w ciemnych okularach i z identycznymi kubkami kawy w dłoniach.

Do przerwy obiadowej wiedziała już cała szkoła. Kiedy usiedliśmy przy

stoliku z resztą zespołu, miałem wrażenie, że całe podwórze nas obserwuje.

– Poważnie? – Phoebe posłała mi zirytowane spojrzenie. – Przyszłam dzisiaj w dresie. Mogliście mnie uprzedzić, że planujecie taką szopkę.

Domyśliłem się, że Phoebe chodzi o, ee, aparaty telefonów wycelowane mniej więcej w stronę naszego stolika. To nie było zbyt komfortowe uczucie, stać się obiektem plotek akurat przy tym stoliku i mieć stuprocentową pewność, że to właśnie na nas wszyscy się gapią, ale nie mieć żadnej pewności, czy patrzą z zazdrością, czy z dezaprobatą.

W ciągu tygodnia zainteresowanie zdążyło się skurczyć niemal do zera, bo wszyscy zrozumieli, że Cassidy i ja nie zamierzamy włączyć sobie na kolana i macać językami migdałków przy stoliku. To nie znaczy, że byliśmy zupełnie niewinni – zdarzało nam się okazywać uczucia publicznie. Było trochę trzymania się za rękę, a czasami pospieszny pocałunek na pożegnanie w dni, kiedy mieliśmy inne przedmioty na szóstej lekcji.

W środę podczas przerwy poszedłem do sekretariatu i poprosiłem panią Beams, szkolną sekretarkę, o klucz do windy.

– Ezra – powiedziała, mierząc mnie krytycznym wzrokiem znad rogowych okularów do czytania – miałeś po niego przyjść pierwszego dnia szkoły.

– Zapomniałem? – bąknąłem potulnie, choć gdybym miał odpowiedzieć szczerze, musiałbym przyznać, że unikanie tego było dotąd na samym szczycie mojej listy priorytetów.

– Młody człowieku, jest już prawie październik – oznajmiła z pretensją w głosie.

– Wiem, ma pani rację.

Podąła mi klucz, a ja schowałem go do kieszeni dżinsów, a wychodząc z sekretariatu, starałem się wyglądać tak żałośnie, jak tylko się dało (na wszelki wypadek, żeby nie zmieniła zdania). Nie korzystałem z klucza aż do południa, kiedy zadzwonił dzwonek na piątą lekcję. Cassidy ruszyła do klasy pani Martin,

wybierając naszą zwykłą trasę od strony schodów przy parkingu, ale ją zatrzymałem.

– Wiesz co? – powiedziałem. – Chodźmy od drugiej strony.

Uniosła brew, ale bez dyskusji poszła za mną. Wyjąłem kluczyk i uruchomiłem mechanizm, wzywając windę dla niepełnosprawnych. Starłem się nie wyglądać na zbyt zadowolonego z siebie.

– Panie przodem – oznajmiłem rycersko.

– Co jest grane? – zapytała podejrzliwie Cassidy, wchodząc do poobijanej metalowej windy.

Wzruszyłem ramionami i odczekałem, aż zamkną się za nami drzwi, po czym objąłem ją w tali.

– Nigdy nie miałaś ochoty zabawić się w windzie? – odparłem z szerokim uśmiechem.

Podczas gry reszta szkoły wpadła w obsesję na punkcie mnie i Cassidy, wszyscy przy naszym stoliku mieli obsesję na punkcie wieści o cichym disco, które miało się odbyć w piątek w Los Angeles. Toby zaproponował, że nas zawiezie, a Phoebe obiecała, że spróbuje się wykreślić od opieki nad dziećmi sąsiadów. Kiedy wreszcie zebrałem się na odwagę i zapytałem, co to jest ciche disco, popatrzyli na mnie takim wzrokiem, jakbym stracił rozum.

– To taki rodzaj flash mobu – wyjaśniła Cassidy. – Setki przypadkowych ludzi zbierają się w miejscu publicznym, wkładają słuchawki dokładnie w tym samym momencie i zaczynają tańczyć.

Spróbowałem to sobie wyobrazić – bezskutecznie – ale musiałem przyznać, że to brzmi o wiele lepiej niż trzygodzinny musical historyczny o zdolowanych niemieckich nastolatkach, który był gwoździem programu ich ostatniej wspólnej wycieczki do LA.

– Więc jutro będzie coś takiego? – upewniłem się.

– No. A my znajdziemy się w samym środku – poinformował mnie Toby.

Luke i Sam mieli już inne plany – szli na paintball z jakimiś znajomymi ze swojego kościoła, a Phoebe nie udało się wymigać od niańczenia maluchów, więc ostatecznie w piątek po południu do Kaszalota wpakowała się tylko nasza czwórka: Toby, Austin, Cassidy i ja.

Toby wymusił postój na stacji benzynowej, żebyśmy kupili picie i przekąski jak na prawdziwej wycieczce, mimo że cała podróż trwała maksymalnie dwie godziny. Cassidy wybrała paczkę lukrecyjnych żelków, a Austin wiśniowy slushie, do którego nalał sobie red bulla, więc wszyscy się z niego śmialiśmy.

– To jest dobre – zaprotestował. – Serio, nigdy nie piliście redbulowego slushie?

– Nie widzę żadnego sensu w konsumpcji kofeiny bez kawy. Albo kawy bez kofeiny, skoro już o tym mowa – poinformowałem go.

– Wszystko jedno. – Austin odebrał resztę od kasjera i naciągnął na głowę kaptur. – Pewnego dnia świat się opamięta i wpisze red bulla do podstawy piramidy żywienia. Zobaczymy, kto się wtedy będzie śmiał.

– Wszyscy – odparła sucho Cassidy. – Bo będziemy zbyt nabuzowani od strzałów kofeiny, żeby inaczej zareagować.

Wgramoliliśmy się z powrotem do Kaszalota, w którym był – uwaga – odtwarzacz na kasety. Toby trzymał w schowku górę kaset, zdobytych na bazarkach i pchlich targach, więc kiedy wjechaliśmy na autostradę 5 North, słuchaliśmy już *Happy Bday Heather!!!*. To było jak gra w rosyjską ruletkę z koszmarnymi kawałkami z lat osiemdziesiątych w pięciu komorach na sześć w magazynku.

– Yhh. – Cassidy się skrzywiła. – Weź to przełącz. Zaraz dostanę wysypki, za dużo Ace of Base.

Toby wysunął kasetę, a Austin, który siedział z przodu, włożył inną i wcisnął przewijanie.

– Tęsknota za latami dziewięćdziesiątymi to jedno – zauważył, kiedy czekaliśmy, aż taśma przewinie się do początku – ale starożytna technologia to drugie. A tu niestety właśnie z tym mamy do czynienia.

Toby nie życzył sobie, aby ktokolwiek obrażał jego auto. Jak sam mawiał, Kaszalot stanowił „fenomenalne świadectwo przetrwania kryzysu mocno średniej klasy średniej z małych miejscowości”.

– Austin, ty jeździsz jetta.

– Mam ją po siostrze! – zaprotestował Austin. W lusterku zauważyłem, że robi się czerwony na twarzy.

Ja nie komentowałem, bo, hm, zarobiłem sobie beemkę na szesnaste urodziny. Cassidy podała mi paczkę z lukrecjowymi żelkami. Wziąłem jednego i z roztargnieniem zacząłem obgryzać różową masę wokół czarnego środka. Dopiero po chwili zorientowałem się, co robię.

– Toby – zagadnąłem – pamiętasz, jak w zuchach sklejaliśmy te środki z lukrecjowych żelków w takie długie nitki?

– Myślałem, że tylko ja tak robiłem – wtrącił Austin.

– A czy ktoś z was miał rytuał jedzenia galaretki z delicii? – Cassidy się ożywiła.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, ale Toby od razu skojarzył.

– Jasne. Najpierw obgryzało się biszkopt wokół galaretki, potem obierało galaretkę z czekolady, tak żeby jej nie zepsuć, a dopiero na końcu można było ją zjeść.

Resztę drogi spędziliśmy na wspomnianiu starych kreskówek z Cartoon Network, zabawek Furby, jajek tamagotchi i pierścionków z automatów i jakie to było niesamowite, że po filmy trzeba było chodzić do wypożyczalni i że wszyscy rozmawiali na dziwnych czatach.

– Stary – rzucił Austin, kiedy zjeżdżaliśmy z autostrady – za pięćdziesiąt lat wszystkie te domy starców będą pełne dziadków słuchających Justina Biebera

w radiu ze złotymi przebojami i wzdychających do czasów, kiedy filmy oglądało się w 2D.

– Wszystkie nasze tęsknoty są uniwersalne – powiedziała Cassidy. – Parafrazuję z pamięci, ale Fitzgerald napisał kiedyś coś takiego.

– Wątpię, żeby Fitzgeraldowi chodziło o pokemony. – Ton Toby’ego ociekał szyderstwem. Wjechał na środek skrzyżowania i czekał, aż będzie mógł skręcić.

– Nie, on mówił o fundamentalnej istocie człowieczeństwa – odcięła się Cassidy. – A jeśli dla naszego pokolenia będzie to skoncentrowane wokół kolektywnej tęsknoty za światem przed smartfonami, to niech będzie i tak. Nie ma sensu roztrząsać, jak niedawna przeszłość wpływa na nasze życie. Gdyby kultura popularna była taka przewidywalna, wszystko traciłoby sens w tym samym momencie, w którym się pojawia.

Przez chwilę nikt się nie odzywał. A potem Austin roześmiał się głośno.

– Jezu, czego oni was uczą w tych prywatnych szkołach?

– Konformizmu – odparła Cassidy, jakby Austin pytał zupełnie poważnie.

W centrum handlowym czuć było atmosferę niepewności i podekscytowania. Wszyscy gapili się na siebie i zastanawiali, kto przyszedł wziąć udział we flash mobie, a kto wybrał się na zupełnie niewinne zakupy.

Byliśmy nieco za wcześnie, więc poszliśmy do księgarni Barnes and Noble. Toby i Austin ruszyli do działu z powieściami graficznymi, a Cassidy i ja wylądowaliśmy sami w dziale ze sztuką. Zaczęliśmy przeglądać książkę o Banksym, takim wywrotowym artyście ulicznym, o którym nigdy wcześniej nie słyszałem.

– Najbardziej podobało mi się to, jak kiedyś wydrukował całą masę fałszywych banknotów i rozrzucił na ulicy w tłum – powiedziała podekscytowana Cassidy. Oczy błyszczały jej z zachwytu. – Dużo ludzi myślało,

że są prawdziwe. Próbowali wydawać je w sklepach i byli wściekli, kiedy się okazało, że to podróby. Ale teraz te banknoty chodzą na eBayu za wielkie pieniądze. Więc to jest jednocześnie prawdziwe i nieprawdziwe, widzisz? Bezwartościowe jako waluta, cenne jako sztuka. Mój brat zawsze o tym dużo mówił, o wartości sztuki, o tym, czy operację będzie można kiedyś uznać za sztukę, skoro tatuaże i kolczyki to też procedury paramedyczne...

Urwała nagle i zamknęła książkę.

– Powinniśmy poszukać Toby’ego i Austina.

– Oni mogą poczekać – powiedziałem, odchylając jej twarz nieco wyżej, ku swojej, żeby skraść jej pocałunek.

– Och, czyżby? – wymruczała z ustami tuż przy moich.

Kiedy zrobiliśmy przerwę na oddech, koło nas stał Toby i stroił miny. Cassidy i ja potulnie ruszyliśmy w stronę schodów ruchomych. Było nam trochę głupio, że nas przyłapał.

– Hej – powiedziałem, sięgając do tylnej kieszeni. – Mam coś dla ciebie.

Podąłem Cassidy iPoda pożyczonego od taty. Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, zupełnie zdezorientowana.

– Pożyczyłem go – wyjaśniłem. – Wgrałem trochę piosenek.

Usta Cassidy wygięły się w uśmiechu.

– Zrobiłeś mi playlistę na flash moba? – spytała.

– Tak jakby. Wystarczy, że wciśniesz „play”. Jest zsynchronizowany z moim, więc możemy tańczyć do tych samych piosenek.

Wpadłem na ten pomysł dzień wcześniej koło północy i aż do drugiej siedziałem nad playlistą, wybierając idealne piosenki. Wyobrażałem sobie, że to dość romantyczne, my dwoje w tłumie obcych ludzi tańczący do tej samej muzyki. Ale uśmiech Cassidy zniknął i odniosłem wrażenie, że ją rozczarowałem.

– Co? – zapytałem.

– Ezra – odparła – to jest flash mob. Cały sens polega na tym, że każdy tańczy do własnej muzyki i że to jest tak cudownie przypadkowe, że aż działa. Setki nieznajomych, a każdy wybiera inną piosenkę, w której zamknie się jego doświadczenie. Taki parkiet, na którym jednocześnie jest grany każdy rodzaj muzyki, i nikt nie wie, czego słucha ktoś obok.

– Przepraszam – wymamrotałem zawstydzony.

Oddała mi iPoda i spróbowała pocieszyć mnie uśmiechem.

– Nie przejmuj się – powiedziała. – Nie wiedziałeś.

– Mogłabyś ustawić na przypadkową kolejność – zasugerowałem. – Wtedy nie byłyby to te same kawałki co u mnie.

– Nie trzeba – odparła Cassidy z coraz szerszym uśmiechem, aż w końcu stał się szczery. – Wolę tańczyć do własnych piosenek i patrzeć, jak próbujesz zgadnąć, czego słucham.

Toby i Austin zeszli po schodach ruchomych i czekali przed drzwiami księgarni. Austin kupił sobie książkę i właśnie pakował ją do plecaka, z którym nigdy się nie rozstawał.

– Chodźcie – zakomenderował niecierpliwie Toby. – Dwie minuty!

Stłoczyliśmy się wszyscy na głównym dziedzińcu centrum handlowego, po którym kręciło się mnóstwo licealistów i studentów próbujących utrzymać nonszalanckie pozy. Wszyscy trzymali w dłoniach telefony, czekając, aż wybije piąta. Podeszła do nas grupka hipsterów, żeby powiedzieć Toby’emu, że jego muszka jest „wybitna”.

– Widzicie? – Toby wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Muszki są *cool*.

Zajęliśmy sobie miejsce koło fontanny, bo Toby ocenił, że będziemy wtedy dokładnie w środku całego wydarzenia. W centrum handlowym było mnóstwo ludzi, co w piątek o siedemnastej nikogo nie dziwiło. Po ścieżkach kręciły się rodziny z dziećmi w wózkach i turyści z drogimi aparatami, wszyscy zajęci własnymi sprawami – zakupami i zwiedzaniem. Kolejna minuta ciągnęła się



w nieskończoność – setki nieznajomych niecierpliwie czekało na pełną godzinę, starając się udawać, że niczego nie knują. W powietrzu było aż gęsto od tej atmosfery. Aż wreszcie Toby szepnął:

– Teraz.

Na niewidzialny znak wszyscy włożyli słuchawki i włączyli muzykę. Nastolatki zaczęły wybiegać ze sklepów w stronę dziedzińca, żeby dołączyć do imprezy.

To było fantastyczne: nieznajomi uśmiechali się do siebie, tańczyli breakdance, zamiatali włosami do jakichś metalowych kawałków albo bujali się do jakiegoś tajemniczego rytmu, którego nikt inny nie słyszał. Podkreściłem dźwięk w słuchawkach, niezdarnie tańcząc do The Clash.

Cassidy miała na głowie drogie didżejskie słuchawki ze złotymi wstawkami, które lśniły w promieniach słońca. Przycisnęła je mocno do uszu, zamknęła oczy i tańczyła tak, jakby nikt jej nie widział. Brzegi jej turkusowej sukienki uniosły się niebezpiecznie wysoko, a stary kieszonkowy zegarek, który miała na szyi, odbijał jej się od piersi, i była taka piękna, że ledwie mogłem to wytrzymać.

Toby tańczył ironicznie, wykonując takie układy taneczne jak „zraszacz ogrodowy” albo „wózek na zakupy”, i było widać, że szalenie bawią go własne żarty. Austin wykonywał rękami jakieś skomplikowane mechaniczne gesty, więc domyślałem się, że słucha techno.

Wszędzie wokół nas nieznajomi dobierali się w pary i tańczyli razem, zanosząc się śmiechem. Byłem oszołomiony tym, jak wielu ludzi nagrywało wydarzenie na komórki, nie potrafiąc po prostu cieszyć się tą chwilą. Jakiś starszy koleś w kostiumie wielkiego banana poruszał mocno miednicą, desperacko walcząc o zainteresowanie. Zastanawiałem się, gdzie pracuje – może miał jakąś szacowną posadę w banku, a może musiał robić coś kompletnie poniżającego.

Ale we flash mobie nie chodziło o faceta w kostiumie banana ani o ludzi przestępujących niezręcznie z nogi na nogę i nagrywających wszystko na

telefony, ani o tłumy gapiów, które wyszły ze sklepów, żeby zobaczyć, co się dzieje. Chodziło o to, żeby tańczyć tak jak Cassidy, jakby nikt nie patrzył, jakby ta chwila nie miała początku ani końca i nie potrzebowała dokumentowania swojego istnienia. Więc zamknąłem oczy i też tak spróbowałem.

Kiedy podniosłem powieki, Cassidy stała w miejscu ze słuchawkami wokół szyi. Gestem zachęciła, żebym zrobił to samo. Kiedy zdjąłem słuchawki, zszokowała mnie cisza, spowijająca całe wydarzenie. Tak głęboko uwierzyłem, że mój osobisty soundtrack jest częścią tego, co się dzieje, że nie uświadamiałem sobie, jak to wygląda z zewnątrz – setki ludzi tańczyło w absolutnej ciszy.

Tańczyliśmy przez jakieś pół godziny, aż flash mob zaczął bardziej przypominać spektakl. Nikt nie chciał jeszcze wracać do domu, więc pojechaliśmy do Santa Monica i zjedliśmy obiad w jakiejś staromodnej burgerowni. Potem spacerowaliśmy po moło i wymyślaliśmy komiczne i tragiczne historie życia faceta, który tańczył w kostiumie wielkiego banana. Los Angeles nocą zmieniało się w zupełnie inne miasto, pełne życia i tajemnic. Nie odzywałem się zbyt wiele, bo dużo się dziś nachodziliśmy i nie byłem pewien, ile jeszcze dam radę. Robiło się już źle, ale wtedy Cassidy ścisnęła mnie za rękę.

- Chodź, posiedzimy na ławce i pogapimy się na ludzi – zaproponowała.
- Dobry pomysł – zgodziłem się z ulgą.

Toby i Austin zniknęli w pobliskiej księgarni, żeby namierzyć jakąś powieść graficzną, której nie udało im się znaleźć wcześniej w centrum handlowym, a Cassidy i ja przysiedliśmy na chwilę, żeby na nich poczekać. Wydawało mi się, że całkiem nieźle udawałem, że dobrze sobie radzę, ale chyba jednak coś mnie zdradziło, bo Cassidy westchnęła i posłała mi surowe spojrzenie.

- Przecież mogłeś coś powiedzieć – skarciła mnie.
  - Nic mi nie jest – skłamałem.
  - Nie, ty tylko chcesz, żeby wszyscy myśleli, że nic ci nie jest. To co innego.
- Wzruszyłem ramionami i nic nie powiedziałem. Cassidy zadygotała, więc

przyciągnąłem ją bliżej.

– Myślisz, że oni są razem? – wymruczała, wtulając mi się w szyję ciepłym policzkiem.

– Kto?

– Toby i Austin.

Trochę mnie zbiła z tropu tym pytaniem, bo ja po prostu nie zauważałem takich rzeczy.

– Dlaczego ci się tak wydaje?

– Nie wiem. – Cassidy poruszyła obojętnie dłonią. – Odniosłam takie wrażenie. Ale mogę się mylić. Austin trochę mi nie wygląda.

– A Toby wygląda? – Dopiero kiedy powiedziałem to na głos, zdałem sobie sprawę, że to pytanie retoryczne.

To było dziwne, ta myśl, że Toby może być gejem. W jakiś sposób to miało sens, ale wcale mi nie przeszkadzało ani nic z tych rzeczy. W dzieciństwie non stop u siebie nocowaliśmy i nigdy nie czułem się z tym dziwnie. To wciąż był ten sam Toby, nasz nieustraszony kapitan zespołu debatantów.

Niedługo później Toby i Austin wyszli z księgarni.

– Powinniśmy już wracać – powiedziałem, na wypadek gdyby nasza ich ochota przejść jeszcze parę kilometrów.

W drodze powrotnej do Kaszalota Cassidy co chwila zerkała na mnie kątem oka, jakby uważała, że powinienem coś powiedzieć, ale prędzej pozwoliłbym, żeby noga mi odpadła, niż poprosiłbym Toby'ego o podprowadzenie samochodu.

– Zaklepuję tył! – zawołał Austin, pchając się na siedzenie. Rozciągnął się z zadowoleniem, krzyżując ręce na piersi. – Proszę mnie nie budzić.

Toby przewrócił oczami.

– Nie zamierzam całą drogę jechać z bandą śpiących przedszkolaków z tyłu.

Faulkner, ty siadasz ze mną z przodu.

Zdążyłem już zająć ten sam fotel, na którym siedziałem w drodze do Los Angeles, a drzemka wydawała mi się wspaniałym pomysłem – trochę liczyłem na to, że uda mi się przespać ból w kolanie.

– W sumie to ja mogę dotrzymać ci towarzystwa – oznajmiła Cassidy, otwierając przednie drzwi.

Nasze oczy spotkały się w tylnym lusterku. Spojrzałem na nią z wdzięcznością, po czym przykryłem się bluzą jak kocem i odpłynąłem w sen na zatłoczonej autostradzie 10 East.

W weekend Cassidy zabrała mnie na zakupy do second-handu. Znajdował się pośród wegetariańskich restauracji i sklepów z winylami kilka ulic od wielkiego luksusowego centrum handlowego. Przejeżdżałem koło niego mnóstwo razy, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby się zatrzymać i zajrzeć do środka.

W całej okolicy były porozstawiane dziwne rzeźby, na które Cassidy mówiła „instalacje artystyczne”.

Zwłaszcza jedna zwróciła moją uwagę: była zrobiona z zardzewiałych beczek. Zasugerowałem, że może powinni ją odinstalować, a Cassidy się roześmiała. Włosy miała rozpuszczone – tak mi się najbardziej podobały, kiedy opadały jej na ramiona swobodnymi falami. Na nogach miała trzewiki na wysokim obcasie, przez co inaczej trzymało mi się ją za rękę, jakby była bliżej, bardziej osiągalna.

Zaciągnęła mnie do ciasnego sklepu, w którym aż przelewało się od ciuchów z drugiej ręki. Bez przekonania przejrzałem wieszak z T-shirtami, bardziej zainteresowany obserwacją ludzi wokół niż wybieraniem ubrań. Za kasą stała blondynka z dreadami i kolczykiem w nosie, a przebieralni pilnował Azjata z wytatuowanymi ramionami i tunelami w uszach.

– O Boże. Doskonale! – oznajmiła Cassidy, podnosząc jakąś niebieską pierzastą potworność, która mogła uchodzić albo za płaszcz, albo za wyjątkowo ekstrawagancki szlafrok.

– Nie – powiedziałem stanowczo.

– Musisz to przymierzyć! – uparła się, odwieszając go z powrotem.

Po jakimś czasie zorientowałem się, że Cassidy postanowiła grozić mi

najgorszymi rzeczami, jakie tylko uda jej się znaleźć.

– To jest czarny T-shirt – poinformowała mnie, patrząc na to, co wybrałem. – Weź, Ezra. Nie zrobię tego za ciebie. Musisz znaleźć jakiś sposób, żeby się określić. Koszula z Abercrombie i workowate dżinsy nic o tobie nie mówią.

Wlepiłem wzrok w czarną koszulkę. Dotarło do mnie, że Cassidy nie zaciągnęła mnie do sklepu, żeby wymusić na mnie zakup nowych dżinsów. Zamiast tego zamierzała pomóc mi zrozumieć, kim chcę być, skoro teraz jadłem lunch z ludźmi z kółka debatanckiego, brałem udział we flash mobach i zakradałem się na wykłady z chemii organicznej. A ja zrozumiałem, o co jej chodzi. Skoro nie chciałem już trzymać się ze swoimi dawnymi znajomymi, to chyba nie powinienem się ubierać tak jak oni, zwłaszcza że przez lato tak straciłem na wadze, że wszystkie ciuchy w mojej szafie były teraz za duże.

– Jakieś sugestie? – zapytałem, bo to wydało mi się bezpieczną opcją.

– Hmm. – Przyjrzała mi się uważnie, jakby coś ją rozbawiło. – Co powiesz na skórzaną kurtkę?

Dziewczyna z dreadami uśmiechnęła się do mnie, kiedy zrzuciłem górę ubrań na stolik przy kasie.

– Ekstra kurtka – powiedziała, nabijając ją na kasę. – Powinieneś nosić do tego czarne dżinsy.

– Aha, okej – odparłem, wyciągając kartę kredytową.

– Tylko nie z tą koszulą. – Zaśmiała się, podliczyła moje zakupy i zapakowała wszystko do siatki.

– Na pewno nie chcesz wziąć tego szlafroka z piórami? – droczyła się ze mną Cassidy, kiedy wsiadaliśmy z powrotem do samochodu.

– E tam, Toby byłby zazdrosny.

– Okropnie zazdrosny – zgodziła się.

Jakiś kierowca już czaił się na moje miejsce, pakując mi się w tyłek, tak że ledwie dałem radę wyjechać.

– Serio? – wymamrotałem. – Czemu na świecie tylu palantów siada za kierownicą?

– No, zaparkowałeś pod drzewem. Może to po prostu *schattenparker* – powiedziała Cassidy, włączając radio. Po kolei naciskała guziki. Trafiała na trzy stacje z reklamami z rzędu, zanim wreszcie się poddała.

– Co to jest „*schattenparker*”?

– To po niemiecku. – Uśmiechnęła się szeroko. – W wolnym tłumaczeniu to znaczy: „ktoś, kto zawsze parkuje samochód w cieniu, żeby w środku nie zrobiło się gorąco”. W niemieckim jest mnóstwo doskonałych obelg.

– Na przykład? – Zainteresowałem się.

– Hm... – Cassidy zastanawiała się przez chwilę. – „*Vomdoucher*”. Tak się mówi na kogoś, kto nie znosi zimnych pryszniców. Bardzo lubię „*backpfeifengesicht*”. To znaczy „twarz, do której świetnie pasowałaby pięść”. Bardzo szekspirowskie.

Potrząsnąłem głową.

– Skąd ty to wszystko bierzesz?

– A ty nigdy się nie nudzisz? – zapytała.

– Jasne, ale nie wpisuję „niemieckie obelgi” w Google.

– Czemu nie? To fascynujące.

Wzruszyłem ramionami, wjeżdżając na autostradę.

– Chyba po prostu nigdy nie przyszło mi to do głowy.

– A wiesz, co mnie właśnie przyszło do głowy? – zagadnęła figlarnym tonem.

– No co?

– Jeszcze nigdy nie widziałam twojej sypialni.

Na szczęście moi rodzice pojechali kupić jakieś nowe lampy, instalacje

światłne czy coś w tym stylu. Kiedy mama wyjaśniała mi to rano, słuchałem jednym uchem, ale dotarło do mnie, że gdzieś jadą i nieprędka wrócą.

– Mam się bać? – spytała podejrzliwie Cassidy, kiedy zaprowadziłem ją do pokoju. – Czy czeka na mnie taka brudna męska sypialnia, w której czuć starym serem?

– Dokładnie tak. Mam też parę plakatów z laskami w bikini. I całą szufladę lubrykantu w szafce koło łóżka.

– Byłabym rozczarowana, gdybyś nie miał. – Roześmiała się.

Mój pokój wcale nie był taki ekscytujący poza tym, że stało w nim duże łóżko. Przede wszystkim było tu po prostu bardzo czysto. W przeciwnym razie mama chciałaby go sama ogarnąć przed cotygodniowym przyjściem pani od sprzątaniam. A wtedy oczywiście grzebałaby mi we wszystkich rzeczach.

Nie pozwalali mi przyklejać plakatów ani nic takiego, więc ściany zdobiło tylko kilka zdjęć w ramach: McEnroe i Fleming na Wimbledonie i parę obrazków z żaglówkami, które podobały się tacie, mimo że w życiu nie był na łódce. Miałem też wielki regał, na którym stały zdjęcia ze szkolnych imprez, konsole do gier i była też pusta przestrzeń, dawniej zajmowana przez puchary z turniejów tenisowych, ale po wypadku spakowałem je wszystkie do kartonu i schowałem w kanciapie.

Kiedy tylko otworzyłem drzwi, Cooper wepchnął się do środka, wskoczył na łóżko i położył głowę na moim kontrolerze do Wii.

– Cooper, wynocha! – rozkazałem ze śmiechem.

– Ooo, biedny piesek. – Cassidy przycupnęła na łóżku i podrapała go za uszami.

– Nie pomagasz – zauważyłem.

– Dlaczego masz zdjęcie żaglówki w ramce?

Wzruszyłem ramionami i usiadłem koło niej.

– Niech zgadnę. Bo ktoś inny to wybrał i powiesił na ścianie pokoju, który



ma wyrażać to, kim jesteś, mimo że nic cię nie obchodzą łódki.

– A jeśli powiem, że masz rację, to będę mógł cię pocałować?

– Nie przy psie! – Udała zszokowaną.

– Cooper, spadaj stąd! – nakazałem znowu, popychając go lekko.

Cooper usiadł, zastanowił się nad moją propozycją, po czym znowu się położył.

W końcu Cassidy zdołała go zwabić na podłogę i wygonić za drzwi.

– Proszę bardzo – oznajmiła. – Wygnaliśmy twojego psa na pustynię niewinności.

– Poziom odblokowany – stwierdziłem. Podłapałem to wyrażenie przy naszym stoliku.

Cassidy uśmiechnęła się z aprobatą.

Schyliła się, żeby zdjąć buty, a potem obeszła mój pokój na bosaka, przyglądając się wszystkiemu.

– Gdzie są twoje książki? – zapytała.

– Pod łóżkiem – przyznałem nieśmiało.

Cassidy opadła na czworaka i zajrzała pod łóżko.

– Masz tam zaginioną Bibliotekę Aleksandryjską – stwierdziła kwaśno.

– Nie czaję, ale okej.

– Powinieneś je ustawić na półkach. Chyba że się boisz, że przyjdzie tutaj drużyna futbolu ze szkoły i wszyscy się dowiedzą, że jesteś gigantycznym nerdem.

– Niewiele z nich czytałem – powiedziałem, na wypadek gdyby sądziła, że jest inaczej. – Mam je po mamie, jeszcze z czasów jej studiów.

– Jeśli będą tam leżeć, to w życiu ich nie przeczytasz.

– Jutro włożę swoją nową skórę, wezmę którąś z nich i pójdę poczytać w kawiarni – obiecałem z wielkim uśmiechem.

– Głupiek z ciebie – odparła Cassidy, wpełzając na łóżko. Nagie ramiona miała pokryte gęsią skórką od klimatyzacji. Jej podkoszulek trochę się przekrzywił, odsłaniając koronkowe ramiączko od stanika.

– Mmm, chodź do mnie – wymruczałem, wciągając ją na siebie.

Zapomniałem włączyć muzykę, żeby zrobić klimat, ale to nie miało znaczenia. Wreszcie mieliśmy wielkie łóżko tylko dla siebie, zamek w drzwiach, a za tym zamkiem zupełnie pusty dom.

Pocałowałem ją w szyję, zsunąłem ramiączka podkoszulka i zacząłem całować po ramionach. Ściągnąłem jej podkoszulek aż do talii w nadziei, że zrozumie sugestię, że byłoby miło, gdyby go zdjęła.

– Bardzo subtelnie – prychnęła, po czym usiadła i wywinęła się z koszulki. Przez żaluzje wpadały paski późnego słońca, malując na jej skórze złote prążki.

– Fioletowy – stwierdziłem głupio, zahipnotyzowany widokiem jej koronkowego stanika i łagodnymi krzywiznami talii.

W tym momencie Cooper zapiszczał żałośnie i zaczął drapać łapą w drzwi. Cassidy obejrzała się za siebie, a Cooper znów zaczął zawodzić, tym razem głośniej.

– Cooper, cicho! – zawołała, ale na dźwięk swojego imienia mój pudel jeszcze bardziej się przejął.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedziałem.

Przez jakiś czas próbowaliśmy. Ale trudno jest długo udawać, że nie słyszysz, jak twój pies wypłakuje sobie oczy za drzwiami.

– Robi się coraz gorzej. – Cassidy próbowała powstrzymać śmiech. – Nic nie możesz z nim zrobić?

– On nigdy się tak nie zachowuje – burknąłem, wstając.

Wytknąłem głowę przez drzwi. Cooper popatrzył na mnie wyczekująco, mrugając wielkimi brązowymi oczyma. Zapiszczał jeszcze raz na próbę.

– Nie! – powiedziałem. – Cicho, Cooper! Idź sobie!

„Nic z tego, staruszk”, zakomunikował mi wzrokiem. Położył się, układając głowę na łapach, i zaskomlał cicho.

– Tak lepiej – podziękowałem i zamknąłem drzwi, wzdychając.

Cassidy siedziała na łóżku w samym staniku i dzinsach. Włosy spływały jej na ramiona.

– No to gdzie masz tę szufladę z lubrykantem? – zażartowała.

– Nic się nie martw, nie będzie potrzebny – zapewniłem, a po chwili moja koszulka też powędrowała na podłogę.

Znów zaczęliśmy się całować. Cassidy była na górze, siedziała mi na biodrach. Jej włosy opadały mi na policzek, a podczas pocałunku ugryzła mnie lekko w wargę i prawie chciałem umrzeć, bo takie to było seksowne. Sięgnąłem do jej stanika, wdając się w krótką, ale mało skuteczną walkę z zapięciem. Udało mi się za to porządnie zaczepić rzepami opaski na nadgarstku o haczyki.

– Ee – wyjąkałem. – Mamy problem.

– Co, ty już...? No, wiesz, skończyłeś? – zapytała niezręcznie.

– Nie, z tym wszystko w porządku – zapewniłem. – Ale, ee, zaczepiłem się o twój stanik.

„Zaczepiłem” to za mało powiedziane. Praktycznie przykułem się do jej pleców.

– Och. – Cassidy przygryzła wargi. – Może powinnam... czekaj, a jak... nie, czekaj. Ściągnę przez głowę.

– Boże, jakie to poniżające – wymamrotałem, pozwalając Cassidy wywinąć się ze stanika.

– Nie przejmuj się. Przynajmniej widzę, że naprawdę się do mnie przywiązałeś – zażartowała.

Oboje się roześmialiśmy, a sytuacja stała się o wiele bardziej interesująca,

ponieważ teraz miałem znacznie lepszy widok.

– Jakież pomysły, co mam teraz z nim zrobić? – zapytałem.

– Z czym? – wykrztusiła zaskoczona.

– Och, łał, nie. Z twoim stanikiem – doprecyzowałem, odplątując zapięcie od opaski. – *Sorry*.

– Uroczo wyglądasz, kiedy się tak rumienisz. – Cassidy uśmiechnęła się przebiegle. – A skoro już pytasz, może pokażę ci dokładnie, co możesz teraz z nim zrobić.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, zanurkowała pod kołdrę, a ja rzuciłem jej stanik na podłogę, zacisnąłem pięści i za sprawą jej cudownie ciepłych, miękkich ust znów zobaczyłem fajerwerki, wszystkie wybuchające jednocześnie.

Później – kiedy już się odwdzięczyłem i oboje się ubraliśmy, a Cassidy wyraziła nieskończony zachwyt faktem, że mam własną łazienkę – wpuściliśmy Coopera do pokoju i zaczęliśmy niewinnie grać w Mario Kart przy otwartych drzwiach, na wypadek gdyby moi rodzice wrócili. Wtedy Cassidy zapytała, czy jestem prawiczkim.

Zatrzymałem grę, bo miałem kontroler A.

– Ee – bąknąłem, zastanawiając się, czy się domyśliła.

– O Boże! – Jej usta drgnęły, ale spróbowała powstrzymać uśmiech. – Nie jesteś!

– Ej, kiedyś byłem *cool!* – odparłem, próbując obrócić to w żart.

– Wiem, to przerażające – powiedziała cierpko, a potem zaczęła się bawić kontrolerem, bo uświadomiła sobie, na jaki weszła teren. – No, ja zamierzam poczekać – oznajmiła, jakby to była puenta jakiegoś nieopowiedzianego dowcipu, a potem zawstydzona wzruszyła ramionami. – Dlaczego w ogóle robimy z tego takie halo, z tego „czekania”? Jakby ktoś miał przyjść i oznajmić, że to już pora. Jakby dziewice spędzały całe życie, odprawiając uświęconą ceremonię „czekania” na odpowiedni moment.

– Jeśli nie przeszkadzają ci inne uświęcone ceremonie, to ja nie mam z tym problemu – odparłem z uśmiechem.

– Niby jakie inne ceremonie? – Cassidy zmarszczyła brwi.

Zrobiłem minę wcielonej niewinności.

– Pokazać ci jeszcze raz?

Nie jestem pewien, czy byłbym w stanie określić ten konkretny moment, kiedy zaszła we mnie nieodwracalna zmiana. Teraz myślę nawet, że to był nie moment, tylko proces. Reakcja chemiczna, jeśli można tak powiedzieć. Nie byłem już Ezrą Faulknerem, złotym chłopcem, może jakiś czas wcześniej przestałem nim być, ale im więcej godzin spędzałem z Cassidy, tym mniej mi to przeszkadzało.

W końcu Cassidy poszła do domu, a moi rodzice wrócili z pielgrzymki po najróżniejszych magazynach z wyposażeniem domu. Omówiliśmy ich wyprawę ze szczegółami przy obiedzie, a potem włożyłem swoją nową skórzaną kurtkę i przejrzałem się w lustrze. Naprawdę się przejrzałem, a nie tylko zerknąłem. Od dawna unikałem patrzenia na swoje odbicie.

Od czasu wypadku widziałem w sobie tylko te rzeczy, które mi się nie podobały: przydługie włosy, które już nie były przycięte w sportowym stylu, coraz słabiej zarysowane mięśnie, niezdrową bladość w miejscu dawnej opalenizny, spodnie teraz zwisające luźno z bioder, nawet kiedy nosiłem pasek.

Ale tym razem w lustrze nie zobaczyłem ani jednej z tych rzeczy. Oczywiście nic nie zniknęło, ale teraz były to dla mnie już nie wady, tylko fakty: chudy, rozczochrany, blady. Ja, uznałem, tylko w innej wersji niż ta, jaką pamiętali wszyscy wokół.

Wyjąłem wszystkie książki spod łóżka, jakby to stanowiło jakiś symboliczny gest, i porozstawiałem je na półkach. Nie, żebym zamierzał je wkrótce przeczytać, ale to było miłe uczucie: móc patrzeć na własną biblioteczkę i brać pod uwagę możliwość jej przeczytania. Wiedzieć, że jakiś mały fragment mojego pokoju

wreszcie wyraża część mnie i że już nie jestem tym chłopakiem, który boi się trzymać książki na półkach.

Ciekawiło mnie, jak wygląda pokój Cassidy – czy wyraża jej osobowość tak bardzo, jak mój ją ukrywał. Zastanawiałem się, czy przypomina w czymkolwiek pokój Charlotte, gdzie na parapecie stały w rzędzie figurki biedronek, a pod ścianą znajdował się stolik przeznaczony wyłącznie na przybory do makijażu, o którym mówiła, że to toaletka.

– Dlaczego nigdy nie spotykamy się u ciebie w domu? – zapytałem, kiedy podjechałem po Cassidy w poniedziałek rano.

– Bo mamy na stałe panią do sprzątanía. – Westchnęła. – Wygadałaby rodzicom, że sprowadzam chłopaków, kiedy nie ma ich w domu.

– Technicznie rzecz biorąc, jestem tylko jednym chłopakiem – zauważyłem, pozdrawiając skinieniem głowy strażnika w budce przy wyjeździe.

– To jeszcze gorzej – zapewniła Cassidy. – Uwierz mi, lepiej, żebyś do mnie nie przychodził. Naprawdę nic nie tracisz.

– Okej – powiedziałem tylko, wyczuwając, że chce już zamknąć ten temat.

Pociągnęła łyk kawy z kubka turystycznego, który jej przywiozłem.

– Próbowalesz kiedyś kawy z kawiarki? – zapytała. – Myślę, że bardziej by ci smakowała.

W piątek wieczorem poszliśmy z Cassidy do kina – na prawdziwą randkę, do Prism Center. Miała na sobie śliczną sukienkę, a ja włożyłem swoje nowe ciuchy, i obejrzelismy taką koszmarną komedię z tymi samymi aktorami, którzy zawsze grają w koszmarnych komediach.

Z jakiegoś powodu zawsze po wyjściu z kina jestem w dziwnie dobrym nastroju, kiedy otacza mnie zapach popcornu, a wszyscy wokół rozmawiają o filmie, który właśnie widzieliśmy. Jakby wszystko stało się bardziej prawdziwe, a granica między tym, co możliwe, a tym, co zmyślone, na chwilę się zatarła.

Człowiek myśli wtedy o wielkich rzeczach, na przykład, że może naprawdę dałoby się przeprowadzić w jakieś niesamowite miejsce albo postawić wszystko na jedną kartę, by spróbować spełnić swoje marzenia, i tak dalej. Ale i tak potem nigdy się tego nie robi. Chodzi bardziej o to ulotne uczucie, że gdybym tylko chciał, mógłbym zmienić swoje życie w film.

Nigdy nie potrafiłem nikomu wytłumaczyć, co jest takiego uświęconego w tych chwilach po wyjściu z sali kinowej. Dlatego trochę mnie zaskoczyło, że po filmie Cassidy tylko się uśmiechała i nic nie mówiła, dopóki nie doszliśmy do schodów ruchomych, pozwalając mi przeżyć tę chwilę w doskonałej ciszy.

– To trochę straszne – zauważyła, biorąc mnie za rękę. – Wszyscy wokół rozmawiają dokładnie o tym samym.

– Więc my będziemy tą jedną parą, która rozmawia o czymś innym – odparłem. – Opowiedz mi o czymś, co ci się przydarzyło w dzieciństwie.

Cassidy uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Kiedy miałam siedem lat, moja najlepsza przyjaciółka zdmuchnęła mi świeczki na torcie urodzinowym. Rozpłakałam się, bo myślałam, że w takim razie moje życzenie się nie spełni. Twoja kolej.

– Hm – mruknąłem w zamyśleniu. – W pierwszej klasie Toby i ja podwędziliśmy jego siostrze całą masę plastikowej biżuterii i zakopaliśmy w ogródku ich mamy. Chyba chcieliśmy potem to wykopać i udawać, że znaleźliśmy skarb piratów, ale wpakowaliśmy się w okropne tarapaty. Jego mama kazała mi spać w innym pokoju. To był najdłuższy szlaban na świecie.

– Nie wiedziałam, że tak długo się przyjaźnicie.

– Od przedszkola – potwierdziłem. – Byliśmy jeden po drugim w dzienniku. Mieliśmy wspólną szafkę i w ogóle.

Naszą rozmowę przerwało kilku chłopaków ze szkoły, którzy podeszli, żeby się przywitać. Zatrzymaliśmy się na chwilę, by zapytać, na którym filmie byli – okazało się, że na tym samym co my i też uważali, że był beznadziejny.



Kiedy wreszcie im się wyrwaliśmy, minęliśmy pół zespołu piłki wodnej dziewczyn – siedziały przy fontannie. Pomachały do nas, a ja skinąłem głową w odpowiedzi.

Nie zaplanowałem żadnego wielkiego romantycznego wieczora, ale żadne z nas nie chciało jeszcze iść do domu, więc zaproponowałem, że pokażę jej zamek. To taki wielki stary plac zabaw z ogromną betonową fortecą, którą wybudowano jeszcze w latach osiemdziesiątych. Zawsze się tam bawiłem w dzieciństwie.

Po drodze Cassidy odkryła, że nigdy nie próbowałem czekoladek Toblerone, i uznała to za absolutnie nie do zaakceptowania, więc zahaczyliśmy o sklep spożywczy, żeby je kupić. Staliśmy już w kolejce do kasy, kiedy nagle za nami stłoczyła się chyba cała reprezentacja futbolu z naszej szkoły. Kupowali z dwadzieścia puszek tłuszczu do gotowania w spreju.

To było tak fenomenalnie niespodziewane, że nawet się nie zaśmiałem. Byłem zbyt zdumiony.

Cassidy posłała mi rozbawione spojrzenie.

– Hej – powiedziałem, odwracając się w ich stronę.

Connor, który grał na pozycji rozgrywającego, wyglądał na zaskoczonego, że mnie tu widzi – choć jego zaskoczenie było niczym w porównaniu z moim na widok drużyny futbolu obładowanej trzyletnim zapasem tłuszczu w spreju.

– Faulkner – przywitał się, po czym skinął głową w stronę Cassidy. – Dzień dobry pani.

Connor był nawalony jak szpadel. Smród alkoholu płynął od niego falami. Miałem nadzieję, że nie zamierza prowadzić samochodu.

– Mają też inne smaki – poinformowała uprzejmie Cassidy, wskazując na puszki. – Nie wiem, czy zdajecie sobie z tego sprawę.

Stłumiłem śmiech. To było zbyt absurdalne. A najgorsze, że na kasie siedział jakiś dzieciak z naszej szkoły, chyba z klasy niżej. Wyglądał na przerażonego

perspektywą nabijania na kasę zakupów całej drużyny futbolu, a ja doskonale go rozumiałem.

– Jasne, dzięki – bąknął potulnie Connor, jakbyśmy przyłapali go na kupowaniu hurtowej ilości mikro kondomów.

Szczerze? To chyba mniej by mnie zdziwiło.

Prędko zapłaciłem i popędziłem Cassidy na parking, gdzie dobrą chwilę pękaliśmy ze śmiechu.

– Co to miało być? – wydusiła Cassidy, wciąż jeszcze w spazmach.

– Nie jestem pewien – odparłem – ale wydaje mi się, że to mogła być nasza szkolna drużyna futbolowa kupująca dwadzieścia puszek tłuszczu w spreju.

– Boże kochany – parsknęła. – Umieram.

Kiedy wjechałem na pusty parking przed placem zabaw, wciąż się śmialiśmy.

– Może to jakiś ich rytuał – spekulowała zaintrygowana Cassidy. – Wiesz, muszą się wysikać olejem, a potem grać nago w futbol.

– Uwierz mi, gdyby robili coś takiego, na sto procent bym wiedział. Chłopaki z drużyny tenisa nie daliby futbolistom żyć. – Jakby bez tego dawali. My uprawialiśmy sport dla dżentelmenów, oni ubierali się w ochraniacze i wbiegali jeden na drugiego.

– Może chcą zrobić komuś jakiś żart.

– To prędzej jakaś imprezowa gra. Szoty tłuszczu z piwem.

– O Boże.

Wlepiliśmy wzrok w gigantyczny betonowy zamek będący dziwaczną kombinacją piaskownicy i małego gaju. Cassidy trzymała siatkę ze słodyczami i piwem ze sklepu. Zawinęła sobie uchwyt wokół nadgarstka jak kwiatową dekorację, którą dziewczyny noszą na ręce podczas balu.

– Czyli mamy się tam wdrapać? – spytała z powątpiewaniem, mierząc wzrokiem ściankę wspinaczkową prowadzącą na samą górę fortecy.

Skrzywiłem się, kiedy zdałem sobie sprawę, że jej niepokój dotyczy mnie.

– No wiesz, są jeszcze schody. – Zniknąłem po drugiej stronie zamku, próbując obrócić sytuację w żart i nie zwracać uwagi na to, że nie radzę sobie nawet z pieprzonym placem zabaw dla dzieci.

Zajęliśmy wieżyczkę obserwacyjną, która stanowiła najwyższy punkt całego placu zabaw. To smutne, jak dumny z siebie byłem po wejściu na samą górę. Do balkonu przyczepiono mały ster, co bardzo rozbawiło Cassidy.

– Jak zamek z Monty Pythona! – zawołała, biorąc ster w dłonie. – Chodź, zrobimy sobie przejażdżkę.

– Myślałem, że nie interesuje cię żeglowanie – zażartowałem, siadając na pokrytej gumą posadzce naszego małego fortu.

Nad białymi szkieletami brzoź świecił wysoko księżyc w pełni. W oddali słyszałem, że ktoś jeszcze gra w tenisa na kortach za strefą do grillowania, mimo że była już prawie cisza nocna. Byłem ciekaw, czy to jakiś mój znajomy.

Cassidy przysiadła obok. Jej sukienka zafurkotała na lekkim wietrze, drażniąc się ze mną. Przełamaliśmy czekoladę na pół, po czym Cassidy zaczęła, aż spróbuję pierwszy, z takim uśmiechem, jakby chciała powiedzieć: „No widzisz?”.

Zjedliśmy słodczyce w zenująco szybkim tempie. Przyglądałem się, jak Cassidy z roztargnieniem oblizuje palce. Na widok mojej reakcji aż się zarumieniła.

– Założę się, że smakujesz jak czekolada – powiedziała.

– Założę się, że masz rację – odparłem, po czym zajęliśmy się sobą w naszej prywatnej wieżyczce na szczycie zamku.

Cassidy siedziała mi na kolanach w tej swojej krótkiej sukience, a jej nagie nogi na moich dżinsach doprowadzały mnie do szaleństwa. Całowałem ją po szyi, jej dłonie powędrowały pod moją koszulkę i nie wiedziałem, jak daleko uda mi się zajść, ale nic mnie to nie obchodziło, bo fenomenalna możliwość całowania Cassidy Thorpe stała się niezaprzeczalnym, regularnym elementem

mojej rzeczywistości, i aż nie potrafiłem uwierzyć we własne szczęście.

Przesunąłem dłonią po jej udzie, trochę spodziewając się, że ją odsunie, kiedy zapuszczę się za wysoko, ale tego nie zrobiła. Zamiast tego wyprostowała się gwałtownie, jakbyśmy nagle zostali przyłapani przez jej kochaną, najmilszą na świecie babcię. I równie dobrze właśnie taka mogła być prawda.

– Ktoś tu jest – wyszeptała Cassidy, wygładzając włosy. Zakradła się do poręczy betonowego balkonu i wyjrzała przez szpary.

Miałem desperacką nadzieję, że tylko jej się wydawało, ale po chwili usłyszałem śmiech. Śmiech i odgłos potrząsania puszek z aerozolem.

– Nie uwierzysz, co oni wyprawiają. – Cassidy gestem dała mi znak, żebym podszedł i popatrzył.

Na dole stała drużyna futbolu, a parking był zastawiony ich džipami i SUV-ami. Wszyscy mieli w dłoniach puszek z tłuszczem w spreju. Ruszyli w stronę huśtawek i drabinek.

– Co oni, jaja sobie robią? – wyszeptałem, patrząc, jak zabierają się do pokrywania drabinek warstwą tłuszczu.

– Przecież to okropne – odparła cicho Cassidy. – Powinniśmy coś zrobić.

– Ja się tym zajmę – zapewniłem. W końcu nic nie psuje nastroju szybciej niż bycie świadkiem aktu wandalizmu.

Zauważyli mnie, dopiero kiedy byłem tuż koło nich. Stałem na brzegu piaskownicy. Wyjąłem kluczyki i nacisnąłem guzik alarmu. Mój samochód zaczął wyć. Wszyscy aż podskoczyli.

– Ej! – krzyknąłem, wyłączając alarm. – Connor MacLeary, zbieraj tu do mnie tę swoją nawaloną dupę!

Connor podszedł do mnie chwiejnym krokiem, rozkopując piasek. Był bosy, miał na sobie dzinsy i koszulkę zespołu. Bez butów wyglądał jakoś tak bezbrinnie. Znałem go od przedszkola i w tamtej chwili nie myślałem o tym, że jestem gościem ze szkolnego klubu debatantów z laską w dłoni, który właśnie

podskakuje rozgrywającemu z reprezentacji futbolu. Myślałem o tym, jak podczas Świąta Dziękczynienia w przedszkolu Connor odmówił włożenia papierowego kapelusza pielgrzyma. Odwalił taką histerię, że pani Lardner w końcu go podniosła i posadziła na szafkach, żeby się uspokoił.

Connor był tym dzieciakiem, który odmawiał wręczania grubym dziewczynkom serduszek na walentynki, choć mieliśmy przynieść po jednej dla każdej. Kiedy byliśmy w zuchach, Connor notorycznie zapominał chusty albo czapki, a prace domowe z plastyki zawsze robił ołówkiem na papierze w kratkę tuż przed lekcją. A teraz dewastował plac zabaw. To było tak idiotyczne, że nawet przez myśl mi nie przeszło, jak daleko od siebie jesteśmy w szkolnej hierarchii.

– Faulkner! – Connor był tak uradowany, jakby chciał mnie objąć i przyjąć do grupy narąbanych wesółków. – Idealny moment. Łap puchę!

– Jesteś totalnym złobem – powiedziałem. – A także idiotą, ale przede wszystkim złobem.

Jego uśmiech zniknął jak zdmuchnięty. Podrapał się po głowie, jakby nie mógł uwierzyć, że naprawdę jestem zły. Chyba wciąż jeszcze sądził, że może tylko źle mnie zrozumiał.

– Co? Przecież to żart – wyjaśnił ze śmiechem.

Potrząsnąłem głową z obrzydzeniem.

– W życiu nie widziałem czegoś dalszego od żartu. Chłopie, to jest plac zabaw. Dla małych dzieci, ty dumna pało. Zabieraj tych swoich goryli, zanim jakiś przedszkolak skręci sobie przez was kark.

Wreszcie do niego dotarło, że jestem bardzo wściekły. Przechylił głowę, mierząc mnie wzrokiem, i przez sekundę pomyślałem, że może naprawdę mnie walnie. Ale obaj wiedzieliśmy, że to mu się nie upiecze. W poniedziałek wszyscy w szkole by wiedzieli, że cały zespół futbolowy rzucił się na szczypiorka z laską.

Westchnąłem niecierpliwie i znów włączyłem alarm w samochodzie.

– Zabieraj ich – zarządziłem. – Już.

– Dobra, Faulkner, dobra. Jezu. – Connor pokręcił głową i zataczając się lekko, pokłusował z powrotem do kolegów. – Ej, żłoby! – zawołał. – Zostawić puchy! To był durny pomysł! Chodźcie, mam piwo w garażu!

W drodze powrotnej na zamek czułem się niezwycięzony, jakbym naprawdę zrobił coś dobrego. Na widok Cassidy uśmiechnąłem się szeroko. Siedziała na schodach i z poważną miną przyglądała się, jak drużyna futbolu podwija ogony i wynosi się z placu zabaw. Usiadłem przy niej i przyciągnąłem ją do siebie.

– Wykonałem zadanie, piękna księżniczko – zażartowałem. – I powróciłem do zamku, by wszyscy mogli usłyszeć opowieści o mym zwycięstwie.

Ale Cassidy się nie zaśmiała.

– Nie wierzę, że to zrobiłeś – powiedziała. – Myślałam, że on się na ciebie rzuci.

– Pokonałem ogra – upierałem się. – Jestem królem placu zabaw.

– Ezra, bądź poważny.

– Connor nic by mi nie zrobił. Znam go od przedszkola.

Wzięłem Cassidy pod brodę, próbując odchylić jej głowę i powrócić do tego, co wcześniej zaczęliśmy, ale okazało się, że już zużyłem cały zapas szczęścia na ten wieczór. Ona nawet nie chciała o tym słyszeć.

– Nie chcę, żeby coś ci się stało – oznajmiła, skręcając włosy w koczek. – Po prostu... nie strasz mnie tak więcej, okej?

– Koniec z bohaterskimi wyprawami – obiecałem i odwiozłem Cassidy do domu, bo robiło się późno.

W drodze powrotnej wciąż wyglądała na przestraszoną, jakby naprawdę myślała, że będzie musiała się przyglądać, jak banda osiłków tłucze jej chłopaka. Jakby tak naprawdę wcale nie chciała, żebym ich zatrzymał.

Poniedziałek w szkole był nie do zniesienia. Nie sądziłem, że ktokolwiek dowie się o całym zajściu, ale było jasne, że wszyscy wiedzą. Trzecioklasista z drużyny tenisowej Tommy Yang (młodszy brat niesławnego konesera sake w negliżu Kennetha Yanga) był w piątek wieczorem na korce i widział całe zdarzenie.

– Chciałbym być niewidzialny – jęknąłem, kładąc głowę na stoliku.

– Cóż, ja chciałbym, żeby indyk w mojej kanapce jednak pocił się trochę mniej niż gruby dzieciak w jacuzzi – odparł filozoficznie Toby, odkleił od chleba dwa plastry obrzydliwie oślizgłego mięsa i potrząsnął nimi, by jeszcze dobitniej to zilustrować.

Roześmiałem się i poczułem trochę lepiej pomimo niechcianego zainteresowania. Ale wtedy Luke uśmiechnął się szeroko i odchylił do tyłu na ławce.

– A ja słyszałem dziś rano niezły żart – oznajmił. – Słyszałem, że Faulkner załatwił w piątek całą naszą drużynę futbolu.

– Co w tym śmiesznego? – fuknąłem. Nie byłem w nastroju na pieprzenie Luke’a.

– To prawda? – Toby aż upuścił kanapkę na plastikowe opakowanie.

– Głównie prawda – przyznałem. – Zależy, jaką wersję słyszeliście.

– Ja bym chciała usłyszeć twoją wersję – powiedziała Phoebe, nachylając się nad stołem. To mi przypomniało, że przecież jest naczelną szkolnej gazety.

Wtedy do stolika dołączyła Cassidy i zaczęła rozpakowywać paczkę owsianych batoników z automatu.

– Hej – przywitała się i dała mi szybkiego buziaka w policzek. – Nikomu nie mówiłam, przysięgam.

– Wiem. – Westchnąłem. – Tommy Yang był na korcie tenisowym.

Więc opowiedziałem, co tak naprawdę się stało, pomijając tylko, że wszystkiego dokonałem z półerekcją, którą zafundowała mi Cassidy i nasza, hm, zabawa w zamku. Toby śmiał się tak mocno, że aż zaczął chrząkać. Od dzieciństwa nie widziałem go w takim stanie.

– Bardzo żałuję, że to mówię – Austin bezradnie wzruszył ramionami – ale mimo wszystko trzeba geniuszu, żeby wpaść na takie zastosowanie spreju do gotowania.

– Tak, tego wyjątkowego rodzaju geniuszu zarezerwowanego dla pedofilów i psychopatów – zwróciła uwagę Phoebe.

– Nie mogę uwierzyć, że nie podali ci twojej własnej dupy na talerzu – skomentował Sam.

– No, nie wiem, czy zauważyłeś, ale trochę kuleję – zażartowałem z grobową miną.

Toby znów się zaśmiał.

– Ja bym się zesrał w gacie – powiedział. – Gdybym siedział w parku i zobaczył tę bandę naprutyh goryli w nastroju do żartów, to nie żartuję, straciłbym kontrolę nad własnym zwieraczem.

– Przecież to tylko Connor MacLeary – zaprotestowałem. – On jest jak wielki pijany szczeniak. Poważnie.

– Może dla ciebie – odgryzł się Toby. – Ale w podstawówce zrobił mi z życia piekło. Jak myślisz, kto powiedział Tugowi Masonowi, żeby mi nasikał do gatorade?

W sumie, kiedy Toby to powiedział, rozwiązała się wielka tajemnica fizjologicznej kreatywności Tuga Masona. No wiecie, ludzie nie robią czegoś takiego tak po prostu, bez zachęty.



– Toby ma rację – wtrąciła Phoebe. – Futboliści to stado rozwydrzonych wieśniaków. Kiedy ostatnio wygrali jakiś mecz?

– No, w ostatnim sezonie raz zremisowali z Beth Shalom – zauważyłem. – Chociaż tak naprawdę to się nie liczy, bo w tamtej drużynie brakowało połowy zawodników. Mecz akurat wypadł w żydowski Nowy Rok.

– Jak ja się cieszę, że mamy tu Faulknera. Dzięki niemu możemy się dowiedzieć wszystkiego o zeszłorocznych statystykach futbolowych – burknął Luke.

– Pieprz się – odparłem.

– Pieprz swoją dziewczynę – odciął się Luke. – Jeśli ten twój kaleki kutas w ogóle jeszcze działa.

Przy stoliku zapadła cisza. Wydawało mi się, że cały gwar na podwórzu powoli zanika, aż zostają tylko ja i Luke Sheppard, z tymi jego hipsterskimi okularami, wrednym uśmiechem i niewybaczalną obelgą.

Zawsze myślałem, że mnie to nie dotknie, jeśli ktoś nazwie mnie kaleką, jakby uważał, że powinienem się czegoś wstydić. Chyba wyobrażałem to sobie jakoś szerzej, jak samo słowo, tak jak wtedy, kiedy Charlotte nazywała debatantów nerdami albo ludzi ze szkolnej orkiestry frajerami. Ale to, co powiedział Luke, to nie była jakaś ogólnikowa obraza. To było naprawdę obraźliwe i nie mogło mu to ująć na sucho.

– Jakim ty jesteś gnojem – powiedziała Phoebe i uderzyła Luke'a w twarz.

Uderzenie poniosło się echem – a może prawidłowo mówi się: „odbiło się echem” – po czym cały świat z hukiem powrócił na swoje miejsce.

Phoebe wstała, zabierając ze sobą plecak. Na stoliku został duch jej śniadania: pół ciastka czekoladowego i dwa razy ugryziona kanapka z masłem orzechowym.

– Pójdę do niej – powiedziała Cassidy.

– Nie. – Potrząsnąłem głową. – Ja pójdę.

Znalazłem Phoebe na metalowej ławce przed szkolnym basenem, na samym końcu parkingu. Nie stały tam stoliki, więc rzeczywiście można było uznać, że to dobra strefa smutnej izolacji, chyba że ktoś nie lubi zapachu chloru.

Oczy miała czerwone, a prawą rękę trzymała w lewej, jakby wciąż ją piekła od uderzenia. Przesunęła się na ławce, żeby zrobić mi miejsce. Usiadłem. Milczeliśmy.

– Co za palant – wymamrotała Phoebe po jakimś czasie i otarła oczy rękawem bluzy.

– Wiem. – Sięgnąłem do plecaka i podałem jej paczkę chusteczek.

– Masz chusteczki. – Potrząsnęła głową, jakbym właśnie zaoferował jej kawałek haftowanego muslinu.

– Moja mama zawsze kupuje je hurtowo. Mam też żel do dezynfekcji, gdybyś chciała wyczyścić rękę po kontakcie z jego twarzą.

– Nie musisz być dla mnie taki miły – mruknęła.

– Przecież właśnie stanęłaś w obronie mojego honoru.

– Uderzyłam Luke’a Shepparda.

Wypowiedziała jego imię takim tonem, jakby coś znaczyło. Jakby nawet nie miała prawa oczekiwać, że przywita się z nią na korytarzu, jakby naprawdę był taki ważny, jak sam uważał. Aż coś mnie zabolęło w środku na widok Phoebe, w kucyku i okularach, rok młodszej ode mnie i takiej maleńkiej, że ledwie sięgała czubkami butów do ziemi, i obrzydzonej faktem, że jako jedyna miała dość odwagi, by potraktować Luke’a tak, jak należało.

– Zachował się jak *backpfeifen*... Nieważne. Jego twarz wzywała ku sobie tysiące pięści – zapewniłem. – Więc nie masz o co się martwić. Nie zrobiłaś nic, na co by nie zasłużył.

– Teraz trochę żałuję, że nie strzeliłam go mocniej. – Phoebe się zamyśliła.

Parsknąłem śmiechem.

– Boże, nie wierzę, że to powiedział. – Skrzywiła się, jakby jeszcze raz oglądała całą scenę w myślach. – Nikt tak o tobie nie myśli, że jesteś frajerem czy coś takiego. Luke zawsze się do ciebie porównywał, bo obaj byliście przewodniczącymi różnych rzeczy. Non stop na to narzekał, że jesteś takim zarozumiałym osiłkiem bez mózgu, który nic nie robi, a ciągle zbiera pochwały. A teraz jesteście po tej samej stronie, a ty okazałeś się naprawdę spoko, i on nie może tego znieść. Wiesz, jeśli ktoś rzeczywiście nie pasuje do naszego stolika, to właśnie ja.

Nigdy dotąd nie miałem wrażenia, że Phoebe czuje się niepewnie, siedząc z nami. Może dlatego, że postrzegałem nasz stolik jako grupę znajomych, a nie chłopaków ze swoimi dziewczynami, a może po prostu dlatego, że ze wszystkimi świetnie się dogadywała. Ale nie mogłem znieść myśli, że ona tak to widzi.

– Ej – powiedziałem surowo, takim tonem, jakiego używałem podczas przemówień motywacyjnych do drużyny przed turniejami tenisa. – Słuchaj, wszyscy przy naszym stoliku cię uwielbiają.

Phoebe przyglądała mi się przez chwilę, jakby nie była pewna, czy mówię prawdę.

– A co, jeśli przestaną? – zapytała, znów się krzywiąc.

– Jeśli zerwiesz z Lukiem?

Phoebe potrząsnęła głową.

– Trudno mi to wytłumaczyć. To tak, jakby... Mam paranoję, kiedy ktoś korzysta z mojego laptopa, bo obawiam się, że znajdzie jakiś tajny plik, który sprawi, że cały świat mnie znienawidzi, coś, co napisałam, chociaż tego nie pamiętam. I to nie ma znaczenia, że taki plik nie istnieje. I tak mnie to przeraża, wiesz?

– Każdy się tak czasem czuje – zapewniłem. – Nawet Luke.

– Nieprawda. Luke ma gdzieś, czy wszyscy uważają go za okropną osobę, pod warunkiem, że się go słuchają.

Wtedy pojąłem, że przecież Phoebe zna go nieskończenie lepiej, niż ja bym kiedykolwiek mógł. Że Luke obejmuje ją ramieniem na filmach i pakuje jej język do gardła na turniejach debatanckich i że ani razu nie widziałem, żeby wyglądała w tych sytuacjach na szczęśliwą z tego powodu, że jest jego dziewczyną.

– Chciałabym tylko, żeby chociaż raz ktoś się bał, że mnie straci. Ale Luke boi się stracić tylko jedną rzecz: władzę.

Wzruszyłem ramionami. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc przez jakiś czas nie mówiłem nic. Gapiłem się na siłownię naprzeciwko basenu, a po kilku minutach objąłem Phoebe ramieniem, bo była taka mała i zapłakana i to wydawało mi się najbardziej odpowiednie. I siedzieliśmy tak aż do dzwonka.

W tym tygodniu trwało głosowanie na nominowanych do tytułu króla i królowej balu. Przy drzwiach mojej klasy stała pomalowana brokatem urna, otwarcie ze mnie szydząc. Każdy miał zagłosować na jednego chłopaka i jedną dziewczynę z klas maturalnych, a cztery pary z największą liczbą głosów otrzymywały nominacje. Następnie odbywało się drugie głosowanie, którego wynik miał być ogłoszony podczas balu. Nigdy nie byłem w tym dobry. Dziwnie było głosować na samego siebie, nawet w wyborach do samorządu, należało się wykazać inicjatywą, żeby wystartować w wyborach, i zawsze miałem wrażenie, że moje głosy są nieuczciwe, kiedy zapisywałem nazwiska przyjaciół. W końcu wrzuciłem do urny pusty głos.

Nasz stolik na dziedzińcu był dziwnie wyludniony. Luke i Sam pojechali na lunch gdzieś poza kampus, do Burger Kinga czy coś takiego, i nikt tego nie skomentował – żadnych pytań, co z chłopakami i kiedy wrócą.

Phoebe zwinęła z klasy dziennikarskiej opakowanie landrynek i każdy wziął pełną garść. Cassidy pokazała nam, jak rozgryźć cukierka, żeby wyglądał jak złamany ząb. A właściwie nie pokazała, tylko udawała, że złamała sobie zęba, a potem wszyscy się roześmialiśmy, kiedy zobaczyliśmy, jak nas nabrała. Ale

nasz śmiech wydawał się zbyt cichy, jakbyśmy byli w kinie z ogromną liczbą wolnych siedzeń i zbyt wielką przestrzenią, żeby ją wypełnić.

To trwało dwa dni, po czym Luke i Sam zjawili się ponownie, jakby w ogóle nigdy nie zniknęli. Luke siedział wyprostowany i zadowolony z siebie, a kiedy rozpakowywał kanapkę, dostrzegliśmy na jego palcu srebrny błysk. Pierścioneł czystości przedmałżeńskiej. Z początku myślałem, że to ironiczne, więc nie rozumiałem, dlaczego wszyscy się śmieją. Ale okazało się, że Luke traktuje to poważnie – albo przynajmniej chce, żebyśmy tak myśleli.

– Co ja mogę powiedzieć? – Wzruszył skromnie ramionami. – Zrozumiałem swój błąd.

Phoebe prychnęła.

– Prędezej posuwa jakąś pannę ze swojego kościoła – wyszeptała teatralnie, tak żeby Luke też ją usłyszał.

To było fantastyczne. Zazwyczaj w takiej sytuacji Luke powróciłby do stolika w wielkiej chmurze niechęci i niezręczności, ale jego świętoszkowata postawa i Pierścień Niewinności dały nam wszystkim doskonałą okazję, żeby mu dogryzać – Toby wykorzystywał to z dziką rozkoszą. To było tak, jakby przepaść przy naszym stoliku zmieniła się w pęknięcie – Luke i Sam po jednej stronie, reszta po drugiej – i nikt nie pamiętał, kiedy właściwie doszło do jakiegoś trzęsienia ziemi.

W piątek rano odbył się drugi apel w tym roku szkolnym. Balonowe łuki nad każdym sektorem trybun sali gimnastycznej były tym razem w jesiennych kolorach. Żółte, brązowe i pomarańczowe. To wyglądało jak najsmętniejszy karnawał świata.

Dołączyłem do Toby'ego i Cassidy siedzących w trzecim rzędzie sektora dla maturzystów. Toby zajął mi miejsce z brzegu.

- Na pewno nie wolałbyś siedzieć na ławce dla nauczycieli? – zażartował.
- Pieprz się – odparłem wesoło.
- Pieprz swoją dziewczynę – dorzuciła Cassidy ze śmiechem.

To było nasze nowe powiedzonko – ten tekst zmienił się w naszej grupie przyjaciół w żart, a ja cieszyłem się z takiego obrotu spraw.

Rozsiedliśmy się na krzeselkach i czekaliśmy na początek apelu. Rząd przed nami siedziała Staci Guffin. Wściekle różowe stringi wystawały dumnie z jej spodni niczym neonowy wielorybi ogon.

Toby szturchnął mnie, wskazując na tyłek Staci z grymasem dezaprobaty, na co Cassidy dostała ataku tłumionego śmiechu. Trochę było mi głupio, że się tak śmieją, mimo że Staci była jedną z moich eks-dziewczyn. Na szczęście wtedy zaczął się apel. Samorząd wyszedł na środek, żeby wykonać układ taneczny do jakiejś kretyńskiej piosenki Katy Perry. Wszyscy mieli na sobie flanelowe koszule w kratę. Zerknąłem na Toby'ego. Potrząsał głową, jakby się za nich wstydził.

– MATURZYŚCI! ZRÓBCIE HAŁAS! – zawołała Jill, opierając rękę na biodrze.

Odpowiedział jej ogłuszający wrzask.

Obowiązkowa wymiana „nie słyszę was”, kolejnych wrzasków i „teraz lepiej” ciągnęła się dobrych pięć minut.

Mikrofon przejęła Tiffany Wells, nasza beznadziejnie blond przewodnicząca sekcji imprez. W zeszłym roku na zebraniach samorządu robiła notatki długopisem zakończonym puchatym pomponem z różowych piór. Odnosiłem wrażenie, że jej znajomi jawnie się z niej śmieją, a ona i tak nie bardzo rozumie, co ich tak bawi.

Wszyscy z uwagą słuchaliśmy Tiffany ogłaszającej motyw przewodni tegorocznego balu maturzystów: Monte Carlo. Powiedziała to takim tonem, jakbyśmy powinni być szczególnie podekscytowani tym, że salę gimnastyczną przyozdobią kartonowe plansze z motywami z kasyna i „prawdziwe stoły do pokera na żywo”.

Toby o mało nie umarł.

– Udawany hazard na trzeźwo – wyszeptał – na sali gimnastycznej.

Musiałem przyznać mu rację – to naprawdę brzmiało okropnie.

Następnie Jill podała Tiffany kopertę.

– Okej – oznajmiła Tiffany, przeciągając samogłoski w ten typowy dla Kalifornijczyków sposób. – Teraz czas na ogłoszenie nominowanych do tytułu króla i królowej balu, i słuchajcie, jestem strasznie podjarana!

Zapisała do mikrofonu, a wszyscy aż się skrzywili od przesteru.

– Kiedy przeczytam nazwiska, wywołane osoby schodzą na środek i odbierają Królewską Różę!

– Boże drogi – wyszeptał Toby. – Czuję się jak na nagraniu jakiegoś reality show.

Roześmiałem się.

Cassidy uciszyła nas niecierpliwie. Była zafascynowana.

– Okej, to najpierw nominacje do tytułu królowej – zaczęła Tiffany, po czym wywołała Jill Nakamurę, Charlotte Hyde, Sarę Sumner, przewodniczącą Ligi Charytatywnej (takiego wstrętnego kółka wzajemnej adoracji dla dziewczyn, które udawały, że mieszkają w willach nad morzem w Back Bay, najbogatszej okolicy w całym hrabstwie), i Anamicę Patel.

Skrzywiłem się boleśnie, kiedy usłyszałem imię Anamiki. To była jedna z ulubionych okrutnych gier Charlotte: co roku namawiała wszystkich, żeby nominowali kogoś dla żartu, i nie było wątpliwości, że to właśnie Anamica stała się tegorocznym celem. Owszem, może była trochę zbyt kujonowata, ale nie zasługiwała na to, żeby banda palantów z ostatniej ławki na trybunach maturzystów szyderczo wiwatowała na jej cześć.

– To okropne – wyszeptała Cassidy, patrząc na czerwoną jak burak Anamicę, która musiała zejść po swoją różę.

– A teraz nominowani do tytułu króla – ciągnęła Tiffany, kiedy radosne wycie wreszcie ucichło. – Evan McMillan.

Evan zbiegł energicznie po schodach i podniósł różę nad głowę, jakby to była jakaś nagroda.

– Jimmy Fuller.

Jimmy wykonał radosny gest pięścią.

– Luke Sheppard.

Luke próbował udawać, że jest ponad to, ale nie potrafił tak do końca ukryć triumfu.

– I Ezra Faulkner.

Zamarłem. Wydawało mi się, że na sali gimnastycznej zapadła kompletna cisza. Jedyne, co pomyślałem, to: „O Boże, jestem Anamicą Patel. Jestem żartem”.

Nie mam pojęcia, jak dotarłem ze swojego miejsca na środek sali, ale nagle okazało się, że tam stoję i trzymam różę w ręce, a cała szkoła huczy, jakbym był



jakimś skazanym na śmierć gladiatorem.

Kiedy wróciłem na trybuny, Toby się śmiał.

– Całe szczęście, że masz już garnitur – powiedział.

– Zamknij się – syknąłem wściekle, marząc, żeby już nikt się na mnie nie gapił.

Zanim nadeszła przerwa na lunch, byłem już kompletnie skołowany całym wydarzeniem: nie miałem pojęcia, czy to wredny żart, czy jakieś powidoki litości, czy może coś jeszcze innego. Cokolwiek to było, połowa mojej grupy z matematyki pogratulowała mi, tak jakby nominacja stanowiła powód do dumy, a nie do wstydu.

To było dziwne uczucie. Jakby te wszystkie zaproszenia na imprezy, które odrzuciłem, były szczerze, jakby nie miało znaczenia, że ledwie wchodzę po schodach, spotykam się z dziewczyną z kółka debatanckiego, a weekendy spędzam na nauce do rozszerzonych przedmiotów z Tobym Ellicottem.

– Gratulacje – zwróciłem się do Anamiki po matematyce, bo wydawało mi się, że tak wypada.

Na naszych ławkach leżały wędnące róże.

– Ty też? – Anamica posłała mi nienawistne spojrzenie, jakby podejrzewała, że się z niej śmieję.

– Co? – Nie wiedziałem, o co jej chodzi.

– Rozumiem, Faulkner. Twoje wredne kółko szkolnych ulubieńców zagłosowało na mnie dla jaj. Nie musisz mi o tym przypominać.

– Moje wredne kółko? – Nie miałem pojęcia, jakim cudem mogło do niej nie dotrzeć, że zostałem zdetronizowany całe miesiące temu. Myślałem, że Anamica i ja jesteśmy w tej samej sytuacji: czekał nas cały dzień niechcianej i żenującej niby-popularności. Ale ona widać tak nie uważała.

– Zostaw mnie w spokoju – ostrzegła, wyrzucając swoją różę do śmietnika.

Podczas lunchu przy naszym stoliku można było wyczuć dziwne, choć niemożliwe do pomylenia z niczym innym napięcie. Nigdy dotąd nie konkurowałem z Lukiem bezpośrednio, ale miałem wrażenie, że jemu wcale się to nie podoba, jakbyśmy byli przeciwnikami wreszcie ustawionymi naprzeciwko siebie w ringu.

Toby wydawał się nie zauważać gęstej atmosfery – był zajęty głośnym opowiadaniem Cassidy o tradycji naszych szkolnych imprez. Opisał ze szczegółami, jak wszyscy muszą pozować fotografowi, który rozwiesza specjalne tło na siłowni w sali z maszynami, i jak nauczyciele podpierają ściany przez cały wieczór, zde gustowani tańcami i muzyką.

– To obłądnie zabawne – zapewniał. – Wszystkie dziewczyny są ubrane w takie obciachowe satynowe kiecki z plastikowymi diamentami, a chłopaki stają za nimi i robią taniec ćpuna.

– Taniec ćpuna? – Cassidy uniosła brew.

– No wiesz, ocierają się o nie, bo ty jesteś moją kokainą – wyjaśnił Toby, próbując zabrzmieć jak dziecko ulicy, a ja mało nie udławiłem się mrożoną herbatą.

– Proszę, możemy to zrobić? – spytała zachwycona Cassidy. – I będziesz musiał mnie zabrać na obiad w jakieś koszmarnie miejsce, z bufetem sałatkowym albo maszyną do napojów.

– Wydaje mi się, że to chłopak powinien zaprosić dziewczynę – powiedziałem.

– Och. – Cassidy zmarkotniała i zaczęła się nad tym zastanawiać. – No, nie martw się. Jak mnie zaprosisz, będę udawała zaskoczoną.

Roześmiałem się.

– Dobra, załatwione – obiecałem.

– Ej, kryj się – wymamrotał Toby.

Dopiero po chwili zorientowałem się, o co mu chodzi. Charlotte Hyde szła

prosto na nasz stolik – sama. Jej kucyk lśnił w słońcu jak czyste złoto, a ona uśmiechała się tak, jakby wiedziała, że wszyscy na nią patrzą.

– Ezra – wymruczała. – Chodź na momencik do stolika.

Do stolika. Tak jakby na całym dziedzińcu był tylko jeden.

– Po co? – zapytałem podejrzliwie.

Zirytowana Charlotte przyjrzała się uważnie końcówkom kucyka.

– Chodzi o bal. Jesteś nam potrzebny.

Westchnąłem i wstałem, uznając, że najlepiej mieć to jak najszybciej za sobą. Luke też się podniósł, zakładając, że zaproszenie dotyczy także jego. Charlotte uniosła brew.

– Ty nie – powiedziała, po czym złapała mnie za ramię i odciągnęła od stolika.

Włożyła gumę do ust i posłała mi uśmieszek, gładząc rękaw mojej kurtki. Pachniała tak samo jak zawsze – mieszanką perfumowanego balsamu, błyszcząca i gumy owocowej, roztaczającej przytłaczającą woń sztucznego aromatu truskawkowego.

– Urocza ta twoja kurtka – oznajmiła, kiedy szliśmy w stronę naszego starego stolika. – Aż nie mogę się oderwać.

– Cassidy ją dla mnie wybrała.

Charlotte gwałtownie zabrała rękę.

– Idziesz z nią na bal, prawda?

– Charlotte, ona jest moją dziewczyną.

W tym momencie dotarliśmy do stolika. Wszyscy podnieśli głowy.

– Stary! – przywitał mnie Evan z wielkim uśmiechem. – Całe nasze zajebiste trio nominowane. Jesteśmy królami.

Nie miałem serca mu tłumaczyć, że sens głosowania polega na tym, że wybiera się jednego króla. Więc tylko się uśmiechnąłem i powiedziałem:

– No, mega.

– Bożesztymój. – Jill przewróciła oczami. – Myślałam, że padnę, jak wywołali Anamicę. A potem Luke’a, co za żart.

– Wiem. – Charlotte zachichotała. – On wciąż nosi aparat.

Stałem tak koło nich i czułem się niezręcznie. Zastanawiałem się, czy ktokolwiek ośmieli się przyznać, że zostałem nominowany jedynie z litości, dopóki Evan nie odciągnął mnie na bok. Wyjaśnił, że po balu zamierzają całą paczką wynająć apartament w hotelu. Będzie beer-pong, a potem impreza w jacuzzi. Chciał wiedzieć, czy też się piszę.

– Na co? – zapytałem, bo nie sądziłem, że naprawdę chce mi zakomunikować, że zaprasza mnie i moją dziewczynę na wspólne chlańsko w jakimś hotelu.

– Kilkaset dolców. Może trochę więcej, jeśli wynajmiemy limuzynę.

Wyglądało na to, że Evan jednak mówi poważnie. Szczerze wierzył, że będę chciał wydać pieniądze na prestiż walenia z nimi ciepłego alkoholu w wannie z bąbelkami.

Jakoś udało mi się wykręcić i uciec od ich stolika.

– Hej – powiedziałem potulnie, kiedy usiadłem z powrotem z przyjaciółmi.

– Czego chcieli? – zapytał Luke, mrużąc oczy.

– Nic. Zrzutka na limuzynę.

Ale widziałem, że mi nie uwierzył.

Następnego popołudnia zaprosiłem Cassidy na bal. Siedzieliśmy z Tobym w księgarnianej kawiarni Barnes and Noble. Poprosiłem baristę, żeby napisał wiadomość na jej kubku.

Kiedy Cassidy to zobaczyła, uśmiechnęła się szeroko.

– No, patrzcie państwo – wycedziła z komicznym południowym akcentem – jakiś dżentelmen zaprasza mnie na potańcówkę.

– Pójdziemy na obiad do Fiesta Palace – obiecałem. – Podają tam frytki w sombrero i mają takiego kolesia, który chodzi po sali z meksykańską orkiestrą i robi kapelusze z balonów.

– Och, panie Faulkner – odparła Cassidy, wciąż tym samym śmiesznym głosem. – Toż to brzmi rozkosznie.

A potem się pocałowaliśmy, a Toby udawał, że to obrzydliwe.

Nagle zadzwoniła komórka Cassidy – ktoś chciał potwierdzić jakąś wizytę („Dentysta”, wyszeptała, krzywiąc się teatralnie), więc wyszła na zewnątrz, żeby to załatwić. Kiedy odeszła, zapytałem Toby’ego, z kim idzie na bal.

– Myślałem, że może pójdę z Phoebe, tak po przyjacielsku – wyznał. – A Austin się uparł, że zaprosi taką jedną dziewczynę z zajęć dodatkowych. Uważa, że ona jest jego bratnią duszą.

– Och, więc wy nie jesteście... – urwałem zawstydzony.

– Nie, Faulkner, nie jesteśmy – odparł cierpko Toby.

Wzruszyłem ramionami w nadziei, że Cassidy zaraz wróci i nas uratuje. Ale nie wracała.

– Eee, spoko – bąknąłem. – No wiesz, tak czy inaczej. Jeśli idziesz z Phoebe albo jeśli, wiesz...

– Stary, to jest straszne – poinformował mnie Toby. Ku mojemu zaskoczeniu wyglądał, jakby próbował się nie roześmiać. – Nie jestem gejem. To znaczy wydaje mi się, że jestem, ale zastanowię się nad tym na studiach. Żeby się wyoutować w liceum, musisz naprawdę mieć pewność. A ja jestem ultrasinglem, nigdy się nie całowałem, żadnych perspektyw na horyzoncie i funkcjonuję w związku ze swoją lewą ręką i stertą DVD z hentai.

– Hentai? – powtórzyłem, starając się zachować powagę. – Poważnie?

– Pięćdziesiąt nerdpunktów za to, że wiesz, co to hentai. Tak, naprawdę.

– Hm... – Zastanawiałem się. – Dobrze wiedzieć.

- Nie martw się, nie jesteś w moim typie – zapewnił sucho Toby.
- Domyśliłem się, skoro lubisz hentai.
- Zamknij się z tym hentai – poprosił błagalnym tonem. – Żałuję, że w ogóle o tym wspomniałem.

Roześmialiśmy się, bo wyznanie na temat czerpania satysfakcji z japońskiej animowanej pornografii było czymś strasznie upokarzającym i obaj wiedzieliśmy, że do końca życia będę mu to wypominać.

– Słuchaj – powiedział Toby, pociągając łyk frappuccino – dzięki, że nie masz z tym problemu. Trochę się martwiłem.

– Serio? – Przez chwilę zastanawiałem się, czy naprawdę sprawiam wrażenie gościa, który zerwie znajomość z najlepszym przyjacielem przez coś takiego. To nie była przyjemna myśl.

– Twoi dawni znajomi nazwaliby mnie pedałem – dodał.

Skrzywiłem się.

– Na pewno nie!

– Dobrze, pozwól, że powiem inaczej – odparł gorzko. – Znowu nazwaliby mnie pedałem.

Potrząsnął głową. Nie zamierzał powiedzieć, kiedy to się stało. Chciałem go przycisnąć, ale wtedy Cassidy wróciła do stolika, a Toby kazał jej otworzyć głupkowatą stronę z okropnymi zdjęciami ze szkolnych balów. Śmialiśmy się tak głośno, że barista podszedł do nas i ostentacyjnie zabrał nasze puste kubki.

Wszyscy zgodnie uznali, że pomysł, by zjeść obiad w Fiesta Palace, to przebłysk głęboko ironicznego geniuszu, więc zarezerwowałem stolik dla sześciu osób. Albo raczej próbowałem zarezerwować, ale kobieta, która odebrała telefon, otwarcie mnie wyśmiała.

Austin bez końca nawijał o tej dziewczynie z kursu – ponoć chodziła do liceum plastycznego i zajmowała się makijażem do efektów specjalnych. Phoebe i Cassidy trzy dni z rzędu spędziły na zakupach w poszukiwaniu idealnych sukienek. Całe przedsięwzięcie rozrosło się do takich rozmiarów, że już nie byłem pewien, czy nie zaczęliśmy brać go na poważnie.

Swoją drogą, z nami zawsze tak było. Szydźliśmy z różnych rzeczy, ale tak naprawdę chcieliśmy brać w nich udział. Oczywiście moja mama szalała ze szczęścia, że zaprosiłem Cassidy. Bez przerwy mnie wypytywała, w jakim kolorze będzie jej sukienka (znając Cassidy, równie dobrze mogłem się jej spodziewać w smokingu i cylindrze), czy idziemy na mecz futbolu przed balem (nie), dokąd idziemy na obiad (skłamałem, że do włoskiej knajpy, którą lubili z tatą) i co będziemy robić po imprezie (maraton *Doktora Who* u Austina).

W poniedziałek odbywało się głosowanie na króla i królową balu – tym razem musieliśmy zamalować kwadraciki na kartkach do maszyny liczącej. Kojarzyło mi się to z wyborami do szkolnego samorządu: zamaluj A, jeśli głosujesz na tego kandydata, B, jeśli głosujesz na innego. Oddałem pusty głos i próbowałem nie myśleć o tym, jak w zeszłym roku podczas wyborów na przewodniczącego leżałem w szpitalu. Zamiast tego skupiłem się na Cassidy: jak wymawia słowo „witaminy” z brytyjskim akcentem i nie znosi, kiedy ludzie

biorą w restauracji za dużo serwetek. Jakbym porządkował sobie wspomnienia o niej... jakbym wiedział, albo przynajmniej przeczuwał, co się niedługo wydarzy.

Po południu w dniu balu poszedłem do kwiaciarni po kwiatową opaskę na nadgarstek dla Cassidy. Zostałem kilometrową kolejkę licealistów, którzy stali tu z tego samego powodu. Przez jakiś czas zabawiałem się obserwowaniem tych w towarzystwie rodziców – próbowali zachowywać się nonszalancko i udawać, że wcale nie jest im głupio. Ale w końcu zacząłem się nudzić, więc wysłałem Cassidy zdjęcie wściekle różowego łańcucha sztucznych hawajskich kwiatów i napisałem: „Kosztowało tyle samo co dekoracja na rękę!”.

„Żartujesz, prawda?!”, odpisała w tej samej chwili.

Zaśmiałem się i poszedłem zapłacić za jej dekorację, zostawiając ją przez chwilę w niepewności.

Kiedy szedłem z powrotem do samochodu, usłyszałem dzwonek telefonu.

– Proszę, powiedz, że tego nie kupiłeś – powiedziała Cassidy.

– Nie kupiłem – przyznałem. – Zapamiętać: moja dziewczyna nie chce dostać ani stracić wianka.

– Och, bardzo zabawne.

W tym momencie na parking wjechał z piskiem opon Tony Masters. Z opuszczonych okien jego chevroleta ryczał rap. Zatrąbił na mnie, żeby się przywitać, a ja podskoczyłem zaledwie kilometr do góry.

– Jezu – wykrztusiłem, ogarnięty lekką paniką, choć przecież nadal byłem na chodniku.

– Co to było?

– Nic. Taki koleś ze szkoły mnie przestraszył.

– Okej – odparła Cassidy. – No to spróbuj się nie zabić do wieczora.

– Jeśli będzie na mnie pędził jakiś wielki czarny SUV, od razu wrzucę



wsteczny – obiecałem.

– Co?

– No, wypadek – wyjaśniłem. – W maju?

– Nigdy nie wspominałeś, co dokładnie się stało. Zawsze po prostu mówiłeś, że to był wypadek.

– Och, myślałem, że ci opowiadałem. – Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem kluczyki. – Wyjeżdżałem z imprezy u Jonasa. Wtedy jeszcze jeździłem swoją wypasioną bryką, a nie Voldemortem.

Cisza, odgłosy jakiejś krzątanimy po drugiej stronie.

– Mówiłem ci już, że postanowiłem nazwać swoje volvo? – ciągnąłem. Nie rozumiałem, dlaczego się nie śmieje. Może po prostu była pod wrażeniem błyskotliwego imienia, jakie nadałem swojemu samochodowi.

– Przepraszam – powiedziała tylko. Brzmiała, jakby była roztargniona. Może miała wizytę u fryzjera albo coś w tym rodzaju. – Muszę lecieć.

– No, ja też. Do zobaczenia wieczorem.

Ubrałem się dość wcześnie. Nałożyłem trochę pianki na włosy, choć na co dzień nie chciało mi się tego robić, a potem całą wieczność spędziłem przed lustrem, poprawiając krawat.

Nie denerwowałem się tym, że idę na bal z Cassidy – byłem pewien, że będziemy się wygłupiać i dobrze bawić z naszą grupką przyjaciół, tak jak zawsze. Stresowałem się nominacją na króla balu: czułem się tak, jakby ktoś próbował mnie na siłę wepchnąć z powrotem do tego świata, który zdążyłem już z radością zostawić za sobą.

Nie spodziewałem się, że wygram. Owszem, schlebiałoby mi to, ale zwycięstwo byłoby czymś bezwartościowym – to było coś, co się kończyło w tej samej chwili, kiedy się zaczynało. Mimo to nastawiłem alarm w telefonie na godzinę, o której opiekunka samorządu, pani Reed, kazała nam stawić się w zielonym pokoju. To brzmiało tak, jakby „zielony pokój” był jakimś

prestizowym miejscem, a nie małym aneksem z dostępem do koedukacyjnej toalety dla niepełnosprawnych na tyłach sali gimnastycznej.

W oczekiwaniu na przyjście Cassidy podniosłem egzemplarz *Wielkiego Gatsby'ego* i zacząłem jeszcze raz czytać fragmenty z opisami przyjęć, bo uznałem, że zapewnią odpowiednie tło dla takiej okazji. Tak się zaczytałem, że zrobiło się późno. Zorientowałem się, dopiero kiedy mama zapukała do drzwi mojego pokoju.

– Może powinieneś sprawdzić, co z Cassidy, kotku? – zagadnęła z lekkim niepokojem. W dłoni trzymała wielki i nieco przestarzały aparat, który tata kupił jej na Chanukę jakieś pięć lat temu.

– Jasne, napiszę do niej – odparłem i wyciągnąłem telefon. Nie doczekałem się odpowiedzi, więc spróbowałem zadzwonić. Odezwała się automatyczna sekretarka, więc się rozłączyłem, bo nie było sensu zostawiać wiadomości.

Ale kiedy Cassidy spóźniała się już pół godziny i nadal nie odpowiedziała na mój telefon i na esemesy, zacząłem się martwić. Mama znów wetknęła głowę do pokoju i zapytała, jak idzie. Nadal ścisła w dłoniach ten smutny stary aparat i aż biła od niej wymuszona radość. Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, ale popatrzyłem na ekran telefonu i udałem, że Cassidy właśnie odpisała.

– Trochę jej się przeciągnęło – skłamałem, sięgając po kluczyki. – Łatwiej będzie, jak po nią pojedę. Nie pogniewasz się, prawda?

Strażnik przed bramą do Terrace Bluffs był już przyzwyczajony, że przyjeżdżam po Cassidy. Machnął ręką, żebym wjechał, i nawet na mnie nie spojrzął. Jakieś dzieci znów pobazgrały ulicę kredą. Tym razem na asfalcie widniały wizerunki duchów i dyń. Na kilku domach i w ogródkach wisały już halloweenowe dekoracje: pomarańczowe światełka rozpięte na gałęziach drzew, sztuczne pajęczyny na żywopłotach.

Wziąłem kwiaty dla Cassidy i zadzwoniłem do jej drzwi, zastanawiając się, czy wreszcie poznam jej rodziców. Nikt nie otworzył, więc zapukałem głośniej

i znów nacisnąłem przycisk dzwonka, starając się, żeby to nie zabrzmiało zbyt nieuprzejmie.

– Halo?! Tu Ezra! – zawołałem, na wypadek gdyby myśleli, że jestem świadkiem Jehowy. W końcu byłem pod krawatem.

Za mną przejechała limuzyna. Tommy Yang z drużyny tenisa wychylał się przez szyberdach. Zawołał coś do mnie, a ja pomachałem. Dopiero kiedy limuzyna zniknęła za rogiem, zacząłem panikować.

Jeszcze raz wybrałem jej numer. Telefon zadzwonił pięć razy, po czym znów odezwała się poczta głosowa.

– Hej – powiedziała ze śmiechem. – Zostaw wiadomość o maksymalnej długości stu czterdziestu znaków i... Boże, Owen, przestań, próbuję nagrać powitanie na pocztę... *sorry*, po prostu zostaw wiadomość. A jeśli to coś pilnego, wyślij telegram.

– Eee – bąknąłem. – Hej, to ja, Ezra. Gapię się na twoje drzwi wejściowe, twoje kwiaty się pocą. Nie, to zabrzmiało obrzydliwie. Są wilgotne. *Sorry*, jeszcze gorzej. W każdym razie dobrze by było, gdybyś zeszła mi otworzyć, bo pokryłem ci cały dzwonek odciskami palców.

Niektórzy boją się wystąpień publicznych, ja boję się zostawiać wiadomości głosowe. Jest w tym coś takiego – może chodzi o to, że muszę mówić w pustkę, że mój głos się nagrywa, bez przygotowania i bez ostrzeżenia – że bełkoczę bez ładu i składu, zamiast powiedzieć po prostu, o co mi chodzi.

Było raczej jasne, że nikogo nie ma w domu, więc wsiadłem z powrotem do samochodu, starając się nie panikować. Cassidy, cóż, Cassidy zniknęła, a ja nie miałem zielonego pojęcia, co się dzieje. A ponieważ nie wiedziałem, co innego mógłbym zrobić, zadzwoniłem do Toby'ego.

– Hej! – odezwał się już po pierwszym sygnale. – Jedzicie?

– Cassidy zniknęła – oznajmiłem głucho.

– Jak to zniknęła? – zapytał z rozbawieniem, jakby spodziewał się, że

przygotowaliśmy jakiś wyśmienity żart.

– Nie przyszła, tak jak się umawialiśmy, nie odpisuje na esemesy, a teraz stoję przed jej domem, ale nikt nie otwiera. Daj Phoebe.

Toby powiedział, żebym zaczekał, po czym usłyszałem stłumioną rozmowę, aż wreszcie Phoebe wzięła słuchawkę i poprosiła o wyjaśnienie, co się dzieje.

– Nie wiem – odparłem. Łamał mi się głos. – Cassidy nie ma w domu i nie odbiera telefonu. Nie byliście dziś razem u fryzjera czy coś takiego?

– Nie. – Po jej głosie poznałem, że zrobiła zaniepokojoną minę. – Od wczoraj z nią nie rozmawiałam.

– Ja rozmawiałem z nią dziś po południu – powiedziałem z powątpiewaniem. – Mogłabyś do niej zadzwonić? Może tylko mnie unika.

– Jasne. Poczekaj chwilę, zadzwonię z mojego telefonu.

Usłyszałem gwar w restauracji i odległy dźwięk sygnału wybieranego połączenia, a potem prawie nieuchwytny pisk i: „Hej. Zostaw wiadomość o maksymalnej długości stu czterdziestu znaków...”.

– Przykro mi. – Znów głos Phoebe. – Nie odebrała.

– No, słyszałem.

Przez chwilę wsłuchiwalismy się w swoje milczenie.

– Może przeciągnęło jej się u fryzjera? – zasugerowała Phoebe.

– Może. – Nie brzmiałem zbyt optymistycznie.

– Słuchaj, Austin właśnie wszedł, i słuchaj, ta jego dziewczyna jest gotką na sto procent, nie żartuję. Boże, ma czarną szminkę i w ogóle.

Rozległy się jakieś hałasy, po czym Toby zabrał jej telefon.

– Dobra, musimy iść nabijać się z Austina. Daj znać, jak będziecie w drodze, okej?

– Jasne – obiecałem. – Nie czekajcie na nas z jedzeniem.

Odłożyłem słuchawkę i włączyłem playlistę, którą przygotowałem na ten

wieczór. Siedziałem nieruchomo przy akompaniamencie The Kooks zawodzących smętnie z głośników. Czekałem, aż ktoś zaparkuje na podjeździe, aż zabrzączy mój telefon, aż zapali się światło w korytarzu. Ale nic takiego się nie wydarzyło.

Po kilku piosenkach zapiąłem pasy i zjechałem z krawężnika. Coś było nie tak. Ona zawsze na mnie czekała. Zawsze niezawodna: z latarką w oknie, czekająca na krawężniku, biegnąca przez ogródek z uśmiechem na twarzy. Nigdy się nie spóźniła, nigdy nie zniknęła.

Przede wszystkim się martwiłem. Wyobrażałem sobie, że leży gdzieś w rowie na szlaku turystycznym albo że miała wypadek na autostradzie. Już niemal widziałem ją w metalowym szpitalnym łóżku za półprzezroczystą firanką na OIOM-ie. Wyobrażałem ją sobie w tragicznych okolicznościach... ani na sekundę nie przyszło mi do głowy, że to ona może być tragedią.

Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym zrobić, więc zacząłem jeździć po Eastwood. Jazda samochodem zawsze mnie uspokajała, zwłaszcza nocą, kiedy światło lamp trochę się rozmywało, a puste drogi ciągnęły się w nieskończoność w stronę pól i sadów znikających w ciemności.

Kiedy przejeżdżałem koło placu zabaw, coś mnie zatrzymało. Dostrzegłem jakąś postać na szczycie najwyższej wieżyczki, tej ze sterem. Dziewczyne.

Zaparkowałem. Słyszałem, jak wali mi serce. Nie chciałem wiedzieć, co się dzieje, ale nie potrafiłem się powstrzymać.

Korty tenisowe zalewało białe jarzeniowe światło. Rzucalo miękką poświatę na betonowy zamek. Kiedy tylko wysiadłem z samochodu, od razu to zobaczyłem: niemożliwą do pomylenia z czymkolwiek innym zieleń ulubionego swetra Cassidy.

Przeszedłem przez trawnik i zawołałem do niej. Z łatwością zeskoczyła z wieżyczki, przeleciała nad piaskową fosą wokół zamku i wylądowała na trawie, po czym ruszyła przez plac zabaw.

Patrzyłem, jak idzie w moją stronę, w dżinsach, kraciastej koszuli i trampkach. Włosy miała związane w kucyk. Nie wyglądała jak dziewczyna, która miała dziś w planach wyjście na bal. Nie miałem pojęcia, o co tu chodzi, ale wiedziałem, że nie czeka mnie nic dobrego.

– Co ty tu robisz? – Jej twarz była mroczna i zimna, jakbym był ostatnią osobą na świecie, którą chciałyby oglądać. Zaskoczyła mnie złość w jej głosie.

– Bal maturzystów – wyjaśniłem z wymuszonym uśmiechem, nadal jeszcze próbując obrócić to w żart. – Pamiętasz?

Cassidy otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale się powstrzymała.

– Nie idę – poinformowała, jakby to od samego początku było zupełnie oczywiste.

– Okej. Ale, wiesz, może trzeba mi było wcześniej powiedzieć? – Bezradnie wzruszyłem ramionami.

Światło z kortów nagle wydało mi się bardzo ostre, jak lampy nad stołem operacyjnym.

– Idź do domu, Ezra – poprosiła Cassidy. – Błagam, po prostu sobie idź.

– Nie – odparłem zawzięcie.

Posłała mi wściekłe spojrzenie. Jej oczy były tak pełne łez, że brakowało w nich miejsca na choćby jedną więcej.

– Boże, nie widzisz, że jesteś ostatnią osobą, z którą mam ochotę teraz rozmawiać? – zapytała.

– Owszem, zauważyłem. I naprawdę nie rozumiem dlaczego.

– To skomplikowane. – Cassidy objęła się ramionami, jakby było jej zimno.

W pierwszej chwili chciałem dać jej swoją marynarkę, ale oczywiście tego nie zrobiłem. Nie mogłem tego zrobić, kiedy staliśmy na pokrytym trawą wzgórzu placu zabaw, na siedzeniu w moim samochodzie wędły róże, a nasi przyjaciele jedli pierwsze danie przy stoliku z dwoma pustymi siedzeniami.

– A może jednak spróbujesz mi wytłumaczyć?

– Och, kotku. – Nigdy wcześniej mnie tak nie nazywała, i wcale mi się to nie spodobało. – Czy to nie jest oczywiste? Ty. Ja. Razem. Tylko się bawiłam. A teraz mój chłopak przyjechał z San Francisco, żeby mi zrobić niespodziankę. Poszedł na stację po papierosy. Lepiej, żeby cię tu nie było, kiedy wróci.

Cassidy wskazała głową na neony stacji benzynowej po drugiej stronie ulicy. Pomyślałem, że może powinienem tam pójść i strzelić tego palanta prosto w twarz. Ale Cassidy pociągnęła nosem i znów poprosiła, żebym sobie poszedł.

Staliśmy przez chwilę, przyglądając się sobie chłodno. Za plecami Cassidy stał zamek, jak fotografia wspólnego wieczora, który przeżyliśmy milion lat i dwa tygodnie temu.

– Ja... Więc... Przez ten cały czas miałaś kogoś innego? – zapytałem tępo.

Przekrzywiła lekko głowę i oparła dłoń na biodrze, jakby bolało ją, że musi mi to wyjaśnić jeszcze dobitniej.

– Naprawdę myślałeś, że to mógłbyś być ty? Boże drogi, Ezra, spójrz na siebie. Przebrzmiały król balu, który stracił dziewictwo w jacuzzi z jakąś cheerleaderką. Zabierasz mnie na burgery i na piątkowe seanse kinowe w multipleksie. Jesteś wszystkim, z czego się nabijam, esencją małomiasteczkowej ignorancji. A za dwadzieścia lat wciąż będziesz tu siedział i trenował jakąś licealną drużynę tenisa, żeby jeszcze raz przeżyć swoje złote czasy.

Kiedy nastawiali mi złamaną kość w nadgarstku, obudziłem się na stole operacyjnym. To trwało tylko chwilę, bo od razu podkręcili mi znieczulenie ogólne, ale przez te kilka sekund czułem na sobie jasne, gorące światło, widziałem, jak lekarze pochylają się nade mną ze skalpelami ociekającymi krwią, i wydawało mi się, że obudziłem się ze snu w koszmar.

Ale słyszeć te słowa z ust Cassidy – to było gorsze. Bo nie byłem złamany, kiedy godzinę wcześniej wyjeżdżałem z domu z jej dekoracją z białych róż wciąż

zimną od leżenia w lodówce. Ale teraz coś we mnie pękło.

Wpatrywałem się w nią z przerażeniem. Wysunęła zawzięcie brodę, w jej oczach szalał huragan, a ja nie miałem gdzie się przed nim schronić.

– Okej – powiedziałem głucho. – Przepraszam. Po prostu... Przepraszam.

Odwróciłem się i odszedłem.

– Ezra! – zawołała desperacko, jakbym to ja zachowywał się nierozsądnie.

Zatrzymałem się na chwilę i zawahałem, czy nie zawrócić, ale co jeszcze można było powiedzieć? Nic, więc kontynuowałem żałobny marsz w stronę parkingu.

Śmierć związku. Przynajmniej byłem już odpowiednio ubrany na stypę.

Na ekranie telefonu zobaczyłem całą listę nieodebranych połączeń, ale nie miałem siły, żeby cokolwiek z tym zrobić. Zamiast tego pojechałem do domu przez chłodny mrok, mijając rzędy trupio bladych brzoź i obwodnicę otaczającą Eastwood jak pętla szyję wisielca.

Ostro zahamowałem przed niedawno postawionym znakiem stopu. Kwiaty poleciały do przodu i wylądowały na podłodze. Nie podniosłem ich, więc przetaczały się tam i z powrotem przy każdym zakręcie, gniotąc delikatne białe płatki.

– Ezra?! – zawołała mama, kiedy wszedłem.

– No, hej.

Wystarczyło jej jedno spojrzenie, żeby zrozumieć, że wydarzyło się coś okropnego. I że nie chcę o tym rozmawiać.

– Nie poszedłeś na bal, kotku? – spróbowała jeszcze.

– Nie.

Udałem się na górę w towarzystwie zaniepokojonego Coopera i zatrzasnąłem za nami drzwi, odcinając nas od reszty świata. Położyłem się w garniturze na łóżku i zamknąłem oczy.



Właśnie tak będzie wyglądać twój pogrzeb, pomyślałem. Zakopią cię w najlepszym garniturze, tym, który zakładałeś na wesela i pogrzeby, w marynarce, którą w chłodne wieczory zarzucałeś dziewczynom na ramiona, a pralnia chemiczna zdążyła oczyścić ją później ze wszystkich plam.

Nagle poczułem, że nie wytrzymam w tym ani chwili dłużej. To ona wybrała dla mnie ten garnitur. Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze.

Cooper skomlał nerwowo, uderzając ogonem o kołdrę, a ja rozebrałem się do samych bokserek. Wbiłem spojrzenie w wiatrak na suficie, ale jego skrzydła kojarzyły mi się z logo mojego starego bmw, więc odwróciłem się na brzuch i ukryłem twarz w poduszce.

Wtedy usłyszałem ten dźwięk: alarm w telefonie. Ogłoszenie wyników głosowania na króla i królową balu. I nic mnie to nie obchodziło.

Alarm ćwierkał w dwuminutowych interwałach, a ja leżałem w ciemności, rozebrany i rozżalony. Płakałem nad własnym okaleczeniem, nad tym, jak złamały mnie jej słowa, i nad dwoma niewypowiedzianymi słowami, które od pewnego czasu w sobie nosiłem, ale jedno tak szybko zdążyło się zmienić.

– Nienawidzę cię, Cassidy Thorpe – wyszeptalem. – Nienawidzę cię.

W klasie matematycznej u pana Choi na ścianie wisi zegar, który ma sześćdziesiąt dwie sekundy w każdej minucie. Liczyłem wiele razy, zafascynowany tą rozbieżnością, ale nie do końca w nią wierzyłem. To z zegarem było coś nie tak, nie z czasem.

Ale w ten weekend to z czasem stało się coś dziwnego. Płynął boleśnie w agonii rozciągniętych w nieskończoność minut i niezrozumiale straconych godzin. Porzuciłem telefon, opuściłem żaluzje i cały weekend marynowałem się we własnym cierpieniu, aż nadszedł poniedziałek i trzeba było wracać do szkoły. Wymknąłem się z domu z dwudniowym zarostem i niedokończoną pracą domową.

Dziwnie było jechać do szkoły samemu, jakbym o czymś zapomniał. Gapiałem się na imigrantów pracujących na polach truskawkowych przy drodze. Wyginali sobie kręgosłupy nad ostatnimi owocami, a ja pomyślałem, że bardzo chętnie bym się dziś z nimi zamienił. Chciałem czuć, jak słońce parzy mnie w kark, poświęcić się pracy, która zajęłaby mnie na tyle, żeby zepchnąć na dalszy plan to, co się wydarzyło. Ale nie, miałem sprawdzian z matematyki.

Zawaliłem spektakularnie. Jakby mój mózg zupełnie nie był zainteresowany wartością przyspieszenia – jakby zamiast tego chciał nadepnąć hamulec i w ogóle nie przyspieszać. Zwalniać. Nieważne.

Kiedy zadzwonił dzwonek i ruszyłem, żeby oddać test, Anamica posłała mi paskudne spojrzenie ze swojej ławki.

– Proszę, proszę – wycedziła, zatrzasnąwszy pudełko z kalkulatorem mocniej, niż było trzeba. – Patrzcie, król balu przyszedł.

Jestem prawie pewien, że „Eee, co?” to nie jest właściwa odpowiedź na takie powitanie, ale właśnie to powiedziałem.

Anamica westchnęła i wcisnęła mi w rękę egzemplarz szkolnej gazetki. Rzeczywiście na stronie tytułowej widniało zdjęcie z apelu, na którym cała nasza grupka trzyma róże i nikt nie patrzy w obiektyw. Domyślałem się, że chcieli nam zrobić zdjęcie podczas balu, w eleganckich ciuchach, ale pokrzyżowałem im plany.

*Ezra Faulkner i Jill Nakamura ogłoszeni królem i królową balu. Artykuł i zdjęcia: Phoebe Chang.*

– Aha – wydusiłem, nadal w szoku. – Łał. Czyli tak to wyszło, okej.

– Miałeś być ze mną w parze – oznajmiła Anamica oskarżycielskim tonem. – Kiedy kazali wszystkim nominowanym wyjść na scenę, musiałam iść sama, bo mnie wystawiłeś.

– Przepraszam – wymamrotałem.

Nagle Justin Wong klepnął mnie w ramię.

– Joł, Faulkner! Gratulacje! – zawołał, już w połowie drogi do drzwi na korytarz.

– Dzięki – burknąłem. Stałem w miejscu, trochę oszołomiony, podczas gdy jeszcze kilka osób z klasy podeszło, żeby mi pogratulować. Byłem gotów na spędzenie całego poranka ze spuszczoną głową, w chmurze osobistego żalu i w nadziei, że wszyscy zostawią mnie w spokoju. Już wiedziałem, że nie ma sensu na to liczyć.

Tony Masters przeszedł koło nas i szarpnął Anamicę za pasek od plecaka.

– Nie martw się, Anamica, wciąż masz szanse na tytuł królowej kujonów.

Anamica posłała mu nienawistne spojrzenie, jakby o to też mnie obwiniąca. Nagle poczułem, że muszę stąd wyjść. Nie miałem najmniejszej ochoty tłumaczyć, dlaczego nie pojawiłem się na ogłoszeniu wyników, a już na pewno nie zamierzałem tego omawiać z Anamicą Patel.

– Przepraszam – powiedziałem tylko i uciekłem z klasy, schodząc tylnymi schodami, żeby nie musieć wychodzić na podwórze.

Król balu. A kiedy ogłaszali wyniki, ja leżałem z twarzą w poduszce w samych bokserkach i wielkiej kałuży goryczy.

Wydawałoby się, że powinienem był to jakoś wyczuć – że cała szkoła stoi i czeka coraz bardziej zdezorientowana po wywołaniu mojego imienia. Wydawałoby się, że ktoś – Toby, Phoebe, nawet Austin – by do mnie napisał. Ale oczywiście mój telefon wciąż był wyłączony. Obserwowanie, jak wyładowuje mu się bateria, sprawiło mi niepokojąco dużo przyjemności. Od piątku go nie naładowałem.

Nie szedłem w żadne konkretne miejsce, starałem się unikać spotkania z kimkolwiek, więc ostatecznie spędziłem przerwę w samochodzie, żałując, że nie mam odwagi, by po prostu sobie pojechać. Wiedziałem, że ochroniarz przy bramie będzie się czepiał.

Kiedy usłyszałem dzwonek, postanowiłem, że nie wracam na lekcje. Zamiast tego naciągnąłem kaptur na oczy i schowałem się na tyłach biblioteki. Słuchałem swojej starej playlisty Dylana, jeszcze z wakacji, i przypomniałem sobie, jak usłyszałem tę muzykę po raz pierwszy, w poczekalni u doktora Cohena – idealną ścieżkę dźwiękową dla mojego osobistego piekła. Kiedy podniosłem głowę i wyjrzałem przez okno, była już przerwa obiadowa. Na podwórzu roiło się od ludzi, a bibliotekarka gapiała się na mnie, jakby nie była pewna, czy wolno mi tu siedzieć cały dzień.

Wstałem, próbując przygotować się psychicznie na wielką ceremonię wyjścia na podwórze i stawienie czoła całej szkole jako król balu. Wyglądałem koszmarnie: włosy sterczały mi na wszystkie strony i cały weekend się nie goliłem. Pod oczami miałem takie cienie, że wyglądałem jak wygłodzona panda, a przed wyjściem z domu naciągnąłem na siebie koszulkę, która najlepsze czasy zdecydowanie miała już za sobą.

Mój wzrok automatycznie powędrował do stolika Toby'ego: Phoebe mnie zauważyła i pomachała, ale ja się zawahałem. Nie czułem się na siłach. I wtedy napiętą atmosferę podwórza przeciął dudniący głos Evana McMillana:

– Joł, Faulkner! Dawaj do nas tę swoją królewską dupę!

Już wiedziałem, co muszę zrobić. A może od samego początku wiedziałem. Więc skinąłem głową w stronę Evana i podszedłem do nich na oczach całej szkoły, do tego najlepszego stolika pod murkiem oddzielającym duży i mały dziedziniec, jakbym nigdy go nie opuścił.

Przywołałem na twarz sympatyczny grymas i jakoś zniosłem wygłupy drużyny tenisa i niekończące się serie klepania po plecach, czekając, aż ktoś zaproponuje mi miejsce przy zatłoczonym stoliku.

– Trevor, zmiataj – burknął Evan w stronę jednego z trzecioklasistów.

– Odwal się, jestem kontuzjowany – odciął się Trevor.

Rzeczywiście. Jeden z tych powierzchownych urazów, przez które trzeba jedną rozgrywkę czy dwie siedzieć na ławce. Trevor spojrzał na mnie pytająco i sięgnął po kule, ale potrząsnąłem głową.

– Zajmij mi miejsce na chwilę – poprosiłem. – Muszę kupić lunch.

Jednak nie ruszyłem się w stronę kolejki. Po pierwsze nie miałem apetytu, a po drugie nie ufałem sobie, że jeszcze tu wrócę, jeśli teraz odejdę. Ale to było bez znaczenia. Nie wymknąłbym się nawet, gdybym chciał: pół zespołu cheerleaderek się na mnie rzuciło, bo, omójboże, przecież to taaaakie epickie, że zostałem królem balu, i gdzie ja się podziewałem, gdy ogłaszali wyniki?

Wymamrotałem coś o kłótni z Cassidy, a one wszystkie zaczęły tak nade mną gruchać, jakby smutne wydarzenia i słodkie małe pieski zasługiwały na dokładnie tę samą reakcję.

– Nie, w porządku – wymamrotałem. Niezręcznie się czułem w centrum uwagi. – Naprawdę.

Charlotte siedziała na murku, machała w przód i w tył długimi opalonymi

nogami i wszystkiemu się przyglądała.

– Dla pełnej jasności – powiedziała, zeskakując z murku i odrzucając włosy jednym płynnym ruchem – pokłóciliście się czy zerwaliście?

Pozwoliłem sobie powiedzieć to głośno.

– Zerwaliśmy.

– No, najwyższa pora. – Charlotte na ułamek sekundy oparła dłoń na moim ramieniu. – Och, i witamy z powrotem.

„Powrót króla balu”. To kretyńskie zdanie utkwilo mi w głowie i rozbrzmiewało pod czaszką przez całą przerwę obiadową. W końcu Aaron Hersh wstał, żeby ustąpić mi miejsca, a Charlotte poszła po lunch z Emmą Rosen i Jill. Wróciły rozchichotane i wręczyły mi kanapkę z indykiem, butelkę żółtego gatorade i kilka dodatkowych saszetek z musztardą, upierając się, że nie muszę im zwracać pieniędzy.

Kiedy rozpakowywałem kanapkę, zerknąłem w stronę stolika Toby’ego. Czuję się tak, jakby ostatnie sześć tygodni w ogóle nigdy się nie wydarzyło. Cassidy zniknęła, pozostawiając tylko Phoebe i chłopaków – i pustkę pomiędzy nimi na ławkach.

Luke zauważył moje spojrzenie i arogancko zarzucił brodą, jakby chciał mi powiedzieć: „Ty się trzymaj swojego terenu, a ja będę się trzymał swojego”.

– Faulkner? Co powiesz? – Jimmy rzucił we mnie zakreconą frytką, żeby przyciągnąć moją uwagę.

Zdjąłem frytkę z dzinsów i wrzuciłem mu z powrotem do pudełka.

– Smacznego, właśnie leżała mi na kroczu.

Wszyscy się roześmiali. Jimmy wzruszył ramionami i przechylił pudełko, wsypując sobie całą zawartość do ust.

– Nie szkodzi – stwierdził. – To jak, idziesz czy nie?

– Dokąd? – zapytałem.

– Joł, na trening.

Przez chwilę myślałem, że sobie żartuje.

– Ktoś musi dotrzymać Trevowi towarzystwa na ławce – dodał Evan.

Uznałem, że nie ma sensu schodzić do piekła na pół gwizdka, więc powiedziałem, że przyjdę. No i w sumie jaką miałem alternatywę? Mogłem siedzieć w pokoju i udawać, że mama nie nasłuchuje zmartwiona za drzwiami, a obecność Cassidy nie zadrecza mnie z drugiego końca parku.

Kiedy zadzwonił dzwonek, ruszyłem na fizykę. Po drodze minąłem stojak na rowery. Coś mnie podkusiło, żeby sprawdzić, czy nie ma tam czerwonego cannondale'a Cassidy. Ale go nie było. Cassidy Thorpe też nie.

Trevor i ja usiedliśmy na przeciwnych krańcach ławki koło fontanny i przywitaliśmy się skinieniem głowy. Nie znałem go zbyt dobrze. Był w trzeciej klasie. Wydawało mi się, że widziałem go kiedyś w centrum handlowym, kiedy jeszcze Charlotte mnie tam ze sobą wlokła – chyba sprzedawał perfumy Abercrombie & Fitch bez koszulki, ale to nie był zbyt dobry temat do rozmowy, więc nic nie powiedziałem.

Chwilę później przyszła grupka dziewczyn tenisistów. Usiadły niedaleko przy stoliku piknikowym. Rozmawiały między sobą, żadna nie była szczególnie zainteresowana tym, co dzieje się na kortach.

– Hej, Ezra! – zawołała Emma, żartobliwie machając lakierem do paznokci. – Pomalować ci?

– Jasne – odparłem z pełną powagą i usiadłem koło niej, uśmiechając się szeroko.

Przez chwilę myślała, że mówię serio.

– Faulkner! – zawołał Evan z kortu. – Postukałbyś z Trevem parę piłek, co?!

Podniosłem głowę znad swojego stolika dla cudzych dziewczyn.

– Nie mogę! – odkrzyknąłem. – Mam mokre paznokcie!

- Wcale nie! – pisnęła Emma. – Jeszcze nawet nie zaczęłam!
- Nie szkodzi, następnym razem – obiecałem, puszczając do niej oko.
- To, eee, mam iść po rakiety? – spytał Trevor, przestępując z nogi na nogę.
- Dawaj – powiedziałem. No bo czemu nie?

Weszliśmy na kort razem z Evanem i Jimmym, z badziewnymi zapasowymi rakietami, które trener trzymał w szatni. Trevor miał tylko lekko skrzywoną kostkę, więc odrzucił kule i pokicał do linii bliżej siatki. Widziałem, jak gra w juniorach, ale nie spodziewałem się, że dołączy do reprezentacji przed klasą maturalną.

Odłożyłem laskę i wszedłem na kort. I nagle uświadomiłem sobie z pełną siłą, że za tydzień Trevor znowu będzie grał, a ja wciąż będę siedzieć na ławce. Już zawsze będę siedzieć na ławce. Cała ta sytuacja stanowiła jedynie wyrafinowane, okrutne przypomnienie, że już nigdy nie wrócę do tego, co było kiedyś – nieważne, przy którym stoliku siedzę podczas lunchu.

Posłałem Trevorowi kilka łatwych podań, potem parę ostrzejszych. To było cudowne uczucie – znów trzymać rakieta w dłoni. Jakiś tydzień wcześniej zdjąłem opaskę z ręki. Lekarze mieli rację – nadgarstek zagoił się całkowicie. Ale oczywiście nie mogłem tak naprawdę grać – wiedziałem, że już nigdy nie rozegram pełnego meczu – i nie było sensu się oszukiwać.

Niestety trener Anthony przyłapał nas, gdy schodziliśmy z kortu.

- Faulkner – powiedział lodowatym tonem.
  - No, dzień dobry, trenerze – odparłem. Zorientowałem się, że wciąż trzymam laskę w jednej dłoni, a rakieta w drugiej.
  - Jesteś w mojej drużynie, Faulkner? – cisnął trener.
  - Nie, trenerze.
  - No to co robisz na moim korcie?
- Skrzywiłem się.
- Eee – bąknąłem.



– Tylko się wygłupialiśmy, trenerze – wtrącił Trevor, opierając się niezgrabnie na kulach.

– Wygłupialiście? – powtórzył kwaśno trener. – Czy to właśnie nie w ten sposób nabawiłeś się kontuzji, Barnes?

Trevor mruknął, że tak.

– Proszę się trzymać z daleka od moich kortów, panowie – oznajmił trener – dopóki nie będziecie w stanie przebiec trzech okrążeń z rakieta nad głową. Oczywiście najpierw poproszę o demonstrację.

– Tak jest, trenerze – wymamrotaliśmy i powlekliśmy się z powrotem na ławki.

– Trzy okrążenia z rakieta, kurde. – Trevor aż gwizdnął na myśl o tej karze.

Trzy okrążenia z rakieta, pomyślałem. Czego bym nie oddał, żeby móc przebiec chociaż jedno. Ale oczywiście nic nie powiedziałem. Zamiast tego wyciągnąłem się na ławce, jakbym dobrze się bawił, choć tak naprawdę żałowałem, że w ogóle tu przyszedłem.

– Omójboże! – zapiszczała Emma z przerażeniem w głosie. – Co to jest?

Wskazała palcem na odległy kraniec kortów. Przez krzaki otaczające podnóże wzgórz przemykało jakieś duże zwierzę. Jego futro lśniło w słońcu jak miedź.

– Joł, chyba kojot – mruknął zdenerwowany Trevor.

Ale kiedy tylko go zauważyliśmy, krzaki przestały szeleścić. Zwierzę ruszyło z powrotem na wzgórze.

– Dziwne – powiedziałem. – Zwykle nie wyłazą w ciągu dnia.

– Może to wcale nie był kojot – odparła Emma, trochę się ze mną drocząc. – A może po prostu cię szukał.

Kiedy wróciłem ze szkoły do domu, mama przyłapała mnie w drzwiach. Ponoć dzwoniła dwa razy, ale nie odbierałem telefonu.

– Gdzieś ty się podziewał? – Zażądała wyjaśnień, bardziej zaniepokojona niż zła.

– Byłem na tenisie – odparłem, a ona myślała, że żartuję.

– Ezra. – Posłała mi to swoje surowe matczyne spojrzenie.

Cooper, który dotąd drzemał na dywaniku pod zlewem, obudził się i zaskomlał żałośnie.

– Siadaj.

Usiadłem. Podniosłem oczy znad obrusu, jakby to była tortura. Czekałem.

– Zrobiłeś tej dziewczynie dziecko? O to chodzi?

Ze wszystkich rzeczy, jakie spodziewałem się usłyszeć od mamy, to pytanie było tak daleko w kolejce, że czekało na liście rezerwowych.

– Tak, możesz dzwonić po rabina – wymamrotałem, co nie było zbyt grzeczne z mojej strony. – Nie, mammo. Boże.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, aż zmiękła. Wreszcie pojęła, dlaczego cały weekend siedziałem zabarykadowany w pokoju.

– Ezra, kotku – zagruchała. – Dziewczyny zmieniają zdanie. To się zdarza. Bóg jeden wie, że sama dość serc zdążyłam złamać za młodu.

– Mammo, błagam – jęknąłem, kładąc głowę na stole.

– Tylko mówię, kotku. Nie zaszkodziłoby ci, gdybyś wziął prysznic i się ogolił. Możesz być jednocześnie smutny i czysty.

– To rzeczywiście fantastyczna rada – odparłem cierpko.

– Nie tym tonem – ostrzegła, nalewając nam po szklance soku bez cukru. – Jak tam w szkole?

– Wybrali mnie na króla balu – powiedziałem tak, jak przyjaciele Toby'ego zazwyczaj ogłaszali ważne informacje. Lekki uśmiezek, jakby to może jednak nie była prawda, ale jeśli jednak, to byłoby to szalenie zabawne.

– Naprawdę? – Mama uniosła brew.

– Naprawdę.

– No to cudownie – zaświergotała z fałszywą wesołością w głosie. – Ta dziewczyna na pewno teraz pluje sobie w brodę, że dała ci kosza.

Nie miałem siły jej tłumaczyć, że prawda jest zupełnie inna.

We wtorek Cassidy wciąż nie było w szkole. Pani Martin, która najwyraźniej uważała, że jest bardzo przenikliwa, zatrzymała się przy moim nazwisku podczas sprawdzania obecności, i zapytała, czy wiem, gdzie się podziała *señorita* Thorpe. W klasie rozległy się niezręczne śmiechy, a ja wymamrotałem tylko: „*No se, señora*”, marząc, żeby zapaść się pod ziemię.

Po południu miałem fizjoterapię, więc wymyśliłem jakąś kiepską wymówkę, żeby nie iść znowu z chłopakami na kort – wątpię, żeby ktoś mi uwierzył. Pojechałem do centrum medycznego. Po drodze opuściłem szyby w samochodzie.

Pogoda była cudowna. Ciepłe powietrze owiewało mi twarz, a ja przewijałem w głowie dzisiejszą rozmowę przy lunchu: Jimmy oznajmił, że wystające pępki wyglądają jak sutki. Evan śmiał się tak gwałtownie, że puścił sprite’a nosem. To wszystko byłoby szalenie zabawne, jeśliby nie zastanawiać się zbyt długo, bo inaczej robiło się niewiarygodnie dołujące. Tak naprawdę po prostu nie rozumiałem, jak to możliwe, że przebywanie w towarzystwie Evana i Jimmy’ego nagle stało się takie bolesne – przecież byliśmy w jednej drużynie od początku liceum.

Wszyscy trzej byliśmy jedynymi pierwszoklasistami zwerbowanymi do szkolnej reprezentacji tenisa. Ale kiedy siedziałem z nimi przy tym odziedziczonym po starszych rocznikach prestiżowym stoliku, myślałem o pierwszej domówce u starszych kolegów, na jaką nas zaproszono. Wszyscy mieliśmy na sobie nasze drużynowe kurtki, jakby to potwierdzało naszą fajność. Zacząłem się zastanawiać, czy kiedykolwiek mieliśmy ze sobą cokolwiek

wspólnego poza tym, że maturzyści znęcali się nad nami o rok dłużej niż nad resztą chłopaków z drużyny.

Frustrowało mnie wysłuchiwanie rozmów składających się głównie z plotek i nieśmiesznych żartów czyimś kosztem, powstrzymywanie się od sarkastycznych uwag i udawanie, że dobrze się bawię. Czułem się tak, jakbym wyruszył na spotkanie wielkiej przygody, ścigał fajerwerki, znajdował zaginione skarby i tańczył do muzyki, którą tylko ja słyszę, a po powrocie do domu okazało się, że nic się nie zmieniło – tylko ja. Może tak było najlepiej. Mogłem zachować w pamięci tych kilka miesięcy z początku roku szkolnego jako piękną rzecz, która już bezpowrotnie odeszła, zamiast nadal żyć w świecie Cassidy bez niej.

Doktor Levine kazał mi wykonać wszystkie standardowe ćwiczenia, a potem parę serii na orbitreku. Pogadaliśmy chwilę o tym, jak sobie radzę i czy byłem ostatnio u doktora Cohena. Nie wiem, co mnie podkusiło, ale zapytałem, czy mógłbym zrezygnować z laski.

Doktor Levine przez moment przyglądał mi się w zamyśleniu, po czym zerknął na moją kartę.

– Myślę, że moglibyśmy spróbować przez jakiś tydzień i zobaczymy, jak sobie poradzisz – stwierdził. – Pod warunkiem że rozumiesz, że twój obecny zakres ruchowy to absolutne maksimum i nie wolno ci go przekraczać.

Zapewniłem, że rozumiem, a on zaczął mnie dołować długą listą rzeczy, których nie powinienem, nie mogę i w żadnym wypadku nie mogę robić. Na koniec wcisnął mi plik broszurek z informacjami.

Schowałem je do plecaka i wyszedłem na korytarz, myśląc, jak to dobrze, że jednak zachowałem sobie ten głupi klucz od windy. Łazienka, w której zwykle przebierałem się z przepoconych ciuchów po treningu, była nieczynna, więc skorzystałem z tej na końcu korytarza, niedaleko windy w północnym skrzydle.

Po drodze musiałem przejść koło gabinetu doktora Cohena i przez chwilę zawahałem się przed jego drzwiami. Nie byłem u niego od wakacji – szybko się

zorientowałem, co należy mówić, żeby uciec przed cotygodniową traumą terapii traumy. To było dziwne uczucie przechodzić koło drzwi z pełną świadomością tego, dokąd prowadzą i jak beznadziejne było moje życie, kiedy ostatnio do nich zapukałem. Coś w rodzaju fali antytęsknoty.

Drzwi się otworzyły i wyszła przez nie jakaś dziewczyna. Miała na sobie czerwono-żółty strój cheerleaderki z Rancho. Popatrzyliśmy na siebie. Posłała mi zawstydzony uśmiech i ruszyła w stronę schodów.

Nie miałem ochoty wracać do domu, więc ostatecznie przeszedłem przez kładkę i pokręciłem się trochę po kampusie uniwersytetu. Był mniejszy, niż pamiętałem, a dzięki plecakowi i skórzanej kurtce od razu wtopiłem się w tłum studentów. To była prawdziwa ulga – po ostatnich paru dniach wreszcie mogłem się poczuć niewidzialny. W szkole gapienie się na mnie zostało chyba uznane za jakieś zadanie pozalekcyjne, na które zapisali się dosłownie wszyscy.

Kampus przypominał mi o tym dniu, który spędziliśmy tu z Cassidy, udając studentów, ale przecież wiedziałem, że tak się stanie. Przypomniałem sobie, jak zrobiła wianek ze stokrotek nad strumykiem i jak się ze mnie śmiała, że pewnie skończę na jakiejś pobliskiej stanowej uczelni, że w ogóle nie zamierzam wyjeżdżać z hrabstwa Orange. Musiałem przyznać, że miała rację. Nie nadawałem się do tego: do akademika piętnaście kilometrów od domu, do zasypiania przy nieco bardziej odległym dźwięku fajerwerków z Disneylandu.

Może trochę liczyłem na to, że zobaczę Cassidy, jak wychodzi z któregoś z budynków w dzinsach i trampkach, czyli w jej przebraniu zwyczajnej studentki. Wyobrażałem sobie, że podniesie wzrok i w duchu będzie się cieszyła, że ją znalazłem. Że usiądziemy na którejś z tych drewnianych ławek, ona mi powie, że przeprasza, że to wszystko był jakiś wielki błąd. Ale takie rzeczy dzieją się tylko w beznadziejnych filmach.

Ruszyłem do biblioteki. Dziewczyna na recepcji machnęła, żebym wszedł do środka, nie podnosząc oczu znad książki. Nie spodziewałem się, że mnie wpuści,

i nie wiedziałem, co zrobię, kiedy już tam wejść. Ale na ramieniu miałem plecak pełen podręczników, a przede mną rozciągała się całkiem przyjemna strefa do nauki, więc usiadłem na kanapie, założyłem słuchawki i otworzyłem zeszyt z pracą domową. Wybrałem jednak takie siedzenie, z którego widziałem wejście. Po cichu wciąż miałem nadzieję, że w drzwiach zobaczę Cassidy.

Oczywiście nie zobaczyłem. Po jakimś czasie przestałem podnosić głowę za każdym razem, kiedy ktoś otwierał drzwi. Przebywanie w tym miejscu wypełniało mnie niesamowitym spokojem. Mogłem sobie siedzieć nad zadaniami z fizyki, słuchając starego albumu Franka Turnera i popijając zaskakująco dobrą kawę. Kiedy wreszcie skończyłem i ruszyłem do wyjścia, zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście szukałem tu Cassidy, czy może raczej samego siebie.

Nie wiem, czego się spodziewałem, kiedy w środę wślizgnąłem się do klasy na spotkanie kółka debatantów. Na pewno nie tego, że zobaczę tam Cassidy, która zerknie na mnie znad jakiejś grubej książki z nieskończonym smutkiem w oczach.

– Wróciłaś – powiedziałem. To stwierdzenie tylko spotęgowało niezręczną atmosferę między nami.

– Co się stało z twoją laską?

– Już jej nie potrzebuję. – Niezdarnie usiadłem na krześle, udowadniając, że jest zupełnie na odwrót. Rozlałem trochę kawy na naszą wspólną ławkę. – *Sorry* – bąknąłem. Wygrzebałem z plecaka paczkę chusteczek i zacząłem wycierać blat. – Za dużo mi nalali.

Cassidy zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech, jakby próbowała się powstrzymać przed powiedzeniem i zrobieniem miliona rzeczy naraz.

Podniosła książkę, odchylając ją, jakby to była tarcza. Ławka schła powoli między nami, a w powietrzu unosił się ledwie wyczuwalny zapach kawy.

Pani Weng nawet nie zauważyła, że dopiero przyszedłem. Złapało ją przeziębienie, ale zawzięła się, że nie będzie marnować zwolnienia, więc puściła nam jakiś film dokumentalny o historii przemówień publicznych i zgasiła światło.

Cassidy mrużyła oczy, próbując czytać swoją książkę w bladej poświacie ekranu, a ja bezskutecznie próbowałem skoncentrować się na filmie. Powietrze wokół nas aż trzeszczało pod napięciem oskarżenia, którego nie zamierzałem wygłaszać, związku, którego już nie było, i wyjaśnienia, w które chyba żadne z nas tak naprawdę nie wierzyło.

Jeśli rzeczywiście uważała, że jestem taki żaloszny, to chyba powinna się śmiać z naszego zerwania, a nie zachowywać, jakby chciała zniknąć z powierzchni ziemi. Coś się wydarzyło. Coś ważnego. Owszem, wszystko wskazywało na najbardziej banalne wytłumaczenie: Cassidy czasem nosiła męskie ubrania, na tapecie w telefonie miała zdjęcie z chłopakiem, który ponoć był jej bratem, i nigdy nie zapraszała mnie do siebie do domu, jakby należało mnie ukrywać albo trzymać z daleka. Ale mimo to nie potrafiłem w to uwierzyć. Ani trochę.

W ciągu tego tygodnia zmieniłem się w stałego bywalca biblioteki uniwersyteckiej – jeździłem tam codziennie po szkole, żeby odrabiać lekcje. Byłem przyzwyczajony, że moje popołudnia są wypełnione różnymi zajęciami: tenisem, zebraniem samorządu, nawet tymi koszmarnymi zajęciami przygotowawczymi do egzaminów SAT, na które chodziłem z połową uczniów z rozszerzonych przedmiotów na moim roku. A potem doszło kółko debatanckie, a moje popołudnia wypełniły spotkania z Tobym i Cassidy. Teraz przytłaczał mnie ten niespodziewany ocean wolnego czasu. Niemal się cieszyłem, że zapisałem się na tyle rozszerzonych przedmiotów, bo mogłem rozwlekać pracę domową na całe godziny, jeśli chciałem ją odrobić naprawdę dokładnie.

Wiedziałem, że mama się o mnie martwi, bo kiedy w czwartek wróciłem



z biblioteki do domu, zobaczyłem, że oparła laskę o drzwi mojego pokoju. Jakby myślała, że może po prostu o niej zapomniałem, a nie że świadomie postanowiłem przestać z niej korzystać.

Ale było coś pocieszającego w tym bólu, jaki towarzyszył poruszaniu się bez oparcia. Coś w rodzaju poczucia bezpieczeństwa – mogłem się skoncentrować na fizycznym bólu, który stanowił jakąś część mnie, zupełnie niezależną od Cassidy. Myślałem o metalowej płytce w kolanie zastępującej kawałek mnie, którego już nie było, który przestał działać. I to nie było moje serce, powtarzałem sobie. To wcale nie serce.

Kiedy w piątek dołączyłem do Toby'ego i Phoebe przy wózku z kawą, wyglądali na zaskoczonych – i nie do końca szczęśliwych.

– Hej – bąknąłem nieśmiało, stając za nimi w kolejce.

– Och, wolno mi z tobą rozmawiać? – zapytał Toby z fałszywą troską. – Czy może twoi goryłowaci kumple zamkną mnie w szafce na korytarzu?

W odpowiedzi na żart parsknąłem śmiechem. W naszej szkole nie było nawet szafek, bo każdy miał drugi zestaw podręczników do używania w domu.

– Cóż, wyglądasz żałośnie – stwierdził Toby.

– Cassidy i ja się rozstaliśmy – wyjaśniłem. Jakby cała szkoła nie trąbiła o tym od tygodnia.

– Powiedziałem „żałośnie”, a nie „jakbyś miał złamane serce”, ty żłobie – zauważył mój przyjaciel. – No i mogłeś chociaż odpisać mi na esemesy po tym, jak zająłem się twoją nieobecnością w poniedziałek.

A ja się zastanawiałem, jakim cudem mi się upiekło.

– Aha, dzięki – wymamrotałem. – Brak szlabanu był super.

Tak łatwo było wrócić do moich przyjaciół – po prostu staliśmy sobie w kolejce po kawę, a ja poczułem, że tęsknię za nimi jeszcze bardziej, niż sądziłem, że w ogóle da się tęsknić.

– Tak jakby trochę unikałem ostatnio swojego telefonu – wytłumaczyłem, czując się jak frajer.

Phoebe uśmiechnęła się nieśmiało i zaczęła coś mówić, ale zaraz zmieniła zdanie.

– Nie masz laski – powiedziała zamiast tego.

– Wymieniłem ją na kilka magicznych fasolek i dyktaturę w małym kraju na Bliskim Wschodzie.

– To się słabo złożyło, że mamy taki gorący klimat. Magiczne fasolki raczej tu nie urosną – zauważył sucho Toby.

– Tak czułem, że mnie zrobią w konia. – Westchnąłem z udawanym rozczarowaniem.

Phoebe się roześmiała, a Toby zaczął wywód o tym, że jeśli moje magiczne fasolki jednak wypuszczą pędy, to powinienem nakazać wszystkim poddanym chodzić na zgniłki. Staliśmy we trójkę i przerzucaliśmy się coraz bardziej absurdalnymi żartami, a ja od dawna nie czułem się tak szczęśliwy.

– Słuchajcie – zacząłem – chciałem...

– Ezra! Heeej! – zapiszczała Charlotte, przytulając się do mnie w geście demonstrującym intymność, której z całą pewnością między nami nie było, kiedy ostatnio sprawdzałem.

Jill i Emma zmaterializowały się tuż przy niej i cała trójka stanęła przy nas na początku kolejki, jakby wszystkie doskonale wiedziały, co robią i że ujdzie im to na sucho.

– Nie masz nic przeciwko temu, prawda? – spytała słodko Charlotte, wciskając się przed Phoebe, żeby zamówić swoją kawę.

Phoebe spochmurniała i wymamrotała coś w kierunku swoich butów. Toby znacząco odkaszlnął.

– Ezra trzymał nam miejsce, prawda, misiu? – Jill poklepała mnie po ramieniu.

– Jasne, pewnie – odparłem głucho i aż sam się skrzywiłem na dźwięk tych słów.

Toby popatrzył na mnie z obrzydzeniem, a ja wcale mu się nie dziwiłem.

Kiedy wszedłem na zajęcia z debaty, zobaczyłem Cassidy skuloną na swoim krześle. Była w dwóch trzecich powieści, którą czytała w środę. Cicho usiadłem obok i wyjąłem własną książkę. Zerknęła na mnie i westchnęła, odsuwając się na brzeg ławki, jakby sama moja obecność była dla niej odrażająca.

– Poważnie? – wyszeptalem.

– Co? – Cassidy się zmarszczyła, jakby nie zdawała sobie sprawy, co właśnie zrobiła.

– Nagle nie możesz nawet koło mnie siedzieć?

Odłożyła książkę i przyglądała mi się przez chwilę. Nie wiem, czego szukała, ale było jasne, że tego nie znalazła.

– No cóż, przecież nie musimy dalej siedzieć w jednej ławce.

– W porządku – odparłem sztywno i podniosłem się z miejsca.

Przeniosłem się do pustej ławki kilka miejsc dalej, a potem przysłała pani Weng i znów puściła nam ten koszmarny dokument, a Cassidy i ja wlepialiśmy wzrok w swoje książki i co jakiś czas zerkaliśmy na siebie w półmroku rozpraszonym jedynie przez słabe smugi światła zza opuszczonych żaluzji.

Nagle ktoś postukał mnie w ramię, prawie podskoczyłem pod sufit.

– Chodź ze mną – powiedział Toby.

Nawet nie zauważyłem, kiedy wszedł do klasy.

Pani Weng zostawiła nas samych z filmem, więc złapałem plecak i poszedłem za Tobym do Aneksu.

– Nie rób tego – oznajmił, opierając się o biurko na środku pomieszczenia.

Blat był zasypany stertą prac, które właśnie oceniał, a między papierami leżał najbardziej przestarzały iPod świata. Ze słuchawek sączyły się dźwięki brzmiące podejrzenie jak opera.

– Czego mam nie robić? – zapytałem zdezorientowany.

– Znowu mi robisz urwaną głowę! – syknął Toby oskarżycielskim tonem.

– Nie mam pojęcia, o co ci chodzi! – Naprawdę nie wiedziałem. Ale Toby był poważny.

– Serio? – Jego głos ociekał drwiną. – Pamiętasz moje dwunaste urodziny? Tę urwaną głowę, którą złapałem? I jak nagle z dnia na dzień przestaliśmy się przyjaźnić?

– Nazywasz Cassidy urwaną głową?

– Nie, Faulkner. Nazywam cię idiotą. Odpychasz mnie dokładnie tak samo, jak to zrobiłeś w szóstej klasie.

Toby patrzył na mnie ze złością, a ja założyłem ręce na piersi, odwzajemniając jego spojrzenie.

– Jakbyś zapomniał: to ty złapałeś tę głowę – zaprotestowałem. – Ja nie miałem z tym nic wspólnego.

– Nie mówię o tej cholernej głowie, Faulkner! Mówię o tobie. Ja byłem grubym dzieciakiem, który rysował komiksy. Cokolwiek bym zrobił, i tak prześladowaliby mnie w szkole. Zachowujesz się tak, jakby ten dzień w Disneylandzie był moją wielką tragedią, ale to ty straciłeś wtedy najlepszego przyjaciela. To ty zacząłeś jeść lunch z paczką popularnych dupków i zapomniałeś, jak być wspaniałym, bo byłeś zbyt zajęty byciem fajnym. Przecież nadal mogliśmy się spotykać po szkole, gdybyś chciał. Ale ty po prostu o mnie zapomniałeś, bo wszyscy tego od ciebie oczekiwali. A teraz znowu to robisz, i bardzo to nie w porządku z twojej strony.

Wpatrywałem się w Toby'ego z przerażeniem, uświadamiając sobie, że ma rację. Odepchnąłem go od siebie. No dobra, warto pamiętać, że mieliśmy dwanaście lat. Wtedy uważałem za cud to, że wyglądam i uderzam piłkę dość dobrze, by uniknąć piekła dziecięcych prześladowań. Ale naprawdę nigdy w życiu nie przyszło mi do głowy, że nie musiałem tracić wtedy swojego najlepszego przyjaciela. Że miałem wybór.

– Jestem do dupy – stwierdziłem.

– No, trochę tak. Możesz tu wstawić gejowski żart o tym, że lubię, jak coś jest do dupy. – Toby wzruszył ramionami, próbując powstrzymać uśmiech.

– Mógłbym, ale to byłoby trochę sztywne.

– *Touché* – prychnął Toby.

– Przepraszam, że zrobiłem ci urwaną głowę. Po prostu, nie wiem, ta cała afera z Cassidy...

Westchnąłem i zerknąłem w stronę drzwi do klasy pani Weng.

– No, dzięki, że się wtedy odezwałeś. Całą wieczność czekaliśmy na was w Fiesta Palace – dodał zrzędliwie Toby.

– Przepraszam – wymamrotałem. Poczuję się okropnie.

– Jak ona to w ogóle załatwiła? Kazała ci się zatrzymać gdzieś na kawę i złamała ci serce przy stoliku?

– Nie – odparłem gorzko. – To nosiłoby jeszcze jakieś znamiona przyzwoitości. Po prostu kompletnie mnie olała. Znalazłem ją w parku z zamkiem na randce z innym gościem.

Toby upuścił długopis, który obracał w palcach.

– Żartujesz! – Nie dowierzał. – Tuż przed balem?

– A jakie to ma znaczenie? W ogóle nie zamierzała ze mną iść. – Ponuro wzruszyłem ramionami.

– Oczywiście, że zamierzała! – upierał się Toby. – Nawet wysłała mi zdjęcie jakiejś kiecki za pięćset dolarów, żeby się upewnić, czy ci się spodoba. A potem przeczłgała Phoebe po wszystkich obuwniczych w całym Eastwood.

– Poważnie mówisz?

– Słuchaj, Faulkner. Trzymaj się mocno, bo nadchodzą babskie esemesy – oznajmił, wyciągając telefon. – I pamiętaj, że zgodziłem się na to wyłącznie ze względu na naszą wieloletnią przyjaźń.

– Wierzę ci – powiedziałem, ale Toby był zdeterminowany, żeby mi to

udowodnić.

Wlepiłem wzrok w zdjęcie, które wysłała mu Cassidy. Selfie w lustrze jakiejś eleganckiej przymierzalni. Robiła głupią minę i pozowała na bosaka w złotej sukience. W tle dostrzegłem Phoebe próbującą wycofać się z kadru.

– Okej – zaczął ostrożnie Toby, wyciągając mi telefon z palców. – Stary, to był zły pomysł. Nie trzeba było ci tego pokazywać. Ręce ci się trzęsą.

Ale ja prawie go nie słuchałem. Myślałem tylko o tym, że te wiadomości, to zdjęcie – to jest dowód. Cassidy naprawdę zamierzała iść ze mną na bal. I co ważniejsze, to oznaczało, że skłamała tamtej nocy w parku.

– Dobra, powiem ci, co teraz – oznajmił Toby. – Opowiesz mi wszystko od samego początku. Możesz, choć nie musisz, zacząć od wstępu: „Dawno, dawno temu, mój wspaniały najlepszy przyjaciel ostrzegł mnie przed pewną dziewczyną, ale ja nie posłuchałem”.

Chyba oczekiwał, że opowiem mu wszystko, co się działo tamtego wieczora, ale nie wspominałem mu dotąd o tylu rzeczach, że nie mogłem tego tak zrobić. Musiałem się cofnąć o wiele dalej. Więc powiedziałem mu wszystko: jak Cassidy zmusiła mnie do oszustwa na turnieju, jak pocałowaliśmy się w świetle fajerwerków z Disneylandu, jak komunikowaliśmy się latarkami i jakie to wszystko było doskonałe, a potem powtórzyłem mu te paskudne rzeczy, które od niej usłyszałem w wieczór balu: że jestem tylko jakimś małomiasteczkowym żartem i że moim przeznaczeniem jest zostać trenerem drużyny tenisowej, żeby w ten żaloszny sposób zrekompensować sobie własne życiowe porażki.

– To brzmi tak, jakby chciała, żebyś ją znienawidził. – Toby zmarszczył brwi. – Takie nieprawdziwe, ale strasznie krzywdzące słowa, żeby się upewnić, że ktoś już nigdy się do ciebie nie odezwie.

– Ona nie może znieść nawet mojej obecności, a przecież nic nie zrobiłem – jęknąłem desperacko.

– Naprawdę masz nosa do dziewczyn, co? – zażartował Toby.

– Chyba jestem przeklęty.

– Nie powiedziałbym, że to klątwa. – Zamyślił się. – Raczej ponosisz konsekwencje osobistej tragedii.

„Konsekwencje osobistej tragedii”. Spodobało mi się to. Brzmiało odpowiednio ponuro.

– No, pewnie tak. – Westchnąłem. I poczułem, że jestem mu niewypowiedzianie wdzięczny. Za to, że ze mną wytrzymuje. Że wyciągnął mnie z klasy i zmusił do rozmowy o tym, co się stało, mimo że ostatnio zachowywałem się jak dupek. Za to, że jest prawdziwym przyjacielem, a nie tylko kimś, z kim siedzę przy stoliku na dziedzińcu albo gram w jednej drużynie. Bo jeśli ktokolwiek mógł mi pomóc w odkryciu prawdy, to właśnie Toby.

– Słuchaj – powiedziałem. – Wiem, że to brzmi jak obłąd, ale nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jest jakiś ogromny kawałek tej historii, o którym nie mam pojęcia. Muszę się dowiedzieć. Muszę się dowiedzieć całej prawdy o Cassidy Thorpe i potrzebuję twojej pomocy.

Oczywiście, że Toby zamierzał mi pomóc. Toby pomógłby mi we wszystkim, bo właśnie tak to działa, to całe bycie prawdziwym przyjacielem. Gapił się na mnie, jakby nie mógł uwierzyć, że na wpół spodziewałem się odmowy. I pomyślałem: Toby, Phoebe, Austin – oni odwiedziliby mnie w szpitalu, zamiast wysyłać jakąś dumną kartkę. Oni nie ciągnęliby mnie na trening tenisa i nie zmuszali do odbijania piłek tylko po to, żeby wygrać jakiś kretyński zakład.

Tamtej nocy w parku Cassidy desperacko próbowała wcisnąć mi koszmarnie kłamstwo, ale co do jednego nie miała racji. Wiedziałem, że to nie ja będę wciąż tu siedzieć za dwadzieścia lat, trenując szkolną drużynę w smętnej próbie ponownego przeżywania dni swojej chwały – nie ja, tylko Evan.



Kiedy wróciłem do domu, mama już na mnie czekała z dwiema gigantycznymi halloweenowymi dyniami i zestawem noży do drążenia i wycinania. Zdecydowanie łądziła się, że uznam to za świetną zabawę.

– Pomyślałam, że przyda ci się odrobina rozrywki – powiedziała, wskazując na kuchenny stół pokryty co najmniej dziesięcioma warstwami starych gazet i wyrzutów sumienia.

Więc usiadłem i zaczęliśmy razem wycinać uśmiechnięte twarze z dyni, aż byłem prawie pewny, że w najbliższej przyszłości mama nie będzie mnie zmuszać do udziału w żadnych rozweselających zajęciach.

– Zapisałam cię na wizytę u doktora Cohena – oznajmiła, ustawiając nasze skończone dyniowe latarnie przed drzwiami wejściowymi.

Przestałem się bawić elektryczną latarenką i wlepiłem w nią przerażony wzrok, uświadamiając sobie, że od samego początku miała ten punkt programu w planach. Dynie stanowiły jedynie pierwszy przystanek na wycieczce do krainy poczucia winy.

– Mamo, nie.

Cooper na chwilę przerwał uważne badanie dyniowych latarni, by zastanowić się, co mnie tak zdenerwowało.

– Jedna wizyta – odparła stanowczo mama. – Dobrze wiesz, że musisz się zameldować raz na jakiś czas. Mógłbyś mi podać tę latarenkę?

Skrzywiłem się i podałem jej lampkę, którą wciąż obracałem w dłoniach.

– Nie muszę iść do terapeuty.

Mama westchnęła. Poprawiła dynię. Dała mi jasno do zrozumienia, że nie

będzie o tym ze mną dyskutować przed wejściem do domu, bo niech Bóg broni, jeszcze nas sąsiedzi podsłuchają. W końcu zamknęła drzwi i ściągnęła usta w ciup, niezadowolona z mojej postawy.

– Wszystko w porządku – upierałem się. – Dziewczyna mnie rzuciła, to wszystko.

– Nie zamierzam z tobą dyskutować – ucięła. – Przykro mi, kotku, ale twój ojciec i ja mamy to samo zdanie. Zapisałam cię na wizytę na środę po szkole.

– A co, jeśli nie skaczę z radości na myśl o tym, że mam tam jechać i rozmawiać z jakimś lekarzem o swoim życiu osobistym? – zapytałem.

Wiedziałem, że zachowuję się jak dupek, ale nic mnie to nie obchodziło. Nie mogła wymuszać na mnie takich rzeczy. Nie mogła oczekiwać, że wrócę do tego gabinetu, w którym ostatni raz doktor Cohen widział mnie o kulach, z grzechoczącym w kieszeni słoiczkiem leków przeciwbólowych, kiedy dopiero zaczynało do mnie docierać, że nie mam szans na stypendium sportowe na studiach. A teraz miałbym mu streścić wszystkie te rzeczy, których nigdy nie zrozumie, opowiadać o Cassidy, Tobym i o swoich dawnych znajomych. Omawiać z nim swoje życie, jakby to była fabuła jakiejś powieści, którą czytałem, ale nie do końca rozumiałem.

– Możesz strzelać fochy, ile ci się podoba – ostrzegła mama – ale jeśli nie pójdziesz na tę wizytę, masz miesiąc szlabanu na samochód. Nawet na dojazdy do szkoły. Wiesz, ja bardzo chętnie będę cię podwozić.

– Wspaniale – mruknąłem, odchodząc do kuchni, żeby móc nienawistnie pogapić się na szafki z jedzeniem, bo oczywiście nie kupiła żadnych słodyczy na Halloween. Przynajmniej w naszym domu nie groziło mi cierpienie z powodu *kummerspeck*, czyli przybrania na wadze z powodu zajadania smutków.

W sobotę wieczorem Luke organizował kolejny pokaz Latającego Kina, jakiś maraton klasyków filmów grozy, ale oczywiście nie byłem zaproszony. Toby

upierał się, że powinienem przyjść mimo to, nie uważałem jednak, żeby zostało to dobrze przyjęte. W końcu wylądowałem na wielkiej halloweenowej imprezie u Jill, z której do samego końca zamierzałem się wymigać.

Chciałem zostać w domu, bo raczej nie miałem ostatnio zbyt wiele energii. Ale przekonałem się, że nie jestem w stanie spędzić Halloween na przyglądaniu się, jak moja mama wręcza małe paczuszki z rodzynkami rozczarowanym dzieciom pukającym do naszych drzwi w nadziei na słodycze. Tata tymczasem pisał w swoim gabinecie jakiś ważny dokument i wzdychał głośno za każdym razem, kiedy rozlegał się dzwonek do drzwi. Więc ruszyłem do domu Jill, zatrzymując się po drodze w sklepie, żeby kupić plastikowe kły i brokat do ciała. To było dość żałosne i nie spodziewałem się, że ktokolwiek na imprezie załapie ironię, ale nic więcej nie dałem rady zorganizować na ostatnią chwilę.

Jill mieszkała na jednym ze starszych osiedli nad jeziorem, na którym większość domów zakupiono ze względu na lokalizację, a potem kompletnie przebudowano. Na tyłach jej domu znajdowała się prywatna przystań, gdzie rodzice trzymali żaglówkę. Jill organizowała imprezę halloweenową co roku i zawsze dekorowała żaglówkę na statek widmo, z pajęczynami, czarną flagą i kadłubem po brzegi wypełnionym piwem.

W zeszłym roku cała drużyna tenisa przyszła przebrana w togi z prześcieradeł. Wypiliśmy tak dużo, że wciąż byłem nietrzeźwy, kiedy obudziłem się następnego dnia – nie wiedziałem, że coś takiego jest w ogóle możliwe.

Kiedy dotarłem na miejsce, impreza trwała już w najlepsze. Wszystkie dziewczyny miały na sobie kostiumy składające się głównie z bielizny i butów na obcasach – nie, żebym narzekał. Drużyna futbolowa przejęła podobno kega w salonie i kilku chłopaków próbowało pić piwo przez papierową maskę Hillary Clinton, stojąc na kegu na rękach. To było tak dziwaczne, że musiało być prawdziwe, zwłaszcza że brał w tym udział Connor MacLeary. W kuchni minąłem dwie dziewczyny w takich samych kostiumach Dorotki z Krainy Oz

w roli striptizerki, wydzierające się na siebie. Ich przyjaciółka próbowała je rozdzielić, krzycząc:

– Dziewczyny, spokój! Zachowujecie się, jakbyście przyszły w takiej samej kiece na studniówkę!

Próbując się nie roześmiać, otworzyłem siatkowe drzwi i wyszedłem na podwórko. Niestety zaczynałem odnosić wrażenie, że trochę za późno dotarłem na imprezę. Kilkoro drugoklasistów, których chyba raczej nikt nie zapraszał, już rzygało w krzakach, a po trawniku walały się plastikowe kubeczki.

– Ezra! – zapiszczała Charlotte, rzucając się na mnie. Trochę się chwiała na szpilkach. Chyba była przebrana za jakąś księżniczkę Disneya, chociaż nie pamiętałem, która z nich w wolnych chwilach tańczyła na rurze. – Przyszedłeś!

– Oczywiście – odparłem. – Jak mógłbym przegapić imprezę z pirackim statkiem pełnym piwa?

– Czemu nie jesteś przebrany? – zapytała.

Nie byłem pewien, czy się ze mną drażni, czy mówi poważnie.

– Jestem wampirem – oznajmiłem, wkładając do ust plastikowe kły.

– Hmmm. – Charlotte przyglądała mi się przez chwilę. – Bez kłów jest bardziej realistycznie. Chodź.

Z chichotem zaciągnęła mnie do stołu piknikowego, wokół którego tłoczyli się nasi wspólni znajomi. Chyba nie trafiłem w temat imprezy. Wszystkie dziewczyny były przebrane za seksowne księżniczki Disneya, a chłopaki mieli twarze pomalowane na zombie. Ich miny były bardzo przekonujące, bo wszystkim zwisały luźno szczęki na widok niemal półnagich dziewczyn.

– Stary, jesteś! – krzyknął uradowany Jimmy, rozlewając na wszystkie strony piwo z plastikowego kubka. Jakby wydawało mu się, że jestem duszą towarzystwa, a może po prostu zawsze na imprezach był zbyt pijany, żeby sobie uświadomić, że nią nie jestem.

Impreza powoli pogrążała się w chaosie wypełnionym rzeczami, które po

pijaku wydają się dobrym pomysłem, ale w poniedziałek stanowią temat plotek i powód moralniaka. Po dłuższej chwili intensywnego flirtu Trevor i Jill odeszli na bok, żeby się sobą zająć, ale Trevor ponoć zwymiotował w trakcie. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość – po rycersku ominął jej buty. A mówią, że nie ma już na świecie prawdziwych dżentelmenów. Evan i Charlotte pokłócili się o nic. Skończyło się tak, że Charlotte usiadła w kółku wkurzonych księżniczek Disneya i posyłała Evanowi spojrzenia pełne jadu. On w tym czasie włamał się do barku z alkoholem i wypił pół butelki whiskey, choć Jill wrzeszczała na niego, że rodzice ją zabiją, gdy się zorientują.

Byłem pewien, że to tylko kwestia czasu, aż przyjedzie policja i zamknie całą imprezę, a ja nie miałem ochoty tutaj być, kiedy to nastąpi. Zostawiłem niedokończone piwo i plastikowe wampirze kły na stole i zastanawiałem się, jak przeskoczyć nad pierwszakiem, który leżał pijany do nieprzytomności w drzwiach wejściowych, kiedy dopadła mnie Charlotte.

– Wychodzisz? – zapytała.

Nie wiem, czemu to powiedziałem, może dlatego, że byłem zmęczony siedzeniem i patrzeniem na rozjeżdżającą się w szwach imprezę, ale wzruszyłem ramionami i odparłem:

– No tak. Wiesz, tu jest beznadziejnie.

– To prawda – zgodziła się. – Ale w poniedziałek nikt nie będzie o tym pamiętał.

– Wszyscy będą pamiętać tylko piracki statek wypełniony piwem.

– I że Ezra Faulkner przyszedł bez przebrania – droczyła się ze mną.

– Spadaj, jestem wampirem! – upierałem się.

– Naprawdę? – Charlotte uśmiechnęła się szeroko, podchodząc bliżej. – Powinam się bać?

Posłała mi powłóczyście spojrzenie spod rzęs, a ja zdałem sobie sprawę, że rozmowa weszła na grząski grunt, że jesteśmy na jednej z tych imprez, na których

nigdy nie dzieje się nic dobrego, i że ona jest nie do końca ubrana, a ja cały pokryty brokatem.

– No to wesołego Halloween, Char – bąknąłem, niezręcznie przechodząc nad nieprzytomnym dzieciakiem w drzwiach.

– Ezra, czekaj – poprosiła. – Zanim pójdziesz, możemy porozmawiać?

Powiedziałem „okej” i poszedłem z nią do pralni. Charlotte usiadła na suszarce, a ja na pralce. Patrzyłem, jak przygląda się resztkom swojego manicure’u.

– Tęsknię za nami – powiedziała, wciąż wpatrując się w swoje paznokcie.

Tego się nie spodziewałem. Aż mnie odrzuciło.

– Charlotte, jesteś pijana – zauważyłem. – I spotykasz się z Evanem.

– Znowu się pokłóciliśmy – oznajmiła. – A ty i ja tak dobrze do siebie pasowaliśmy, Ezra. Żałuję, że w ogóle zerwaliśmy.

Położyła mi dłoń na kolanie. Z zaskoczeniem odnotowałem, że mówi poważnie.

– No, ale zerwaliśmy – stwierdziłem rzeczowo.

– Wiem. Ale, wiesz, moglibyśmy do siebie wrócić.

Ścisnęła mnie za kolano i odchyliła głowę, oczekując, że ją pocałuję. Przez chwilę pozwoliłem sobie na fantazję, jak by to wyglądało. Smak jej ust, łagodny łuk pleców, piersi w tak oczywisty sposób wylewające się ze złotego stanika. A potem wyobraziłem sobie, że drzwi się otwierają i widzi nas Evan. Tylko że to nie Evan, to ja pięć miesięcy temu na innej imprezie, bo to zawsze tak wyglądało z Charlotte – wszystko było spontaniczne i bez znaczenia.

– Nie – uciałem, zdejmując jej dłoń ze swojej nogi. – Nie możemy. To nie jest dobry pomysł.

Wargi Charlotte drżały przez chwilę. Szybko jednak wzięła się w garść, a ja nie byłem pewien, czy mi się tylko nie przywidziało.

– Dlaczego nie? – spytała. – Nie masz dziewczyny, a Evanowi przecież by przeszło. No wiesz, nigdy nie wspominasz, jak się przytulaliśmy u mnie na kanapie po szkole? Jak piekłam ciasteczka, a ty się bałeś, że się przypalą, kiedy będziemy się całować? Albo jak pojechaliśmy na festyn, a ty dałeś mi dziesięć dolarów i powiedziałeś, że mam ci wygrać misia na loterii? Albo jak poszliśmy na podwójną randkę z Jimmym i tą dziewczyną z pierwszej klasy, która rozlała sobie colę na kolana podczas filmu i do samego końca nie mogliśmy się uspokoić ze śmiechu?

Owszem, pamiętałem wszystkie te rzeczy i nie mogłem powstrzymać uśmiechu na ich wspomnienie. Wydawały mi się częścią mojego dzieciństwa... jakby wydarzyły się wieki temu.

– Widzisz, uśmiechasz się – zauważyła Charlotte. – Wiem, myślisz, że jestem pijana, ale wypłam tylko cztery piwa, więc nie jest ze mną tak źle. No i to co innego. Pamiętasz, jak w zeszłym roku byliśmy na plaży i poprosiłeś mnie, żebym była twoją dziewczyną, a w poniedziałek cała szkoła nam zazdrościła? Moglibyśmy znowu być tą parą. Nie szkodzi, że przez dwie sekundy byłeś w tym kółku dyskutantów i że umawiałeś się z tą zarozumiałą rudą. Serio, zupełnie mi to nie przeszkadza. Możemy udawać, że tych pięciu miesięcy w ogóle nie było.

Charlotte przestała trąkotać na dostatecznie długo, żebym mógł się odezwać. Posłała mi błagalne spojrzenie.

– Moglibyśmy – powiedziałem łagodnie – ale nie chcę.

– Przepraszam, czy ty właśnie dałeś mi kosza? – Zmrużyła oczy z niedowierzaniem.

Problem z Charlotte polegał na tym, że wymieniła tylko te dobre rzeczy, jakie między nami zaszły. Zastanawiałem się, czy naprawdę zapomniała, jak dręczyła mnie swoimi humorami, kiedy jeszcze się spotykaliśmy, jak kłóciła się ze mną o najmniejsze drobiazgi. Jak przed swoimi urodzinami i przed Gwiazdką dała mi

listy zakupów, a i tak jakimś cudem nie podobało jej się to, co ode mnie dostała. Jak nigdy nie pozwalała mi wybrać filmu, jak pozmieniała mi ustawienia w radiu w samochodzie, bo słuchałem „jakiegoś depresyjnego hipsterskiego badziewia”. Jak w jej esemesach zawsze była po oczach koszmarna ortografia i jak dostawała szału, gdy nie odpisywałem dostatecznie szybko. Jak zawsze zmuszała mnie do bycia kierowcą na imprezach, nawet dla jej znajomych, i jak zawsze ściągała pracę domową z hiszpańskiego od Jill, bo ja nie chciałem jej dać swojej.

Przez moment zastanawiałem się, czy po prostu nie powiedzieć Charlotte, że jest samolubną, krótkowzroczną dziewczyną, która sądzi, że świat kręci się wokół niej, bo jest ładna, i że nie mam ochoty być w pobliżu, kiedy zorientuje się, że wygląda to inaczej. Ale oczywiście nie mogłem tego powiedzieć. Przy niej nie potrafiłem wykrzesać z siebie zbyt wielu rzeczy wartych powiedzenia na głos.

– Słuchaj, Char, świetna z ciebie dziewczyna – oznajmiłem zamiast tego. – Wiesz o tym. Ale nie chcesz się ze mną spotykać. Nie jesteśmy nawet odrobinę kompatybilni. Jestem trochę nerdem. Kuleję, mam beznadziejny samochód i nienawidzę tego miejsca tak bardzo, że jeżdżę do biblioteki na uniwersytet i udaję, że już się stąd wyprowadziłem.

– Jak możesz nienawidzić Eastwood? Przecież to miejsce jest idealne.

– Ty widzisz perfekcję, ja widzę panoptikon.

– Boże, dlaczego musisz używać takich trudnych słów? – fuknęła zniecierpliwiona.

– Przepraszam. – Westchnąłem, zdając sobie sprawę, że Charlotte to taka dziewczyna, która złości się, słysząc nieznaną słowo, zamiast zapytać, co ono oznacza.

– Czasami jesteś naprawdę dziwny – powiedziała oskarżycielskim tonem. – Tak jak dzisiaj: wszyscy przebrali się za zombie, a ty wyglądasz tak. Serio, nie chcesz być jak inni?

– Niespecjalnie – odparłem. Naprawdę chciałem, żeby wreszcie pojęła, jak



bardzo się zmieniłem i jak mało o mnie wie.

Charlotte zastanawiała się nad tym przez chwilę, po czym na jej ustach zatańczył przebiegły uśmiezek.

– Bardzo zabawne – oznajmiła i rzuciła się na mnie.

– Charlotte! – Odsunąłem ją od siebie i wstałem. – Powiedziałem „nie”.

– Skąd miałam wiedzieć, że mówisz poważnie? – Nagle wyglądała na śmiertelnie obrażoną. – Nie możesz iść ze mną porozmawiać na osobności na imprezie, a potem nic.

– Och. Nie sądziłem... – Skrzywiłem się. Wreszcie do mnie dotarło: ona myślała, że ja też chcę być z nią sam na sam.

– Ty nigdy nic nie sądzisz. – Westchnęła z irytacją. – Czasami straszny z ciebie palant, i chyba nawet tego nie widzisz. Kiedyś myślałam, że robisz to specjalnie, więc flirtowałam z innymi chłopakami, żebyś był zazdrosny.

Zaśmiałem się głucho.

– Tak na to mówisz? Flirtowanie z innymi chłopakami. No, czyli coś źle zrozumiałem. Na tej imprezie u Jonasa też tylko flirtowałaś i niepotrzebnie się uniosłem?

– Owszem, trzeba było zachować się jak mężczyzna i załatwić sprawę w poniedziałek, a przedtem zabrać mnie na połowinki, jak wszyscy się spodziewali – prychnęła wściekle.

– Na połowinki? – Chyba się przesłyszałem. – Charlotte, czy ty wiesz, gdzie ja byłem podczas połowinek? Leżałem w szpitalu i zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś będę mógł chodzić. I raczej oboje wiemy, jak tam trafiłem.

Na chwilę zapadło głębokie milczenie. Chyba mieliśmy nadzieję, że jakaś napruta para wtoczy się przez drzwi i nam przeszkodzi, ratując nas przed tą nieprzyjemną ciszą, ale nic takiego się nie wydarzyło.

– Skoro oboje wiemy, to dlaczego mam wrażenie, że mnie obwiniasz? – zapierała się Charlotte. – Nawet mnie tam nie było.

– Nie, nie było cię tam – zgodziłem się. – Służby ratunkowe znalazły mnie zupełnie samego. A ty mnie tak po prostu zostawiłaś. Zostawiłaś mnie.

Charlotte zbladła. Nie potrafiła spojrzeć mi w twarz.

– Byliśmy pijani – powiedziała defensywnym tonem. – Nie miał kto mnie podwieźć, a wszyscy krzyczeli, że przez ten wypadek zaraz przyjadą gliny. A ja się strasznie boję krwi i pewnie bym zemdlą.

– Wystarczyłoby „przepraszam” – uciałem. – Słuchaj, jest późno i chyba powiedzieliśmy sobie wszystko, co było do powiedzenia. Może pójdziesz poszukać Evana czy coś?

– Ale nie wygadasz mu, co ci powiedziałam? – zapytała nerwowo. – Bo chodzi o to, że ja bym go rzuciła, tylko jeśli...

– Nie, Charlotte, nic mu nie powiem – odparłem sucho. – Błona dziewicza twojej wierności jest wciąż nietknięta. Drogocenny klejnot twojej reputacji pozostał nieskalany.

Wyszedłem z imprezy Jill, myśląc sobie, że czasami nie warto potwierdzać tego, co już wiemy o ludziach, których tak dobrze rozumiemy. Bo Charlotte wcale nie chciała mnie. Ona chciała jakąś wyobrażoną, fikcyjną wersję chłopaka, z którym kiedyś się spotykała, ale który nigdy nie interesował jej jako prawdziwa osoba. I może ten fikcyjny Ezra rzeczywiście by do niej wrócił i spróbował zapomnieć ostatnie pięć miesięcy. Może nawet zdołalby sobie wmówić, że jest szczęśliwszy, że koniec końców on i ona nie są koszmarnymi ludźmi, że mogą po prostu wrócić do wspaniałych czasów popularności i beztroski i że wcale nie trzeba brać odpowiedzialności za krzywdę, którą wyrządzili innym, i można po prostu wierzyć sobie w kłamstwa, dzięki którym będą szczęśliwi.

Ale to nieważne, co zrobiliby wyimaginowany Ezra żyjący w głowie Charlotte, bo on nie istniał, a już na pewno nie był mną. Ja pojechałem do domu, mijając obrzucone jankami znaki stopu i owinięte papierem toaletowym pnie topoli. Potem wywabiłem Coopera z kuchni, gdzie leżał na dywaniku i wciąż

miął pretensje, że nie wolno mu było się bawić z dziećmi pukającymi do drzwi po słodycze, i padłem razem z nim na łóżko. Nawet nie zmyłem z siebie tego kretyńskiego brokatu.

W niedzielę wieczorem Cooper dziwnie się zachowywał. Wyglądał na zaniepokojonego, siedział z przekrzywioną głową, jakby nasłuchiwał czegoś tuż za mozaikowymi brzegami naszego pokrytego liśćmi basenu.

– Wszystko w porządku, piesku – zapewniłem, z roztargnieniem klepiąc go po głowie. Siedziałem przy biurku i przeglądałem katalogi różnych uczelni.

Roilo się w nich od obrazów świata, który mi o niej przypominał – miejsc pełnych nieskończonych możliwości i prawie pewnej przygody. Przez chwilę pozwoliłem sobie marzyć, jak by to było pojechać na wschód, gdzie jesienią liście zmieniają kolor na złoty, a potem dachy budynków przykrywa śnieg, gdzie biblioteki wyglądają jak zamki, a aule wydają się żywcem wyjęte z filmów o Harrym Potterze. Ale wszystkie broszurki zaczęły zlewać mi się w jedną i tę samą obietnicę Nowej Anglii, a ja pojąłem, że jest wielka różnica pomiędzy decyzją o wyjeździe a decyzją, gdzie jechać.

Kojoty znów wróciły do Eastwood, a Cooper w jakiś sposób to wyczuł. Przez weekend sąsiadom zniknęły dwa koty, ktoś widział kojota na osiedlu Terrace Bluffs. Nagłówek w lokalnej gazecie sugerował, że zwierzęta „terroryzują” nasze miasto – jakby ulice zapełniały nocne wilki przemykające w cieniu i polujące na emerytów i niepełnosprawnych.

W niektórych miejscach jest dużo włamań, w innych kradną felgi, a u nas grasowały kojoty. Nikt nie był szczególnie zaskoczony, gdy czasem zniknęło małe zwierzę, a kiedy trenowałem na kortach po zmroku, zdarzało mi się dostrzec jakiś kształt migający między krzakami. Niekiedy staw z rybkami koi u sąsiadów

pustoszał przez noc albo jakiś biegacz widział, jak kojot obserwuje go z brzegu ścieżki, ale nikt nigdy nie został przez nie zaatakowany czy zabity. To był absurdalny pomysł, jak coś rodem z powieści pełnych czarownic i wampirów.

A jednak w poniedziałek zobaczyliśmy vana straży dla zwierząt zaparkowanego przed boiskiem futbolowym. Stał tam przez cały tydzień, a my z okien klas przyglądaliśmy się, jak strażnicy przeczesują ścieżki i krzaki wokół.

Znów siedziałem przy stoliku Toby'ego i nikt nie komentował za bardzo mojego zniknięcia i powrotu. Austin podniósł głowę znad iPada na dość długo, żeby odgarnąć grzywkę z oczu, oznajmić, że już najwyższy czas, i spytać, czy widziałem nową konsolę na Nintendo.

– Nie, ale słyszałeś, że wypuścili ośmiobitową wersję *Wielkiego Gatsby'ego*? – odparłem.

– Zmyślasz. – Austin zaczął wściekle wystukiwać zapytanie w Google.

Zerknąłem w stronę swojego dawnego stolika. Jimmy wyciągnął z kieszeni rolkę mentosów i odgrażał się, że wrzuci je Emmie do butelki z colą. Evan ryknął śmiechem, a Trevor zaczął skandować: „Zrób to! Zrób to!”. Jak można było przewidzieć, Jimmy nie dał się długo prosić. Chłopcy odsunęli się ze śmiechem, a z butelki Emmy wystrzelił gejzer piany.

– Oo kurde – wymamrotali uradowani.

Dziewczyny stały wściekle i ociekające colą, a eksplozja osłabła do małego strumyczka. Chodnik pod ich stolikiem był cały mokry, a Charlotte aż się lepiała – miała na sobie kostium drużyny cheerleaderek, teraz ciemny od coli. Evan podniósł głowę i zauważył, że się im przyglądam. Zrobił ruch brodą, dając znać, że bym się przyłączył, ale tylko potrząsnąłem głową.

– Emma go zabije – stwierdziłem, odłamując Phoebe kawałek ciastka.

– Ich związek właśnie eksplodował – odparła Phoebe i w spóźnionym odruchu klepnęła mnie karcąco w dłoń.

– Dziesięć punktów dla Chang – oznajmił Toby.

– Jimmy powinien zatrzymać tę butelkę jako *mementos mori* – powiedziałem z uśmiechem, a przy stoliku zapadła kompletna cisza. – Czaicie? – spytałem. – „Mentos” jak „memento”...

– Czaimy – zapewnił Toby. – Jezu, Faulkner. To była poezja? Po łacinie?

– To było pięćdziesiąt punktów – odciąłem się. – Chyba że ktoś mnie przebiję.

– Dostęp do ciastka został aktywowany – obwieściła Phoebe, oferując mi kolejny kawałek.

– Stary! – Austin spojrzał na mnie znad iPada. – Naprawdę jest ośmiobitowy *Gatsby*! Dlaczego tak się na mnie gapicie? Coś mnie ominęło?

Straż dla zwierząt odpuściła sobie poszukiwania w środę, a wychowawcy rozdali wszystkim ulotki z instrukcją bezpieczeństwa, która osiągała apogeum w idiotycznych pytaniach prawda–fałsz na temat ataków kojotów. Przewróciłem oczami i odłożyłem zadrukowaną stronę do dołu. Nie obchodziło mnie, że czytaliśmy tekst na wrywki. Wiedziałem, że nikt nie ośmieli się mnie wywołać.

Moja szkoła była bardzo zaangażowana w recykling. Zajęło mi chwilę, zanim rozpoznałem, co jest wydrukowane na drugiej stronie naszych ulotek *Strzeż się kojotów!* – to były stare ulotki z zeszłorocznej hawajskiej imprezy, razem ze słabo skserowanym zdjęciem całego samorządu uczniowskiego w przeciwsłonecznych okularach i łańcuchach z kwiatów na szyjach. Kiedy popatrzyłem na kartkę pod światło, zdjęcie przenikało na drugą stronę, wywołując niepokojące wrażenie, że widnieją na nim ofiary ataków kojotów – jakbyśmy byli bohaterami jakiejś historii z morałem.

Kiedy po południu jechałem do przychodni, słońce zaczynało już zachodzić. Złote pasy światła przebijały się przez drzewa magnolii rozdzielające rzędy miejsc parkingowych. W tym świetle liście wyglądały na sztuczne, jakby zrobiono je z wosku. Cassidy byłaby zachwycona.

Pchnąłem drzwi skrzydła północnego 322: Cohen i Ford, Przychodnia Zdrowia Psychicznego. Byłem nieco za wcześnie. Recepcjonistko-pielęgniarka uśmiechnęła się do mnie obojętnie i zapytała, u którego lekarza mam wizytę i czy jestem nowym pacjentem. Powiedziałem jej, że u doktora Cohena i że byłem u niego wcześniej. Wystukała coś na najstarszym działającym komputerze, jaki w życiu widziałem, i powiedziała, że moje ubezpieczenie zdrowotne jest w porządku i żebym sobie usiadł i się zrelaksował.

Zauważyłem, że jedyne miejsca, w których ludzie mówią ci, żebyś się zrelaksował, to najmniej relaksujące miejsca świata. Samoloty, gabinety dentystyczne, poczekalnie u psychiatry, te małe odgródzone zasłonką pomieszczenia w szpitalu, gdzie trzymają cię pod kroplówką. No, nieważne. Siedziałem, czekałem i myślałem o tym, jak bardzo jestem niezrelaksowany.

Całe pomieszczenie – naprawdę całe – udekorowano tak, że przypominało świąteczną bombonierkę. Wszędzie było pełno niezobowiązujących wyznaniowo bałwanów i śnieżynek, a pod ścianami wisiały girlandy ogromnych biało-czerwonych cukierkowych lasek z plastiku. Całość wyglądała koszmarne. Do tego w poczekalni siedziała starsza pani w sari, z wyrazem twarzy mówiącym „czekam na swoje dziecko”, kartkująca rozpadający się kolorowy magazyn.

Kobieta odkaszlnęła i poprawiła się na krześle, a cukierkowa girlanda rozpięta za jej plecami zagrzechotała. Ze ściany opadła chmurka brokatu – nie miałem dość szczęścia, żeby jej uniknąć. Skrzywiłem się i spróbowałem otrzepać brokat z ramion, ale bez rezultatu.

Recepcjonistka wytknęła głowę z przedsionka i oznajmiła, że doktor Cohen ma około dwudziestu minut opóźnienia. Westchnąłem i włożyłem słuchawki, po czym wyjąłem z plecaka kilka podań na uczelnie, nad którymi zacząłem pracować. Pani z gazetką okazała się dość wścibska. Nie minęło nawet pięć minut, zanim pękła i zagadnęła:

– To podania na studia?

Skinąłem głową.

– A gdzie składasz papiery? – zapytała bez zażenowania.

– Ee, to jest na Duke – odparłem – a to drugie na Dartmouth.

– No to chyba zdolny z ciebie chłopiec. – Powiedziała to takim tonem, jakbym miał trzy lata. To nie zabrzmiało zbyt pocieszająco.

– Niespecjalnie. – Wzruszyłem ramionami. – Ale warto spróbować.

– Moja córka dostała stypendium ministra – oznajmiła, jakby miało to coś wspólnego z naszą rozmową.

– To super. – Zacząłem bawić się słuchawkami w nadziei, że kobieta straci zainteresowanie.

Ledwie zdążyłem wrócić do swoich podań, kiedy otworzyły się drzwi do gabinetu doktora Forda. Podniosłem wzrok, spodziewając się, że wyjdzie z niego córka mojej wścibskiej sąsiadki, która pewnie będzie próbowała nas sobie przedstawić, ale zobaczyłem kogoś innego.

Z gabinetu wyszła Cassidy Thorpe. Coś w jej przygarbionych ramionach sugerowało, że to nie pierwsza i nie ostatnia wizyta. Oczy miała lekko zaczerwienione, jakby płakała, a biały sweter zsunął się jej z piegowatego ramienia. W rękach trzymała płaszcz, pasek dyndał tuż nad ziemią.

Na mój widok zbladła. Przygryzła wargę. Wyglądała, jakby chciała rozpląnąć się w powietrzu.

Wpatrywaliśmy się w siebie przez chwilę, koszmarnie zawstydzeni, bo poczekalnia w przychodni zdrowia psychicznego to nie najlepsze miejsce na spotkanie z byłą, zwłaszcza kiedy wszędzie wokół wiszą tysiące pokrytych brokatem plastikowych cukierków. Nie miałem pojęcia, co tu robi, ale - zamierzałem się dowiedzieć, choćby miał mnie szlag trafić.

– Hej – powiedziałem, zdejmując słuchawki.

Papiery, które trzymałem na kolanach, zsunęły się na podłogę. Oboje popatrzyliśmy na nie tak, jakbym bezmyślnie stłukł wazon w cudzym



mieszkaniu.

– Co ty tu robisz?

– Sprzedaję ciasteczka na cele charytatywne – odparłem z powagą.

Żadne z nas się nie zaśmiało.

– Nie, serio.

– No wiesz, miałem taki wypadek. – Wciąż starałem się obrócić sytuację w żart. – Więc teraz muszę się męczyć z przekonywaniem lekarzy, że nie chodzi za mną depresja kliniczna. Nie chodzi, łapiesz ironię?

– Przestań – ucięła Cassidy, jakbym jeszcze pogorszył jej nastrój. To było dziwne, bo dawniej zawsze śmiała się z takich głupich kalamburów.

Przyklękła i pozbierała moje papiery. Wymamrotałem „dziękuję” i schowałem je do plecaka.

– Przy okazji: nie spodobałoby ci się w Dartmouth – powiedziała.

– Łał, serio? O tym chcesz teraz ze mną rozmawiać? – wypaliłem bez chwili zastanowienia. Moje sarkastyczne słowa zawisły między nami w powietrzu, a ja natychmiast zapragnąłem je połknąć z powrotem.

– Okej, do zobaczenia w szkole – rzuciła Cassidy, zbierając się do wyjścia, ale ja nie zamierzałem tego tak zostawić.

– Mowy nie ma – oznajmiłem, wstając. – Nie chcesz siedzieć ze mną w ławce, spoko. Zamierzasz tkwić naburmuszona w bibliotece, proszę bardzo. Ale teraz wpadłaś na mnie tutaj, więc chcę, żebyś mi powiedziała, co jest grane.

Miałem gdzieś, że kobieta w sari szpiegowała nas zza rozłożonego magazynu. Nie obchodziło mnie nawet to, że jestem cały upačkany brokatem. Chciałem tylko, żeby mi choć raz zaufała, żeby mi powiedziała, co zamieniło nasz gładko płynący naprzód związek w kompletną katastrofę.

– Daj sobie spokój, Ezra. – Cassidy popatrzyła na mnie błagalnie, ale te słowa zabrzmiały dla mnie bardziej jak ostrzeżenie niż prośba.

I to mnie rozwścieczyło.

– To mnie zmuś.

– A jak myślisz, co cały czas próbuję zrobić? – odparła ze zniecierpliwieniem.

Ostatnio często miała taki wyraz twarzy, pełen smutku, który krył się tam o wiele wcześniej, na długo zanim zaczęliśmy się spotykać. I miałem już dość rozmyślania, skąd się wziął.

– Pojęcia nie mam. Jak najbardziej mi dosrać?

– Przepraszam bardzo... – Recepcjonistka znów wetknęła głowę do poczekalni. – Czy jest jakiś problem?

– Wszystko w porządku – odparliśmy jednocześnie, choć żadne z nas nie brzmiało ani odrobinę w porządku.

– Korytarz? – zaproponowałem.

Cassidy posłała mi wściekłe spojrzenie, ale poszła za mną.

– Co? – zapytała ostro, kiedy zamknęliśmy za sobą drzwi.

– Często tu bywasz? – Starąłem się powstrzymać uśmiech, tak kretyńsko to zabrzmiało.

– Nie twoja sprawa – odcięła się. Zdecydowanie nie dostrzegła w moim pytaniu nic zabawnego.

Dobrze, skoro tak chciała grać, to proszę bardzo. Bo ja miałem już powyżej dziurek w nosie tej zabawy w kotka i myszkę, czy co to było – tej przepastnej, nieprzekraczalnej pustyni żalu między nami.

– Oczywiście, że nie. Ale wiesz, co mi się wydaje? – zapytałem. – Myślę, że tamtej nocy w parku byłaś sama. Że ten twój „chłopak” nie istnieje.

Już od jakiegoś czasu po cichu skłaniałem się ku tej teorii i choć nie zamierzałem jej o to oskarżać, natychmiast stwierdziłem, że miałem rację.

– Po co miałabym zmyślać coś takiego? – odparła ostro Cassidy, unikając odpowiedzi.

– A zmyśliłaś? – Nie odpuszczałem.

– Jakie to ma znaczenie, Ezra? Zerwaliśmy ze sobą. Nie wszystkie miłe rzeczy mają szczęśliwe zakończenie.

– Po prostu staram się zrozumieć, czym sobie zasłużyłem na takie traktowanie. Poważnie, Cassidy, co za tragedia się wydarzyła, że nagle żałujesz, że w ogóle się poznaliśmy?

Wbiła wzrok w dywan. Odgarnęła włosy za uszy. Uśmiechnęła się smutno.

– Życie jest tragedią – stwierdziła gorzko. – Wiesz, jak się kategoryzuje sztuki Szekspira, nie? Jeśli kończy się weselem, to jest komedia. A jeśli pogrzebem, to tragedia. Więc wszyscy żyjemy w tragedii, bo wszyscy skończymy tak samo, wcale nie na żadnym zaszranym weselu.

– No, dziękuję bardzo za wyjaśnienie. To pięknie tłumaczy całą sprawę. Wszyscy jesteśmy więźniami. Nie, czekaj: wszyscy żyjemy w jednej wielkiej tragedii i tylko czekamy na własne pogrzeby.

Cassidy skrzywiła się na moje słowa, ale nic mnie to nie obchodziło. Byłem wściekły, że tu jest, że tak żałośnie wygląda, że odmawia odpowiedzi.

– Nikt nie umarł, Cassidy – powiedziałem szorstko. – Nie potrafię stwierdzić, czy jesteś rąbnięta, czy uzależniona od kłamania, czy może po prostu lubisz krzywdzić ludzi. Ciągłe mówisz zagadkami i cytatami, nie chcesz mi dać normalnego wytłumaczenia i mam już dość czekania, aż zrozumiesz, że jesteś mi to winna.

Nie zamierzałem tak wybuchnąć i nie mówiłem szczególnie cicho, kiedy wygłaszałem tę tyradę. Cassidy przez dłuższą chwilę wpatrywała się w dywan. Kiedy podniosła wzrok, w jej oczach szalał tropikalny huragan. Po policzkach spłynęły dwie łzy.

– Nic ci nie jestem winna – zaszlochała. – I masz rację, żałuję, że w ogóle się spotkaliśmy.

Wyminęła mnie i pobiegła po schodach, wiedząc, że tamtą drogą nie będę

mógł ruszyć za nią.

– Tak, ja też żałuję! – krzyknąłem. To nie była prawda, ale nic mnie to nie obchodziło.

W odpowiedzi usłyszałem tylko trzask drzwi na klatce schodowej.

Wziąłem głęboki oddech, przeczesałem włosy palcami i zebrałem się do kupy akurat na dostatecznie długi czas, żeby wrócić do recepcji i spokojnie powiedzieć pani za biurkiem, że chyba będzie najlepiej, jeśli przełożę wizytę.

Po tym, jak znów widziano kojota na szlaku za parkiem Meadowbridge, moi rodzice nie mówili już o niczym innym. Kojoty przebiły nawet problem, czy złożyć reklamację nowej lampy w gościnnej łazience na parterze, bo okazało się, że ma małą skazę na szkle.

Moi znajomi się z tego śmiali, szczególnie Phoebe rozsmakowała się w paradoksie – cytuję – „głębokiej ironii, że nasza szkolna maskotka, która powinna być symbolem dumy, zmieniła się w symbol kolektywnego strachu”.

Kilku chłopaków z drużyny tenisa przy moim dawnym stoliku znalazło sobie nowe hobby – wycie jak wilki. Connor MacLeary został za to zawieszony na dwa dni, co wydało nam się szalenie zabawne – szkoła dosłownie zmusiła go do nieobecności na lekcjach.

W ten weekend odbywał się turniej debaty w Santa Barbara, ale ja oczywiście się nie wybierałem. Zapisy były tydzień temu, kiedy wszyscy byliśmy opętani myślą o balu maturalnym, a poza tym Cassidy nie chciała jechać. Nie namawiałem jej, bo pomyślałem, że po prostu spędzimy weekend razem. Ale Toby powiedział mi, że – co ciekawe – na liście uczestników tym razem była dawna szkoła Cassidy, Barrows. Domyślałem się, że Cassidy o tym wiedziała, kiedy zasugerowała, żebyśmy tym razem sobie odpuścili – to jej unikanie pewnych rzeczy stanowiło kolejny element tej tajemniczej układanki, która doprowadzała mnie już do szału.

Toby poszedł na całość – w piątek przyszedł do szkoły w garniturze i paradował po dziedzińcu z fioletową poszetką na piersi i w krawacie w pawie pióra. Nawet Luke i Sam potulnie dosiedli się do nas podczas lunchu. Obaj mieli

przypinki z amerykańską flagą w klapach marynarek. To było dziwne – siedzieć tak w szóstkę, jakbyśmy stanowili dwie grupy, które nigdy nie tworzyły całości. I dziwnie było myśleć, że to Cassidy była spoiwem, które nas łączyło.

– Dalej tu jesteś, Faulkner? – Luke uśmiechnął się szyderczo.

– Dalej próbujesz udawać Dracona Malfoya? – odgryzłem się.

Wszyscy przy stoliku prychnęli, nawet Sam miał problem z zachowaniem powagi. Luke wymamrotał coś pod nosem i pociągnął Sama do kolejki po śniadanie.

– To trochę smutne, jak się nad tym zastanowić – skwitował Austin.

– Co jest smutne? – zapytałem, spodziewając się, że chodzi mu o jakąś grę wideo.

– Że nikt nigdy nie zaprasza nigdzie Luke’a, bo jego brat jest gliną. Stary, on to traktuje tak strasznie osobiście.

– Łał. Proszę, mógłbyś częściej zachowywać się jak żywy człowiek? – poprosiła Phoebe.

– Niby po co? I tak w życiu nie wbiję na liderbordy. – Austin filozoficznie wzruszył ramionami, wyjął telefon z kieszeni garnituru i wrócił do gry.

– No, Faulkner – zagadnął Toby. – Mam zapytać tych z Barrowsa o coś konkretnego, gdy ich zobaczę na turnieju?

– Chyba o zeszły rok – zasugerowałem. – Może spróbuj się dowiedzieć, co się stało.

– Cóż, skoro tego chcesz. – Toby włożył ciemne okulary i odchylił się w stronę słońca. – Znasz ją lepiej niż ktokolwiek inny.

Nie miałem ochoty mówić Toby’emu, że zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle kiedykolwiek ją znałem. I że nieważne, czego zdoła się dowiedzieć, to i tak w niczym nie pomoże. Bo po tym, co się stało w przychodni, nie byłem pewien, czy warto tu cokolwiek naprawiać. I nie wiedziałem, czy istnieje jakakolwiek odpowiedź, która przekonałaby mnie, żeby jednak spróbować.

W kółko oglądałem tę scenę w pamięci: jak oczy Cassidy wypełniają się łzami, a ona oznajmia, że żałuje, że mnie poznała. Jak jej włosy powiewają za nią, kiedy odbiega ode mnie, pewna, że nie będę jej gonić. To głupie kłamstwo, które za nią wykrzykuję.

Tak doskonale do siebie pasowaliśmy, a potem nagle zaczęliśmy gnić jak jakiś trup, którego nikt nie pogrzebał na czas. Gdzieś kiedyś czytałem, że włosy i paznokcie wcale nie rosną dalej, kiedy umieramy – to tylko tak wygląda, bo skóra się kurczy, kiedy ciało powoli wysycha. Więc nawet po śmierci można kłamać, można oszukiwać zza grobu. Zastanawiałem się, czy właśnie to się teraz z nami dzieje. Czy nie gapię się po prostu na gnijącego trupa mojego związku z Cassidy, przekonany, że wciąż tli się w nim iskierka życia, bo desperacko czepiam się tego ignoranckiego złudzenia.

Po południu patrzyłem, jak moi przyjaciele wsiadają do szkolnego vana z walizkami pełnymi bagietek, alkoholu i żelków z sokiem. Wróciłem do domu i zacząłem grać w jakąś głupią grę na konsoli, ale wyłączyłem dźwięk, żeby nie przegapić telefonu od Toby'ego.

Mamie chyba zrobiło się mnie żal, bo w sobotę pozwoliła mi spać do późna. Ostatecznie wstałem koło południa, kiedy uznałem, że skoro już jestem w temacie monogamicznych związków, małżeństwo z moim łóżkiem to wcale nie najgorsza opcja.

Ponieważ wszyscy moi znajomi byli w Santa Barbara, znów wylądowałem w bibliotece, gdzie bez przekonania dłużyłem w podaniach na studia, ale większość czasu spędzałem na obsesyjnym sprawdzaniu telefonu.

Nie było sensu zawracać Toby'emu głowy, bo cały dzień miał debaty. Żałowałem, że nie pojechałem razem z nimi na turniej. Myślałem o Austinie z jego niekończącym się pokazem śmiesznych filmików na YouTube, Phoebe szmuglującej oldskulowe słodczyce („efekt tęsknoty gwarantowany”), nawet o Samie, jak podwija rękawy i robi wszystkim oszałamiająco mocne drinki.

I o Tobym, jak paraduje w garniturze z lumpeksu i z uporem powtarza wszystkim, że mają się do niego zwracać: „O, kapitanie, mój kapitanie”.

Niedaleko mnie siedziały jakieś dziewczyny i głośno rozmawiały, więc włożyłem słuchawki. I przez to mało nie przegapiłem dzwoniącego telefonu.

– No? – powiedziałem, odbierając pospiesznie.

– Stary, ale impreza cię ominęła! – Toby brzmiał, jakby był na ostrym kofeinowym haju. Co najmniej dwie puszki red bulla temu ktoś powinien był go powstrzymać. – Ach! Faulkner! Straszna szkoda, że nie pojechałeś z nami! Wszyscy żałują, że cię tu nie ma. Z wyjątkiem Luke’a, bo wczoraj tak się nawalił, że zesikał się do łóżka.

– O jakiej ilości sików mówimy? – dopytałem, zbierając swoje rzeczy.

Dziewczyny obok posłały mi dziwne spojrzenie, i w sumie miały do tego prawo.

– Gdyby jego łóżko było zatoką, o takim wycieku oleju mówiliby w wiadomościach.

– Jesteś fenomenalnym przyjacielem. Dziękuję, że mi o tym powiedziałeś – oznajmiłem, wychodząc przez bramkę. Skinąłem głową do dziewczyny, która zawsze puszczała mnie bez pytania o kartę biblioteczną.

Na dworze było szaro, nie tyle za sprawą chmur, ile mgły. To się czasami zdarzało. Gigantyczny cumulus połykał całe Eastwood i przez dzień albo dwa wszyscy mieszkali w brzuchu ogromnej chmury, a widoczność nie przekraczała nawet półtora metra.

Toby w nieskończoność rozciągał historię o upokorzeniu Luke’a, a ja słuchałem, jak śmieje się z tego, że Luke nie tylko nasikał do łóżka – on nasikał do łóżka w pokoju innej drużyny. Kilka razy roześmiałem się do towarzystwa, bo wiedziałem, że tak wypada, ale zaczynałem odnosić wrażenie, że Toby czegoś mi nie mówi.

– Jest aż tak źle? – wypaliłem.



Toby zamilkł. Znaliliśmy się zbyt dobrze – wiedziałem, co oznacza ta cisza. To było coś poważnego.

– Rozmawiałem dziś z paroma osobami z drużyny Barrowsa – powiedział, siląc się na nonszalancki ton.

– I?

– Stary, siedzisz?

– Chłopie, po prostu mi powiedz!

– Chryste, przecież próbuję! – sapnął Toby. – Okej. No, słyszałeś o bracie Cassidy?

– Sześć lat starszy? Wielki mistrz debaty? Studia medyczne na Yale? – potwierdziłem, zastanawiając się, co takiego wie o nim Toby, czego nie wiem ja.

Toby westchnął. Jego oddech zatrzeszczał w słuchawce.

– Brat Cassidy nie żyje.

– Co? – wydusiłem. Nie wiem, jakich informacji spodziewałem się od Toby'ego, ale na pewno nie takich.

– Zmarł w zeszłym roku – ciągnął Toby. – Wtedy Cassidy rzuciła szkołę... I debatowanie.

Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby Toby mówił takim tonem jak wtedy. Brzmiał, jakby nie tylko było mu przykro, ale jakby się wstydził, że był za ostry dla Cassidy, że źle ją ocenił, że wyciągnął najgorsze możliwe wnioski. Wielka tajemnica legendarnej Cassidy Thorpe nie była historią, którą ktokolwiek miałby ochotę opowiadać.

– Jak umarł? – zapytałem, przerywając milczenie.

– Chyba jakaś choroba serca. To było bardzo nagłe. W gazecie studenckiej na jego wydziale pojawił się cały artykuł na ten temat. To... aj, czekaj.

Usłyszałem jakąś szamotaninę, po czym Toby znów się odezwał.

– *Sorry* – powiedział. – Słuchaj, muszę teraz iść na wręczenie nagród, pani

Weng właśnie prowadzi mnie tam siłą. Ale mogę pisać eseme... Żartuję, pani Weng...

– Okej, leć – wtrąciłem. – Nie szkodzi, wpadnę do ciebie później.

Rozłączyłem się i przez chwilę wpatrywałem w ekran telefonu. Na wyświetlaczu lśniły cyferki pokazujące czas rozmowy – tyle czasu zajęło Toby’emu zburzenie wszystkiego, co myślałem, że wiem o Cassidy Thorpe. Teraz rozumiałem, o co jej chodziło z tymi wywodami o uciekaniu z panoptikonu. Tak naprawdę mówiła o wszystkim, tylko nie o tym, że jej brat już zdążył to zrobić.

Tego wieczora wróciłem do domu z dziwnym wrażeniem, że w tym, co zaszło między mną a Cassidy, wcale nie chodziło o nas. Chodziło o jej brata. O jego nagłą śmierć, przez którą porzuciła szkołę i wróciła na ostatni rok liceum do domu. Jakby szukała jakiegoś miejsca, do którego mogłaby uciec przed faktem, że to się wydarzyło, albo może po prostu się z tym pogodzić.

W jednej chwili wyjaśniło się mnóstwo zagadek otaczających Cassidy Thorpe. Męskie ubrania, które czasami nosiła. Dom, do którego nie chciała wracać. Zatrokana kobieta rozmawiająca z nią na stronie podczas turnieju. Desperacka intryga zapewniająca jej przegraną.

Wiedziałem, jak to jest, kiedy ludzie gapią się na ciebie z litością. Jak to jest, kiedy każdy wodzi za tobą wzrokiem na korytarzu, jakbyś byłznaczony tragedią i już nie pasował do reszty. I rozumiałem, dlaczego ona chciała przed tym uciec. Dlaczego nikomu nie powiedziała o śmierci brata. Dlaczego wybrała miasto, w którym prawie nikogo nie znała, i chłopaka, który wiedział, jak to jest być złamanym.

Wtem uświadomiłem sobie, jak niewybaczalnie paskudnie zachowałem się w poczekalni u psychiatry. „Nikt nie umarł”, powiedziałem. Nie mógłbym wymyślić bardziej koszmarnej odzywki, nawet gdybym chciał.

A potem dotarło do mnie: nie chodziło o to, że Cassidy nie chciała się ze mną spotykać, ona po prostu nie chciała mi o tym opowiadać. Ale teraz wiedziałem. Rozumiałem już, dlaczego czasami wydawała się tak głęboko zasmucona, dlaczego tak błagała, żebym po prostu odpuścił.

Wszystko zaczęło się tego wieczora tuż przed bale maturalnym. Wcześniej

zachowywała się w porządku. Nawet w piątek, kiedy pani Martin kazała nam zaplanować wymarzone wakacje. Cassidy się zapędziła i zaczęła mi opowiadać o jakimś artystycznym hotelu, w którym goście śpią w trumnach. W sumie to było dość koszmarnie.

– Ale gdybyśmy tam pojechali, nie moglibyśmy spać w jednym łóżku – zaprotestowałem. – W jednej trumnie. Nieważne.

– Och, coś byśmy wymyślili – zapewniła Cassidy i położyła mi dłoń na nodze, mimo że właśnie siedzieliśmy na lekcji hiszpańskiego.

Dopiero następnego dnia wszystko szlag trafił.

Więc mamy Cassidy po południu tuż przed bale maturalnym. Może zaczęła już się szykować. Pomalowała sobie paznokcie, czy co tam dziewczyny zwykle robią. Odcięła metki od sukienki. Złapała za telefon, kiedy wysłałem jej ten żart o hawajskich kwiatach. A potem coś jej się przypomniało. Rocznicą śmierci jej brata? Nie, za wcześnie. A może o czymś zapomniała. Jego urodziny? Jakaś ich wspólna tradycja? I nagle bal przestał mieć znaczenie, nic się już nie liczyło poza tym, że jego nie ma, a ona nie może uciec przed jego śmiercią, cokolwiek by zrobiła.

Więc poszła do parku, bo Cassidy lubiła parki, bo właśnie tam się udawała, kiedy należało coś powiedzieć albo dobrze przemyśleć, i to tam ją znalazłem. Zrobiło się ciemno, a ona nawet nie zauważyła, a potem było już za późno, żeby wyjawić całą prawdę, którą tak długo ukrywała przed wszystkimi. Nie przewidziała, że zbliży się do kogokolwiek w Eastwood, a teraz byłem ja, więc musiała coś wymyślić, żeby zmusić mnie do odejścia.

A zatem skłamała. Oczywiście, że skłamała. Przyłapałem ją niespodziewanie, więc nie miała czasu wymyślić nic bardziej przekonującego. Dlatego wyprodukowała historyjkę o chłopaku, który do niej przyjechał, i stwierdziła, że byłem dla niej tylko chwilową rozrywką. Zainspirowała się historią, którą sam jej opowiedziałem, o tym, jak rozstałem się z Charlotte. Nie spodziewała się, jaki to

będzie dla mnie cios. Próbowała to odkręcić – zmieniła zdanie – ale ja już odchodziłem. A kiedy w końcu zebrała się na odwagę, żeby wrócić do szkoły, nie była w stanie nawet spojrzeć mi w oczy.

Przewijałem ten scenariusz w kółko w głowie, jadąc do domu wzdłuż idealnie przyszyżonych pól golfowych między Eastwood a Back Bay ciągnących się w nieskończoność na tle różowiejącego nieba. Jeśli dobrze to rozumiałem, Cassidy odepchnęła mnie, bo to było łatwiejsze niż opowiadanie mi o stracie brata, a ona nie miała już dokąd uciekać. Jeśli dobrze to rozumiałem, tamtej nocy w parku nie mieliśmy się rozstać, i teraz oboje przez to cierpieliśmy.

Kiedy wróciłem do domu, ojciec zatrzymał mnie na korytarzu.

– Chodź tu na chwilę, młody – powiedział, prowadząc mnie do swojego gabinetu z kumpelskim uśmiechem.

Zsunąłem plecak z ramion i usiadłem na kanapie. Z kuchni płynął zapach obiadu – coś podejrzanie przypominającego włoskie jedzenie, co przecież nie mogło być prawdą.

– Mama robi lasagne? – zapytałem z nadzieją, podczas gdy ojciec przeskakiwał między tabelkami w Excelu.

– Bezglutenowe. – Obrócił się na krześle w moją stronę, składając palce w piramidkę.

– Może będą lepiej smakować – podsunąłem. Jakimś cudem udało mi się zachować powagę.

– Krok pierwszy: lasagne; krok drugi: pizza – oznajmił ojciec, puszczając do mnie oko. A potem założył nogę na nogę i przeszedł do konkretów. – Słyszałem, że jesteś ostatnio zajęty.

– Podania na studia – wyjaśniłem. – Lepiej mi idzie, gdy wypełniam je w bibliotece.

Powiedział, że cieszy się, że proaktywnie podchodzę do swojej przyszłości,

a ja kiwałem głową i słuchałem, jak nawija bez końca o starych dobrych czasach, kiedy był przewodniczącym stowarzyszenia studentów Sigma Alfa Ipsilon. Gdy skończył, spojrzał na mnie rozpromieniony, chyba czekając na potwierdzenie, że zamierzam iść w jego ślady, jak to zawsze planowaliśmy. Ale ja nic takiego nie powiedziałem.

Zamiast tego oznajmiłem, że rozważam wyjazd na wschód Stanów. Wymieniłem całą listę uczelni, których broszurki trzymałem upchnięte w szufladzie biurka. Przy kilku szkołach brwi ojca powędrowały wysoko do góry, ale nie mogłem mieć do niego pretensji. Wspomniałem o historii, angielskim, chemii. Powiedziałem też, że stać mnie na więcej niż stanowy college i że chciałbym chociaż spróbować.

– No, jestem zaskoczony – powiedział ojciec, przyglądając mi się uważnie. – Bardzo dorosłeś w tym roku, młody. Musiałeś, i przykro mi, że tak się stało. Ale cieszę się, że masz jakiś plan.

– Czyli nie masz z tym problemu? – Chciałem się upewnić, choć jeszcze nie śmiałem w to wierzyć.

– Nie zamierzam się wypowiadać w imieniu twojej matki – uśmiechnął się cierpko – ale ja uważam, że wyszłoby ci to na dobre. No i oczywiście moje stare stowarzyszenie studenckie ma oddziały na większości uczelni.

Roześmiałem się. Chyba po raz pierwszy rozbawił mnie jeden z jego pseudożartów. A kiedy mama zawołała nas na obiad i pękając z dumy, stanęła nad talerzem lasagne (które smakowały tylko trochę jak zdrowe jedzenie), wreszcie mieliśmy inny temat do rozmowy przy stole niż instalacje oświetleniowe.

Po obiedzie pojechałem do Toby'ego.

– Hej – powiedział, prowadząc mnie do swojego pokoju. Miał na nosie okulary i był w spodniach od pizamy, co przypomniało mi o czasach naszego

dzieciństwa, kiedy nocami przemykaliśmy się po domu, zamiast grzecznie spać.

Podał mi stary kontroler do Nintendo N64, ten przezroczysty, o który zawsze się biliśmy, i bez pytania nastawił grę. To była jakaś retro wersja Mario, którą dostał ode mnie na urodziny w podstawówce – wtedy to był najnowszy szal. Usiedliśmy i zaczęliśmy grać, jak to robiliśmy setki razy, zaliczając wszystkie sekretne poziomy i całą resztę, ale tym razem było jakoś inaczej.

– Chcesz zobaczyć ten artykuł? – zapytał w końcu.

Powiedziałem, że tak, a on wyświetlił go na komputerze.

I rzeczywiście, Owen Alexander Thorpe. Ukończył Barrows School z najwyższym wynikiem w swojej klasie, poszedł na Princeton, a potem na studia medyczne na Yale. Zmarł nagle w wieku dwudziestu trzech lat w wyniku niespodziewanego zatrzymania czynności serca spowodowanego chorobą zakrzepowo-zatorową. Spędziłem w szpitalu dość czasu, żeby zorientować się, co to oznaczało: Owen umarł, bo pękło mu serce.

Do artykułu dołączono zdjęcie: jakąś obciachową fotkę z wakacji na pół ekranu. W tle było widać wieżę Eiffla, chodnik lśnił od deszczu, jacyś przechodnie chowali się pod parasolkami. Owen uśmiechał się z lekkim zażenowaniem, blond włosy wpadały mu do oczu o tej samej barwie co u Cassidy, tym szczególnym odcieniem niebieskiego, który zdecydowanie był u nich rodzinny. Wokół szyi miał przewiązany szalik, a ramieniem obejmował kogoś wyciętego ze zdjęcia. Dostrzegłem fragment płaszcza, kawałek torby na zakupy. To musiało być zdjęcie z tej samej serii co na tapecie w telefonie Cassidy.

Muszę przyznać Toby’emu, że naprawdę długo pozwolił mi siedzieć i gapić się w ekran komputera. Dopiero kiedy w oknach sąsiadów zapaliły się lampy i do pokoju wpadł strumień światła, podniosłem głowę i przypomniałem sobie, gdzie jestem.

Sąsiedzi po drugiej stronie ulicy zainstalowali już świąteczne dekoracje

z lampek. Obaj wyjrzelismy przez okno i z przerazeniem wlepilismy wzrok w pare koszmarnych, trzyipolmetrowych dmuchanych balwanow, ktore pojawily sie zupełnie znikad i staly po dwuch stronach neonowej stajenki. Ktos wlasz na dach i ulozyl napis z dziesiatek sznurow lampek: „100 LAT, JEZUSKU”, migajacy na czerwono i zielono.

– Jeszcze nawet nie bylo Swieta Dziekczynienia – jeknalem.

– Mogliby sie przynajmniej wysilic i napisac normalnie „sto lat” – zwroutil uwage Toby, zaciagajac zaluzje. – No to co zamierzasz z tym zrobic?

Westchnalem i przeczesalem wlosy palcami.

– Ee – baknalem. – Zapukaac do jej drzwi z bukietem kwiatow w dloni?

To brzmialo zalośnie, nawet zanim powiedzialem to glósno. Jakbym wręczal jej jakis spozniony wieniec pogrzebowy.

– Tak? – zapytal Toby z powatpiowaniem.

– Aj, nie wiem. – Westchnalem smętnie. – Sluchaj, ja ja kocham. Kochalem, niewazne. I jesli moge naprawic ten balagan miedzy nami... bo tak szczerze, to strasznie za nia tesknie, i myslę, ze ona za mna tez. Wiece jesli da sie cokolwiek z tym zrobic, to pojde tam i zapukam do tych cholernych drzwi.

– Ale my rozmawiamy o Cassidy. – Toby podniosl brew, starajac sie oddac pelna powage tej sytuacji. – Nazwala cie przebrzmialym, malomiasteczkowym, prowincjonalnym frajerem.

– Tak, pamietam – odparlem sucho. Mialem nadzieje, ze Toby mowi to w jakimś konkretnym celu, a nie tylko dla wlasnej satysfakcji.

– A ty chcesz sie pojawic przed jej domem z kwiatami?

Skrzywillem sie, natychmiast pojmujac, o co mu chodzi.

– Okej, to nie byl dobry pomysl – wymamrotalem.

– Potrzebujesz kosiarki i boomboksa – zasugerowal Toby. – Albo TARDIS. Moglbyś jej zbudowac TARDIS, a potem powiedziec, zeby wyruszyła z toba na



spotkanie przygody.

Wiedziałem, że Toby nie mówi poważnie, ale przynajmniej ostatnia część tego pomysłu mnie przekonała. Przygoda. Cassidy kiedyś zafundowała mi przygodę w ramach przeprosin za tę sytuację na turnieju.

– Ty mnie nawet nie słuchasz – poskarżył się Toby.

– Nie.

W mojej głowie zaczął się kształtować pewien dziwaczny pomysł – coś, czego z całą pewnością nie dałoby się uznać za przeciętne rozwiązanie. Wiedziałem, jak ją odzyskać.

Następnego dnia obudziłem się o świcie. Włożyłem ciemne ubranie i wymknąłem się z domu, kiedy cały świat jeszcze spał. Kiedy wróciłem, nad Terrace Bluffs pojawiły się właśnie pierwsze przebłyski nowego dnia.

Było za wcześnie na prysznic i obawiałem się, że obudzę rodziców, więc zmyłem błoto i farbę najlepiej jak mogłem wilgotną szmatką i przebrałem się w coś bardziej wyjściowego.

Czekałem, chodząc tam i z powrotem po pokoju, ale kiedy wybiła siódma, nie mogłem już dłużej wytrzymać. Po cichu zszedłem na dół i już wiązałem buty, kiedy Cooper przydreptał na korytarz. Przekrzywił głowę, popatrzył na mnie i zaskomlał.

– Ćśśś – nakazałem.

„Co tu jest grane, stary druhu?“, pytały jego oczy.

– Niedługo wrócę. Idę się spotkać z Cassidy – wyszeptałem.

Na dźwięk jej imienia Cooper się ożywił i zapiszczał trochę głośniej.

– Przestań! Wszystkich obudzisz!

Ale to nic nie dało. Cooper poszedł za mną aż do drzwi, wydając z siebie jeszcze jedno uparte skomlenie.

– Chcesz iść ze mną, Cooper? – zapytałem z irytacją. – O to chodzi? Albo ty idziesz, albo ja zostaję, tak?

Usłyszawszy słowo „idziesz”, zaczął się kręcić w kółko, więc się poddałem i poszedłem po smycz.

– Musisz być grzeczny – nakazałem, przypinając mu smycz do obroży. – Mówię poważnie. Nie powinienem cię wyprowadzać. Nie możesz ciągnąć smyczy ani nic takiego.

Odniosłem wrażenie, że zrozumiał, bo kiedy wypuściłem go na dwór, zatrzymał się, żeby na mnie zaczekać, jakby czuł, że to jakaś szczególna okazja.

Na ulicach było pusto i szaro od mgły – miałem nadzieję, że do tego czasu zdąży się rozwiać, ale nic z tego. Chodnik był wilgotny, a na szybach samochodów, które mijaliśmy, lśniły krople rosy. Nawet bramka do parku Meadowbridge była wilgotna.

Kiedy Cooper zorientował się, że musimy iść przez mokrą trawę, sapnął z oburzeniem. Przypomniałem mu, że to on się uparł, aby mi towarzyszyć, więc posłusznie zaczął kroczyć przez trawnik z zadartym nosem, aż się roześmiałem.

Ale kiedy otrzepał futro po drugiej stronie trawnika, już nie miałem się z czego śmiać.

– Cooper! – skarciłem go.

„Sam się prosiłeś, stary druhu”, mówił jego wzrok.

Westchnąłem i uznałem, że to chyba racja. A im więcej o tym myślałem, tym bardziej się cieszyłem, że zabrałem go ze sobą. Cassidy go uwielbiała.

Kiedy dostrzegłem jej dom, odetchnąłem z ulgą. Trochę się spodziewałem, że moje dzieło zniknie, ale nadal tu było i zdobiło trawnik przed wejściem fenomenalnym powiewem ironii: mój bałwan z suchych kul splątanych gałęzi, które przetaczały się zwykle po ulicach.

Miał około metra pięćdziesięciu, oczy z guzików i uśmiech z kawałków lukrecji. Wokół szyi zawiązałem mu stary szalik, który teraz trzepotał na lekkim

wietrze. Stał tak przed jej domem, wciąż jeszcze trochę mokry od farby w spreju. Bałwan w mieście, w którym nigdy nie pada śnieg, zrobiony przez chłopaka, który chciał stąd uciec, dla dziewczyny, która nigdy tu nie pasowała.

Toby miał rację – teraz nie był czas na kwiaty. Teraz był czas na wielkie gesty. Czas na zbudowanie bałwana z gałęzi.

Cooper podniósł głowę i popatrzył na mnie, nie rozumiejąc, dlaczego nagle się zatrzymaliśmy. Szeptem nakazałem mu poczekać. Przekrzywił głowę i załatwił się na różany krzew sąsiada.

Mgła nareszcie zaczynała się przersedzać. Byliśmy po drugiej stronie ulicy. Wyobraziłem sobie, jak Cassidy wychodzi przed dom w piżamie, z włosami potarganymi od snu i uśmiecha się z radością na widok czekającego na nią bałwana.

Wyjąłem z kieszeni telefon i wybrałem jej numer. Odczekałem trzy sygnały. Cztery.

A potem usłyszałem zaspane, zachrypnięte „halo”.

– Wyjdź przed dom – powiedziałem.

– Ezra, to ty? – wymamrotała.

– Jeśli za pięć minut nie będziesz stała na trawniku przed domem, zacznę dzwonić do drzwi, aż wyjdiesz.

– Nie mówisz poważnie – zaprotestowała.

– Dzwonek – zagroziłem. – Trawnik. Pięć minut.

A potem się rozłączyłem.

– Chowamy się – nakazałem Cooperowi, ale w ogóle nie chciał ze mną współpracować.

Zachowywał się dziwnie. Postawił uszy, zesztyniał, cały się zjeżył.

– No chodź, Coop – ponagliłem, ciągnąc za smycz. – Bo wszystko się wyda.

W końcu zdołałem go zaciągnąć na drugą stronę ulicy i schować się za

zaparkowanym samochodem akurat w momencie, kiedy Cassidy wymknęła się z domu.

Naciągnęła na siebie dzinsy i ten zielony sweter, który zawsze nosiła. Wyglądała tak pięknie – tak bezbrinnie – kiedy szła przez ścieżkę w szarym świetle wczesnego poranka, obejmując się ramionami.

Miała zmarszczone brwi, ale po chwili dostrzegła bałwana i się roześmiała. Od dawna nie widziałem jej tak uradowanej.

– Ezra?! – zawołała niepewnie.

– No, cześć – przywitałem się nieśmiało, podchodząc do niej na trawnik.

Cooper potarł nosem o jej nogę. Ziewnęła i podrapała go za uszami.

– Cześć, śliczny – zagruchała. – To ty zrobiłeś dla mnie tego bałwana?

– Tak – potwierdziłem. – Zupełnie sam go zrobił. I zaciągnął mnie tutaj, żebym do ciebie zadzwonił i ci go pokazał.

– Jest cudowny – powiedziała Cassidy, a potem przygryzła wargę, nagle poważniejąc. – Czekaj, pomogę ci go rozłożyć.

Przez chwilę myślałem, że się przesłyszałem.

– Chcesz mi pomóc go rozłożyć? Właśnie spędziłem całą noc na składaniu tego cholerstwa.

Cassidy westchnęła. Wbiła wzrok w trawę. Naciągnęła sobie rękawy swetra na dłonie.

– Nie prosiłam cię o to – wymamrotała.

– Nie, nie prosiłaś – odparłem ze złością. – Boże, próbuję cię przeprosić za to, co powiedziałem, okej? Staram się dać ci coś ciekawego, coś dziwnego i cudownego, żebyś może w końcu porozmawiała ze mną o swoim bracie, a ty każesz mi go zabrać?

– Chcę, żebyś go zabrał – oznajmiła chłodno Cassidy, podnosząc wzrok, żeby spojrzeć mi w oczy. – I już ci powiedziałam, żebyś dał spokój.

Powiedziałam ci, że lepiej, jeśli nie będziesz wiedział.

– Ale jak widać nie posłuchałem.

– Tak, jak widać – odgryzła się, przedrzeźniając mój ton. – A teraz, jeśli nie chcesz mi pomóc pozbyć się tego bałwana, proszę cię, po prostu... Po prostu już idź.

– W porządku – powiedziałem. – Chodź, Cooper, idziemy. Cassidy nie chce z nami gadać, bo jest zła, że się domyśliłem, dlaczego zerwaliśmy.

– Nie domyśliłeś się! – zawołała za mną. – Tylko znalazłeś zagadkę.

Ale mnie chciało się już rzygać od zagadek, od nieprzewidywalnych humorów Cassidy i od tego, że nigdy, przenigdy nie byłem dla niej wystarczająco dobry.

Trzasnąłem bramką do parku, a Cooper natychmiast usiadł na chodniku i nie zamierzał się ruszać.

– Naprawdę mi teraz nie pomagasz. – Westchnąłem. – Nie mogę cię ciągnąć. Musisz iść.

Cooper posłał mi zdenerwowane spojrzenie, może jakby uważał, że powinienem wrócić i pomóc Cassidy zniszczyć kolejną rzecz, którą jej dałem, bo pomyłkowo sądziłem, że spełniam jej życzenie. W końcu wstał i poszedł ze mną przez park.

Mgła wciąż wisiała między drzewami i ledwie widziałem jaskrawoniebieskie huśtawki, a co dopiero drugi koniec parku.

– Ezra! – zawołała Cassidy.

Odwróciłem się, mrużąc oczy, żeby zobaczyć, gdzie jest. Stała przy bramce. Czyli jednak nie pozwoliła mi odejść.

– Ezra, uciekaj! – wrzasnęła. W jej głosie brzmiała panika.

I wtedy zobaczyłem kojota.

Był gigantyczny, miał co najmniej półtora metra długości. Bezdźwięcznie

prześlizgiwał się po trawie przez mgłę.

– Biegnij! – wrzasnęła znowu, ale ja nie mogłem biec, i gdzieś w głębi duszy wiedziałem, że kojot to wyczuwa.

Zamarłem z przerażenia, patrząc, jak ogromne zwierzę skrada się do mnie przez bezkształtne chmury mgły.

Nagle Cooper wydał z siebie wściekłe szczeknięcie i wyszarpnął mi smycz z dłoni. Popędził na kojota, warcząc i szczekając, a smycz ciągnęła się za nim po wilgotnej trawie.

Zaczął się szarpać z drapieżnikiem, jeden drugiemu próbował się dorwać do szyi. Zwierzęta przez chwilę atakowały się zaciekle na brzegu piaskownicy, a ja i Cassidy przyglądaliśmy się temu bezradnie.

Pokuśtykałem w ich stronę. Krzyki Cassidy przeszły w tłumiony szloch. Przycisnęła dłonie do ust. Ale jakie szanse miał w tym starciu Cooper? Szesnastoletni pudel przeciwko dzikiemu kojotowi?

– Wynoś się! – wrzasnąłem na kojota, ale wszędzie wokół było już mnóstwo krwi.

Szczęki kojota były mocno zaciśnięte na szyi Coopera, mój pies boleśnie beczał, wydając z siebie okropne, rozdzierające piski, a mnie waliło serce i myślałem tylko: „Nie, to niemożliwe, to nie może być prawda”.

– Cooper, nie! – zawodziła Cassidy. – Proszę, nie.

Cooper zwiotczał, a widocznie usatysfakcjonowany kojot wypuścił jego szyję z pyska i odbiegł, przecisnął się przez ogrodzenie i zniknął na leśnym szlaku.

Nie obchodziło mnie, że jest mglisty niedzielny poranek, a ja siedzę w środku parku. Nie obchodziło mnie, że zaczyna padać. Trzymałem głowę Coopera na kolanach i przyciskałem dłońmi jego ranę. Jego furto było już zmatowiałe i mokre od krwi, a moje dłonie ociekały krwią.

– O Boże – wydusiłem. – Przepraszam. Tak strasznie przepraszam, Coop.

Wszystko będzie dobrze. Tylko wytrzymaj. Jesteś bohaterem. Wszystko będzie dobrze.

Podniosłem głowę i spojrzałem na Cassidy. Była tak blada, że zaniepokoiłem się, czy nie zemdleje.

– On potrzebuje pomocy – powiedziałem. – Twój rodzice są lekarzami.

– Pojechali na dyżur.

– Musimy coś zrobić! Weźmiemy go na pogotowie weterynaryjne. Wyciągnij kluczyki do samochodu z mojej kieszeni.

Wciąż przyciskałem dłoń do rany Coopera. Cassidy włożyła mi rękę do kieszeni i jakimś cudem zdołała wygrzebać moje kluczyki.

– Polecisz prosto do mojego samochodu i doprowadzisz go jak najbliżej – nakazałem. Byłem zaskoczony, że mówię tak spokojnie.

– Ja nie prowadzę – zaprotestowała Cassidy drżącym głosem.

– Gównu tam, nie prowadzisz. Leć po samochód.

Cassidy tępo skinęła głową i popędziła przez trawę. Jej włosy powiewały za nią jak płomień, a mgła wokół przypominała kłęby dymu.

Cooper znów zapiszczał, a mnie prawie pękło serce. Mocniej docisnąłem dłoń do rany na jego szyi, próbując jakoś zatrzymać krwawienie – zatrzymać go przy sobie.

Cassidy zatrąbiła na mnie, podjeżdżając na parking.

– Nie mogę go podnieść – krzyknąłem. Głos łamał mi się ze wstydu.

Podeszła, żeby mi pomóc. We dwójkę zdołaliśmy położyć go na tylnym siedzeniu. Cassidy wsiadła za nim i położyła mu ręce na szyi, zastępując mnie w tamowaniu krwotoku.

– Ty prowadź – nalegała. – Jest mgła, nie dam rady.

Włączyłem światła i pojechałem. W samochodzie unosiła się gęsta cisza, a kierownica była śliska od krwi.

Cassidy i ja siedzieliśmy w zimnej od klimatyzacji poczekalni pogotowia weterynaryjnego. Oboje gapiliśmy się prosto przed siebie. To było jak zły sen. Nie docierały do mnie wszystkie szczegóły, ale tyle wiedziałem na pewno: była siódma trzydzieści rano, Cooper był w tarapatkach, a ja umierałem z przerażenia, że nie uda się go uratować.

Cassidy zadrżała i schowała dłonie w rękawy swetra. Zdjąłem swoją skórzaną kurtkę i podałem jej bez słowa.

– Dzięki – powiedziała cicho, włożyła i podciągnęła nogi pod brodę, jakby chciała się cała schować w tej kurtce.

Byłem w szoku. Oszalał mi to wszystko, co się właśnie wydarzyło, Cassidy też. Poczekalnia była pusta. Tylko my i waga dla zwierząt w kacie, wyglądająca prawie jak bieżnia na siłowni. Recepcjonistka, o której trochę zapomniałem, odkaszlnęła i zmarszczyła nos, patrząc w moją stronę.

– Przepraszam pana – zagadnęła. – Może chciałby pan skorzystać z łazienki i trochę się umyć?

Jej uśmiech nie sięgał oczu, kiedy wskazywała mi, gdzie mam iść. Otepiałem ruszyłem w stronę łazienki i zapaliłem światło.

Moje odbicie łypnęło na mnie z lustra. Zapadnięte policzki, zbyt blada twarz, koszula poznaczona plamami krwi. Ręce wyglądały szczególnie przerażająco. Pomyślałem gorzko, że to byłby o wiele lepszy kostium na Halloween od tego, który wymyśliłem w ostatniej chwili.

Pochyliłem się nad umywalką i patrzyłem, jak metalicznie pomarańczowa woda wiruje po niej do odpływu. Jeszcze długo po tym, jak zrobiła się



przejrzysta, nie mogłem się zmusić do zakręcenia kranu i wyjścia z powrotem do poczekalni.

Wciąż miałem tę scenę przed oczami: kojot skradający się do mnie przez mgłę i to, jak podskoczyło mi serce, kiedy Cassidy zawołała moje imię i krzyknęła, żebym uciekał. Jak Cooper rzucił się na kojota i dalej walczył, choć ziemia była już cała pokryta krwią. I że to wszystko moja wina, bo wiedziałem, że trzeba uważać na kojoty, ale nie posłuchałem.

W końcu rozległo się pukanie do drzwi.

– Ezra? – To była Cassidy. W jej głosie brzmiała troska.

– Za chwilę – odparłem, ochlapałem twarz wodą i otworzyłem drzwi.

– Hej – bąknęła. – Siedziałeś tu bez końca. Martwiłam się o ciebie.

W odpowiedzi uniosłem brew, a Cassidy odwróciła wzrok.

– Wiadomo już coś? – zapytałem tylko.

Potrząsnęła głową.

– Chodź. – Wzięła mnie za rękę.

Moje dłonie były lodowate od wody. Poczulem, jak się wzdryga, ale nic nie powiedziała. Znów usiedliśmy w poczekalni. Cassidy przysunęła się bliżej, aż dotykaliśmy się dzinsami. Nie wiedziałem, co chce mi przez to powiedzieć, ale ten gest dał mi maleńką iskierkę nadziei. Jej – nasz – dotyk dał mi nieśmiałą wiarę, że może dystans między nami nie jest tak ostateczny, jak mi się wydawało.

Cassidy owinęła się ciaśniej moją kurtką.

– Pamiętam, jak ją kupiliśmy – powiedziała, chyba bardziej do siebie. – A potem zrobiliśmy to na twojej zaginionej bibliotece. McEnroe i Fleming wszystko widzieli. Twoja opaska przyczepiła mi się do stanika.

– A teraz jesteśmy tutaj – odparłem, próbując obrócić to w żart. – Ty, ja i Cooper. Przyciągamy tragedie w takim tempie jak dodatnio naładowane cząsteczki.

– Nie mów tak – ucięła Cassidy. – Nie rób dla mnie bałwanów z gałęzi i nie mów takich rzeczy.

– Przepraszam? – spróbowałem.

– To ja powinnam cię przeproszać – wymamrotała.

Za oknem przemknął wóz strażacki z wyjącą syreną, w drodze do jakiejś cudzej katastrofy.

– Jak się dowiedziałeś o moim bracie? – zapytała, a ja nie mogłem mieć pretensji, że chciała wiedzieć.

– Toby – przyznałem. – Turniej w zeszły weekend.

– Teraz rozumiesz, dlaczego już nie startuję w debatach – powiedziała Cassidy.

– Rozumiem. Przykro mi – powiedziałem cicho, uświadamiając sobie, jak bezużyteczne stało się to słowo.

– W porządku. To znaczy to, co się stało z Owenem, absolutnie nie jest w porządku, ale chyba nie mam już problemu z tym, że o nim wiesz.

– No, gdybyś doszła do takiego wniosku trzy tygodnie temu, zaoszczędzilibyśmy sobie całą masę kłopotów – stwierdziłem.

Ramiona Cassidy uniosły się lekko, kiedy próbowała stłumić krótki śmiech.

– Po prostu... – zacząłem, ale urwałem i spróbowałem jeszcze raz: – Nie wiem, dlaczego mnie okłamałaś tamtego wieczora w parku. Przecież bym zrozumiał, że nie chcesz iść na ten dumny bal, wszystko jedno, z jakiego powodu, ale ty mnie po prostu odepchnęłaś, i to cholernie bolało.

– Musiałam – wyszeptała Cassidy. – Boże, nie wierzę, że w ogóle z tobą teraz rozmawiam.

– Chcę, żebyś ze mną porozmawiała – nalegałem. – Cały czas próbuję cię przekonać, żebyś ze mną porozmawiała, stąd ten bałwan, który tak ci się nie podobał.

– Nieprawda. Byłam nim zachwycona. Po prostu nie chciałam, żeby moi rodzice go zobaczyli i zapytali, skąd się wziął. – Jej twarz znów przybrała udręczony wyraz. – Ezra, nie dam rady. Przykro mi, nie mogę. Ale masz rację, jestem ci winna wyjaśnienie. Więc zamienię się dla ciebie w Sherlocka Holmesa, tylko ten jeden raz.

Przez chwilę bawiła się zamkiem mojej kurtki, a ja słuchałem nerwowego rytmu, który trochę przypominał bicie serca. Góra–dół. Góra–dół. Góra–dół.

– Z Owenem nie chodziło o to – zaczęła Cassidy – jak mieszałyśmy we wszechświecie, jak gadaliśmy o wywrotowych artystach graffiti ani jak przemycił mnie ze sobą na wykłady. Chodziło o to, jak to wszystko się skończyło, kiedy rodzice zmusili go do pójścia na medycynę. To go kompletnie zmiotło. Wydzwaniał do mnie przekonany, że trup w kostnicy był jakimś jego znajomym, że to jego dawny nauczyciel albo ktoś taki. Szlochał mi do słuchawki i opowiadał, że jest uwięziony w tym laboratorium, że każą mu rozcinać trupy i wypełniać jakieś tabelki, jeszcze zanim umyje ręce, i że musi mówić ludziom, że umierają albo że ich bliscy nie żyją, albo że ich ubezpieczenie nie pokrywa kosztów zabiegu, albo że nie może zrobić nic więcej, by im ulżyć, i był absolutnie przerażony tym, że tak będzie wyglądać reszta jego życia. Zaczął się bardzo dużo myć, bo twierdził, że nieważne, jak często by się kąpał, wciąż są na nim drobinki tych martwych, umierających i chorych ludzi, i po trochu zmieniał się w widmo samego siebie, ale nie mógł się wycofać, bo zmarnował już cały college na przygotowania do medycyny i za bardzo bał się naszych rodziców, żeby im powiedzieć, że chce zrezygnować.

Cassidy znów zamilkła, a ja nie miałem do niej pretensji. Sięgnąłem po jej rękę i oboje popatrzyliśmy na nasze złączone dłonie. Moją, szorstką od tenisa, ale z czasem coraz delikatniejszą. I na jej rękę, małą, pokrytą piegami i drżącą. Paznokcie miała pomalowane złotym lakierem, który już prawie całkiem zszedł.

Zabrała rękę, wytarła oczy i pociągnęła nosem, chociaż nie płakała.

– Któregoś wieczora – kontynuowała – zwinął z laboratorium skalpel i przemycił go do swojego pokoju w akademiku. I zadzwonił do mnie, żeby powiedzieć, że tak bardzo się boi i że jest mu przykro, i że jest strasznie zestresowany, a ja powiedziałam, żeby przyleciał do domu. Obiecałam, że też przyjadę na weekend i że razem porozmawiamy z rodzicami. Ale oni zachowali się okropnie. Byliśmy w tej głupiej eleganckiej restauracji w Back Bay, a oni ciągle zamawiali drinki i po cichu kłócili się nad drugim daniem, aż w końcu Owen złapał kluczyki mamy i po prostu stamtąd wybiegł. A ja go nie zatrzymałam. Nie pobiegłam za nim i nie kazałam oddać kluczyków.

Cassidy popatrzyła na mnie, krztusząc się od łez, które wciąż próbowała powstrzymać.

– Ale przecież on umarł na, ee, to coś z sercem – zaprotestowałam. – Nie w wypadku samochodowym.

– Ezra – przerwała mi Cassidy, błagając, żebym zrozumiał. – Kiedy Owen wyszedł z restauracji, zabrał czarnego landrovera naszej mamy.

Wreszcie pojąłem, o czym ona mówi, i cała dusza skrzyła mi się w ciasny supeł. Samochód. Ten na imprezie u Jonasa Beideckera, który nie zatrzymał się po tym, jak walnął w bok mojej beemki.

– Nie – powiedziałem, czując, jak prawda uderza we mnie z pełną siłą. Znowż zaatakowało mnie wspomnienie tamtego wieczora, szarpnięcie kolizji, potworny ślizg, w którym wszystko, czego pragnąłem, i wszystko, co miałem, wymknęło mi się przez wyciągnięte ręce. To była odpowiedź na niewłaściwą zagadkę... zagadkę, której nigdy nie chciałem rozwiązać.

Więc siedzieliśmy dalej w bolesnym *sillage* prawdy, żadne z nas nie było wściekłe ani wytrącone z równowagi. Po prostu ugrzęźliśmy tak w tym wspólnym smutku, w tej kolektywnej żalości. I choć chciałem ponieść mój barbarzyński skowyt nad dachami świata i porzucić światło dnia, i wpełznąć znowż do bezpiecznej zatoki, poddać się, gdy światło się mroczy, i w ogóle zrobić

wszystkie te nieheroicznie smętne rzeczy, o których nikt nie pisze nigdy wierszy, jednak tego nie zrobiłem.

– Kiedy się zorientowałaś? – wydusiłem.

– Po południu przed bale – odparła. – Gdy zadzwoniłeś do mnie z kwiaciarni.

– Volvo Voldemort – przypomniałem sobie.

Więc to się wydarzyło. Dostarczyłem Cassidy brakujące informacje na temat swojego wypadku. A kiedy już jej to nieświadomie powiedziałem, chciała uciec ode mnie tak daleko, jak to tylko możliwe. Nie uciekała ode mnie, uciekała od konieczności spojrzenia mi w oczy i wyznania, kto prowadził tego czarnego SUV-a, który przeleciał bez zatrzymywania się przed znakiem stopu.

– Wiesz, on nam powiedział, że uderzył w drzewo. – Cassidy potrząsnęła głową. – Rodzice byli wściekli, ale mu uwierzyli. Ja wróciłam do Barrowsa, a on został w domu, bo źle się czuł. Myślałam, że po prostu unika powrotu na studia. On sądził, że to ataki paniki, wiesz? To okropne, ale wszyscy się śmieją ze studentów medycyny: że zawsze widzą u siebie jakąś śmiertelną chorobę, więc nie chciał, żeby się z niego nabijali. Ale zrobił mu się zator po wypadku i zakrzep doszedł do serca. Cztery dni później rodzice wrócili do domu i zobaczyli, że Owen nie żyje.

Cassidy ścisnęła mnie za rękę i popatrzyła mi w oczy, jakby prosiła o przebaczenie. Nie byłem jednak pewien, co miałoby jej być wybaczone.

Myślałem o jej bracie, że umarł w jej domu. To w pewien dziwny sposób miało teraz sens – dlaczego ten dom zawsze wydawał mi się jakiś niepokojący, nawiedzony. Nic dziwnego, że nie chciała tam wracać.

– Bardzo mi przykro – wymamrotałem.

Cassidy wzruszyła ramionami, bo o ile mi wiadomo, naukowcy nie odkryli jeszcze właściwej reakcji na taki komunikat.

– Ale jednej rzeczy nie rozumiem – powiedziała. – Dlaczego nie powiedział,

że w kogoś uderzył. Może był w takim szoku, że naprawdę wziął cię za drzewo.

– A może to wcale nie był on – podsunąłem, siląc się na odrobinę nadziei. – Po Eastwood jeździ mnóstwo czarnych SUV-ów.

– Ezra – skarciła mnie Cassidy, jakbym zachowywał się irracjonalnie. – Piątek przed połowinkami koło dziesiątej wieczorem? Ulice między Terrace Bluffs a Back Bay? To był on. Nie potrafiłam powiedzieć rodzicom. Nikomu poza tobą nie powiedziałam.

Uśmiechnęła się smutno i znów ścisnęła mnie za rękę, a ja czułem, jakby ścisnęła mi serce.

– No cóż, cieszę się, że mi powiedziałaś. Tak jest lepiej. Jesteśmy jak dwie strony tej samej tragicznej monety. Jakbyśmy byli ze sobą związani, jeszcze zanim w ogóle się poznaliśmy.

– Nie – zaprzeczyła gwałtownie. – To wcale nie tak. Nie rozumiesz? Nigdy nie będziemy razem. Kiedy teraz na ciebie patrzę, widzę tylko Owena. Widzę w tobie śmierć Owena. Kiedy tak siedzisz z wyciągniętą nogą, widzę, jak uderza w ciebie tym samochodem. Jak miałabym przedstawić cię rodzicom? Chłopak, z którego ich syn przed śmiercią zrobił kale... przepraszam, niepełnosprawnego? Więc nie możemy. Nigdy.

Zastanawiałem się nad tym. Wlepiłem wzrok w zegar na przeciwległej ścianie, choć tak naprawdę go nie widziałem. Przeczesałem włosy dłonią. A potem popatrzyłem na nią. Bardzo chciałem ją przytulić, ale wiedziałem, że nie powinienem. Może gdzieś w środku zaczynałem już rozumieć, że zbliżenie się do Cassidy było tym samym, co odepchnięcie. Może już pojąłem, że fizyka naszej relacji nie zaprzeczała żadnym prawom grawitacji i że po niej zawsze mogłem się spodziewać reakcji o tej samej sile, lecz przeciwnym zwrocie.

– Chciałbym, żebyś pozwoliła mi zdecydować, czego ja sam pragnę – powiedziałem w końcu. – Bo ja mówię poważnie: to wszystko nie zmienia tego, że za tobą tęsknię i chciałbym, żebyśmy do siebie wrócili. Było nam naprawdę

dobrze razem, i to jest zupełnie oddzielna tragedia, że mielibyśmy z tego zrezygnować przez coś, czego żadne z nas nie zrobiło. Bo ja widzę to tak, że każdy ma swoją tragedię. I biorąc wszystko pod uwagę, cieszę się, że moją tragedią był ten wypadek. Inaczej nie składałbym podań na uczelnie na Wschodnim Wybrzeżu, nie byłbym w zespole debaty ani nic z tych rzeczy, bo nie poznałbym ciebie.

– Ale nie zawdzięczasz mi żadnej z tych rzeczy – upierała się Cassidy. – Ezra, ta dziewczyna, za którą gonisz, nie istnieje. Nie jestem jakąś szaloną poszukiwaczką przygód, która będzie wykopywać z tobą skarby i przysyłać tajne wiadomości. Jestem smutną, samotną frajerką, która za dużo się uczy, odpycha od siebie ludzi i chowa się w swoim nawiedzonym domu. A ty się zawzięłeś, żeby przypisywać mi wszystkie zmiany, które w tobie zaszły, chociaż przecież to ty sam wreszcie doszedłeś do wniosku, że masz dość wciskania się w te ciasne foremki cudzych oczekiwań. Przecież podjąłeś tę decyzję, jeszcze zanim się w ogóle poznaliśmy, pierwszego dnia szkoły, kiedy odpyskowałeś Anthony’emu na historii.

Kompletnie o tym zapomniałem. O tym dniu, kiedy się poznaliśmy – przedtem zdażyłem wylecieć z wiecu, odszczeknąć trenerowi i zmienić stolik na przerwie obiadowej. W mojej pamięci to ona, zawsze ona stanowiła siłę napędową wszystkich moich działań.

– Proszę bardzo – powiedziała z satysfakcją, bo chyba zobaczyła, jak zmienił się wyraz mojej twarzy. – Widzisz? Ty dopiero zaczynasz to sobie uświadamiać, ale ja już dawno zrozumiałam, że im bardziej inteligentny jesteś, tym większą masz ochotę pozwolić ludziom, żeby po prostu sobie ciebie wyobrazili. Przenikamy przez cudze życie jak duchy i zostawiamy po sobie wspomnienia o ludziach, którzy tak naprawdę nigdy nie istnieli. Popularny sportowiec. Tajemnicza nowa dziewczyna. Ale koniec końców to my decydujemy, jak inni mają nas widzieć. A ja wolałabym zostać źle zapamiętana, niż akurat ciebie

unieszczęśliwić.

W oczach Cassidy pojawiło się błaganie, którego wcześniej tam nie widziałem. Pojąłem, że to nieważne, czy cokolwiek z tego, co mówi, jest prawdą. Ona wierzyła w to tak głęboko, że nic by jej nie przekonało, że jest inaczej.

Dla Cassidy panoptikon nie był metaforą. To była największa porażka wszystkiego, czym sama była: więzieniem, które sama sobie zbudowała, bo nie potrafiła okazać jakiegokolwiek niedoskonałości. Więc płynęła przez życie jak duch, wiecznie próbując uciec – nie przed innymi, ale przed samą sobą. Była skazana na więzienie cudzych oczekiwań, bo za bardzo się bała – albo nie chciała – zmienić naszych niedoskonałych wyobrażeń na jej temat.

Ale nie powiedziałem jej żadnej z tych rzeczy. Zamiast tego zachowywałem się tak, jakbym jej uwierzył, bo co innego mogłem zrobić? To był ten wiersz, który mi recytowała tamtego dnia nad strumieniem, że wszystko w końcu umiera, i zawsze zbyt prędko. Oboje zadawaliśmy sobie to samo pytanie bez odpowiedzi: „Co jeszcze można było zrobić?”.

– Nie chcę, żeby to był koniec między nami – powiedziałem. To nie było pytanie.

– Ezra. – Cassidy weszła mi w słowo. Brzmiała, jakby było jej koszmarnie przykro. – Lepiej ci będzie beze mnie. I nie chcę, żebyś ze mną był, kiedy to zrozumiesz.

Wyślizgnęła się z mojej kurtki i zarzuciła mi ją na ramiona. Patrzyłem, jak to robi, nie do końca rozumiejąc, co się dzieje, a potem się odsunęła i pociągnęła nosem, próbując być dzielna. Czuję, że zawisło między nami pożegnanie, ciężkie i ostateczne. Nagle w drzwiach pojawił się weterynarz z ponurą miną.

– Panie Faulkner? Mógłbym pana prosić na chwilkę?

– Och, jasne. Wszystko z nim okej, prawda? Będzie dobrze? – zapytałem.

Weterynarz spuścił wzrok i popatrzył na notatki, które trzymał w dłoni, nie ośmielając się spojrzeć mi w oczy. Wtedy zrozumiałem. Poszedłem za nim, nie



odwracając się za siebie, i tak po prostu ktoś wcisnął mi w drżącą dłoń przywieszkę od obroży Coopera, jakby proszono mnie, żebym go opłakiwał jak bohatera, a w tym czasie Cassidy zniknęła z mojego życia.

Urna z prochami Coopera stała na moim biurku przez ponad tydzień. Za każdym razem, kiedy mama nieśmiało sugerowała, żeby może przestawić ją w jakieś bardziej dyskretne miejsce, posyłałem jej nienawistne spojrzenie i bez słowa wychodziłem z pokoju.

Eastwood stało się w moich oczach dziwnie rozmyte: pocztówkowa miejscowość stworzona po to, by dać mieszkańcom złudną wiarę, że za naszymi ogrodzeniami i ciszą nocną nie może się wydarzyć nic złego, co miałyby trwałe konsekwencje. To miejsce było tak zepsute od środka, że odmawiało przyjęcia do wiadomości istnienia jakiegokolwiek niedoskonałości.

Nieskazitelne rzędy domów ciągnęły się w nieskończoność jak równe rzędy małych żołnierzyków na linii frontu cichego przedmieścia. Każdy żołnierz śmiało hodował w sobie nadzieję, że nigdy nie spotka go tragiczny koniec. Ale wielu spotkał. Tak wiele identycznych domków za identycznymi ogrodzeniami nosiło znamię tragedii, i to właśnie z tych domów pochodzili nieliczni desperaci, którzy postanawiali na zawsze porzucić Eastwood i jego puste obietnice.

Któregoś popołudnia pod koniec listopada Toby i ja rozsypaliśmy prochy Coopera na szlaku w lesie koło parku, chociaż to nielegalne. W przemówieniu pożegnalnym przeczytałem fragment ze swojego pogniecionego egzemplarza *Wielkiego Gatsby'ego*, słynny kawałek o szumowinach, które płynęły za okrętem jego marzeń, i wysypałem zawartość urny na wiatr.

Kiedy wracałem z Tobym do parku, moja laska grzęzła w świeżo podlanej trawie, a w oknie Cassidy paliło się światło. Pamiętam, że zerknąłem na nie i zacząłem rozmyślać. Pomyślałem o tym, czym stają się różne rzeczy, kiedy

już ich nie potrzebujemy, i co czeka na nas w przyszłości, kiedy już poradzimy sobie z naszymi osobistymi tragediami i udowodnimy, że ostatecznie można je przetrwać.

Kiedy zaczął się drugi semestr, Cassidy nie pojawiła się w szkole, ale nie byłem specjalnie zaskoczony. Już od jakiegoś czasu spodziewałem się, że wróci do tamtej szkoły z internatem: do swojego panoptikonu, z którego nigdy tak naprawdę nie uciekła. Pomyślałem, że może i dobrze się stało. Jej nieodwracalne odejście pozwoliło mi uznać nasze dawne miejsca za swoje własne. Mogłem się pożegnać z parkami i leśnymi szlakami swojego dzieciństwa, zamiast chwytać się straconych chwil ze straconą dziewczyną, która nie pozwoliła, żebym ją odzyskał.

Teraz jestem na studiach. Już kilka tygodni temu liście, które wcześniej plątały się nam pod nogami, odeszły w niepamięć, a ze stołówki zaczęły znikać tace na jedzenie, przemywane pod grubymi kurtkami w przygotowaniach do pierwszego śniegu.

Akurat w tej chwili, kiedy to piszę, znowu pada śnieg. Grube płatki powoli spływają za oknem mojego pokoju w akademiku, z widokiem na gotyckie podwórze. W zeszły weekend Toby przyjechał z Bostonu w odwiedziny. W moim pokoju wciąż pełno śladów jego wizyty: jakaś książka o Magritcie (jego chłopak uparł się, żeby mi ją przywiózł, choć nie mam pojęcia, skąd przyszło mu do głowy, że jestem fanem surrealizmu). Dmuchany materac – od tygodnia zbieram się, żeby go oddać dziewczynie z drugiego końca korytarza, ale ciągle rozjeżdżają się nam plany zajęć. I to fantastyczne zdjęcie z moich osiemnastych urodzin, które Toby przykleił mi nad biurkiem, kiedy poszedłem do wspólnej kuchni opłukać kawiarkę.

Zdjęcie zrobiła Phoebe, wykręcając się na swoim siedzeniu kolejki górskiej w ostatnim momencie, choć pracownik Disneylandu wrzeszczał na nią, że ma siedzieć prosto. Na rozmytej fotografii Toby i ja siedzimy na ostatnich dwóch

siedzeniach ostatniego wagonika Góry Wielkich Grzmotów. Toby śmieje się z czegoś, co właśnie powiedział Austin, a ja prawie patrzę w obiektyw, ale niezupełnie. Uśmiecham się do Phoebe, do wyszeptanych tego lata obietnic i do tego, jak niechętnie zostawiam za sobą swoich przyjaciół. Ale mieliśmy mnóstwo czasu na młodzieńcze niezdecydowanie, razem i osobno, na kuśtykanie w przyszłość przez niemożliwe do zapomnienia prochy naszych historii.

Często się zastanawiam, co będzie z Cassidy Thorpe. Ona najwcześniej z nas wszystkich zostawiła Eastwood i wiosną w klasie maturalnej wróciła do Barrowsa. Prawdopodobnie z całym naręczem historii, w których, jak sobie wyobrażam, wszyscy zostaliśmy przedstawieni z wielką dozą autorskiej swobody. Przyznaję, nie wybaczyłem jej, że odmówiła choćby zastanowienia się nad tym, co mogłoby być między nami, ale rozumiem, dlaczego podjęła taką decyzję. Zresztą ona nigdy nie prosiła mnie o wybaczenie.

No i koniec końców Cassidy miała rację. Nigdy nie powinienem był przypisywać jej tyłu zasług. To wszystko jakoś tak się ze sobą splątało: jej pojawienie się w szkole, powrót Toby'ego do mojego życia, pierwszy raz, kiedy przeczytałem książkę, która do mnie przemówiła, i to wielkie pytanie, kim chciałbym być w konsekwencji swojej osobistej tragedii. Bo w tamtym roku podjąłem decyzję, żeby zacząć się liczyć bez żadnego związku z drużynami tenisa czy plastikowymi koronami. Prawda jest taka, że może i tak podjąłbym tę decyzję bez niej albo gdybym się w niej nie zakochał – w dziewczynie, która uważała miłość za największą ze wszystkich możliwych katastrof.

Prawda jest taka, że przez całe życie pracowałem nad niewłaściwym eksperymentem. I wprawdzie Cassidy wcześniej to zrozumiała, ale nie dodała żadnych elementów, które poprowadziłyby mnie inną ścieżką. Może użyczyła mi iskry albo mocniej roznieciła ogień, ale płomień był mój. Oscar Wilde powiedział kiedyś, że umieć żyć to najrzadsza rzecz na świecie, bo większość ludzi jedynie egzystuje i to wszystko. Nie wiem, czy miał rację, ale wiem, że ja bardzo długo

tylko egzystowałem. A teraz zamierzam żyć.

## PODZIĘKOWANIA

Gdyby podziękowania należało śpiewać, pewnie nie dałoby się słuchać mojego fałszowania, więc bądźcie wdzięczni, że nie wysyłam każdemu z Was spersonalizowanego nagrania. Zamiast tego zebrałam Was do jednego garnka – jak zupę! – na tej zgrabnej liście.

Przede wszystkim dziękuję mojej agentce, cudownej Merrilee Heifetz. Twoja niezachwiana wiara we mnie i w tę powieść naprawdę zmieniła moje życie. Wybacz, że wysyłałam Ci po drodze tyle zdjęć żyraf z wywalonymi językami (choć nadal twierdzę, że to lubisz). Mojej redaktorce Katherine Tegen dziękuję za pomoc w zafundowaniu książki doskonałego fabularnego irokeza i za to, że jesteś głównym powodem, dla którego w ogóle wchodzę na Facebooka. Sarah Nagel – dziękuję Ci za to, że czerpałaś taką radość ze wszystkiego, co dotyczy tej książki, a także za przebiegły pomysł wysłania mi pluszowego leniwca do szpitala. Liane Graham – Tobie dziękuję za wspólne przesiadywanie na brooklińskich dachach i rozmowy o miłości. Gdyby książki można było pisać w prezencie, ta byłaby dla Ciebie. Kaleb Nation – jesteś właściwie jedyną osobą, dla której wchodzę na Skype’a.

Philo – jesteś pośrednią inspiracją do wszystkiego, co tu powstało. Szczególnie gorąco dziękuję Samowi i Crisowi za konsultacje z perspektywy osób tej samej płci co Ezra, a także za pozwolenie na rozwalenie pianina młotkiem i za żarty, że jestem jak Summer z *50 dni miłości*, ale oczywiście nie na poważnie, mhm. Całej paczce z YouTube’a: Paige, Karen, Adorianowi, Kayley i Aleksie. Mojej współlokatorce Jennifer za redakcję, zanim zostałaś redaktorką i zanim ta książka stała się książką. Dziękuję też wszystkim

w wydawnictwie HarperCollins – jestem Wam dozgonnie wdzięczna. Gdyby mi pozwolili, wstawiłabym tu gifa, ale domyślam się, że podziękowania nie powinny wyglądać jak zrzut ekranu z Tumblra, więc jednak się powstrzymam.

## NOTA OD WYDAWCY

Przy tłumaczeniu korzystano z następujących źródeł:

Orson Scott Card, *Gra Endera*, tłum. P.W. Cholewa, Warszawa 2009.

Thomas Stearns Eliot, *Ziemia jałowa*, tłum. A. Pomorski, „Kwartalnik Artystyczny” 1995, nr 2 (6).

Robert Frost, *Droga nie wybrana*, [w:] tegoż, *55 wierszy*, tłum. S. Barańczak, Kraków 1992.

William Shakespeare, *Hamlet, królewicz duński*, tłum. J. Paszkowski, Warszawa 1970.

Dylan Thomas, *Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy*, [w:] *Od Chaucera do Larkina*, wybór, oprac. i tłum. S. Barańczak, Kraków 1993.



Tytuł oryginału: *The Beginning of Everything*

Copyright © 2013 by Robyn Schneider

Copyright © for the translation by Aga Zano

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Korekta: Magdalena Adamek / d2d.pl,

Katarzyna Gniewko / d2d.pl

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © Volodya Senkiv / Shutterstock.com

Fotografia autorki: © Robyn Schneider

ISBN 978-83-7515-672-0

**moondrive**

[www.moondrive.pl](http://www.moondrive.pl)

Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,  
ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków. Wydanie I, 2017.

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)